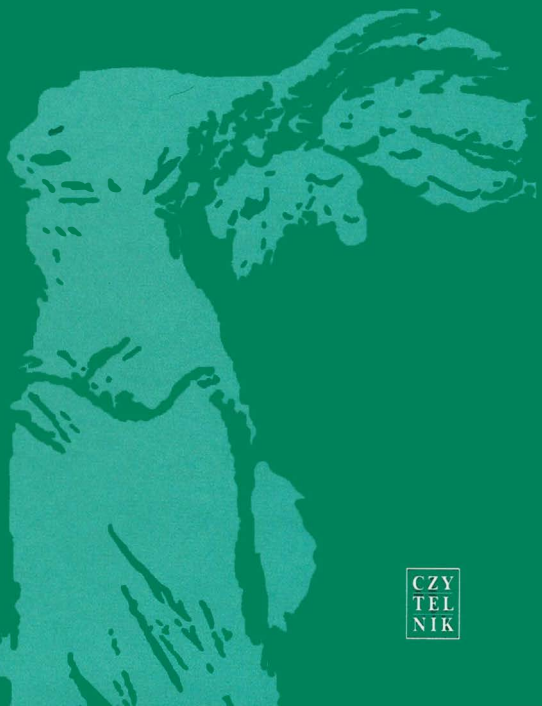


Sándor

Márai

Sindbad powraca
do domu



CZY
TEL
NIK

Sándor

Márai

Sindbad powraca
do domu

Przełożyła i posłowiem
opatrzyła Teresa Worowska

Czytelnik | Warszawa 2008

*Restauratorom Kéhlím, młodszemu Bródyemu,
starszemu rudowqsemu kelnerowi,
pisarzom, a także wszystkim tym kobietom,
dżokejom, żeglarzom i dżentelmenom,
którzy go znali i kochali, i opłakują świat,
który odszedł wraz z nim.
S.M.*

Sindbad — w młodych latach lubił ukrywać się pod tym pseudonimem — czyli żeglarz, pisarz i dżentelmen, pewnego majowego poranka wyruszył ze Starej Budy o wczesnej godzinie, ponieważ do wieczora musiał zdobyć sześćdziesiąt pengó.

Przygotowywał się do wyjścia starannie i ze skrywanym niepokojem ducha. W ostatnich czasach stosunki literackie najwyraźniej podupadły, tak w każdym razie odczuwał. Tego majowego poranka obudził się o świcie, długo palił i kasłał, rozważając wszystkie możliwości. Niejaki Pápai, redaktor „Teatru i Życia”, przed miesiącem kazał Sindbadowi czekać w przedsionku i w końcu wysłał sekretarkę z wiadomością, że nie ma czasu go przyjąć. „Przed dwudziestu laty — pomyślał Sindbad oparty na łokciu w łóżku, paląc, kaszląc i pomrukując — za tę bezczelność poczęstowałbym go pałaszem”. Ale wiedział, że już nikogo częstować pałaszem nie będzie. Przed dwudziestu pięciu laty w „Głębokiej Piwnicy”, winiarni jego ulubionego karczmarza imieniem Poldi, zdarzyło się, że po ósmym szprycerze objął i walnął w żołądek swą straszną pięścią pewnego obcego oficera huzarów, z którym zresztą za-

wał znajomość tego wieczoru, bo naszło go podejrzenie, że ten popijający wino milkliwy i ponury wiarus ma go, Sindbada, za rzecznika ugody¹. Sindbad nie posiadał wprawdzie poglądów politycznych — był zdania, że uwłaczałoby to jego randze i godności — ale nie życzył sobie, by ktokolwiek śmiał go zaliczać do zwolenników rządu. Jako pisarz i dżentelmen opowiadał się za opozycją, nie tyle z przekonania, co raczej wiedziony dobrym smakiem i tradycją własnego rodu. Z oficerem huzarów wkrótce ucałowali się z dubeltówki i zawarli dozgonną przyjaźń. Był to ostatni przypadek w życiu Sindbada, kiedy to uciekając się do przemocy i rękoczynu, wystąpił w obronie zasad czy raczej pozorów czegoś w rodzaju światopoglądu. Od tamtej pory miały miejsce już tylko nieistotne wyzwania na pojedynki, które w końcu zawsze łagodzili wytrawni sekundanci.

— Wszystko to na nic — pomyślał ponuro Sindbad — w końcu trzeba będzie jednak coś napisać.

Planował zebrać się, wsiąść do tramwaju, zajrzeć do bufetu w hotelu „Londyn”, tam do południa skończyć rękopis i osobiście zanieść do redakcji „Węgierskiej Wolności” — gdzie Várdali, młodszy redaktor, wielbiciel i uczeń Sindbada, doręczy go naczelnemu i wróci z przekazem pieniężnym — na obiad miał zamiar zajrzeć do koła pisarzy i karcjarszy, napić się kawy, zagrać partyjkę i na szóstą, no, najpóźniej na siódmą wieczór wrócić do domu w

¹ Ugoda austriacko-węgierska zawarta w 1867 r., na mocy której powstała Monarchia Austro-Węgierska (przypisy w całej książce pochodzą od tłumaczki).

Starej Budzie. Doktor Lew, który minionej zimy wydarł Sindbada z gardła śmierci, w ostatnich czasach szczególnie surowo przypominał mu o konieczności wczesnego udawania się na spoczynek. „Wiem, wiem — mrucał w takich chwilach z uśmiechem starzejący się Sindbad — zaraz mnie zaniosą niczym świętą figurkę do sanktuarium w Máriapócs”¹. A letym razem naprawdę miał zamiar wrócić do domu we wczesnych godzinach wieczornych, z pieniędzmi i podarkiem, jak przystoi w tych trudnych czasach głowie rodziny w Starej Budzie. „To święta sprawa” — mrucał Sindbad, poszukując pończoch, po czym zaczął się ubierać. Pieniądze miały być na szkolny strój egzaminacyjny jego córki Zsóki.

Sindbad lubił się ubierać niespiesznie i leniwie. Podobnie jak bohater jego powieści, niejaki Felvéghy, najchętniej zatrudniałby lokaja oraz sekretarza — lokaja, który zakładałby pończochy na zmęczone nogi starzejącego się pana i masowałby jego zwiotczałe mięśnie, a także sekretarza, który w tym czasie zdawałby wiernie sprawę z co poufniejszych informacji na temat gonitw w Alag, odczytałby na głos meldunek wynajętego przez Sindbada prywatnego detektywa o pewnej panie z dzielnicy Józefa², którą żeglarz w niepojętym napadzie dobroczynności zapisał na pensję Marii Ward, przyniósłby wieści o transakcjach zawartych na londyńskiej giełdzie zbożowej — choć ani on, ani jego pan

¹ Máriapócs — znane grekokatolickie sanktuarium z płaczącym obrazem Matki Bożej.

² Józsefváros.

nie znalazłyby języka angielskiego — i niemo, z godnością, lecz też z należytą pokorą zapisywałyby na swych niezbyt czystych mankietach niejasno sformułowane, skomplikowane rozkazy dzienne i życzenia żeglarza. Sekretarzem naturalnie nie mógłby być nikt inny, jak tylko wyrzucony z teatru aktorzyna lub udający dziennikarza, oskarżony o oszczerstwo pismak. „Nawet jeśli by pił, nie szkodzi — pomyślał sobie Sindbad — ale żądałbym, by znał najświeższą listę gości w zajazdach wiedeńskich”.

Siedział na brzegu łóżka, drapiąc się, z pończochą w ręce i gorzkim smakiem tytoniu w ustach. O, moja dawna pogodo ducha! — pomyślał. — Jak długo jeszcze będziesz udawał, stary Sindbadzie? W Wiedniu nie ma już pewnie prawdziwych zajazdów z prawdziwą listą gości; są tylko hotele, w których stają ludzie mający ochotę i pieniądze. Swojego czasu Sindbad udawał się do Wiednia inaczej. Zawczasu anonsował swój przyjazd panu H., właścicielowi „Węgierskiego Króla”, gdzie zatrzymywali się jego krajanie, a ów zawsze odziany w surdut dawny wiedeński patrycjusz osobiście witał gościa, „księcia poetów”, jak z upodobaniem i pełną godności rewerencją zwykł go nazywać. Sindbad stawał w „Węgierskim Królu”, pod bokiem kościoła Świętego Stefana, jak ktoś, kto nie uważa, by właściwym czy taktownym było niepokojenie bohatera jego powieści, pana Felvéghyego, w salach „Sachera”, gdzie ten wielmoża rozmawiał z palącą cygara panią Sacherową o sekretnych nocnych wyprawach arcyksiążąt, o szansach gonitw wiedeńskich oraz o łydeczkach pewnej szwaczki z Hietzingu. Zapewne rozmawia-

li też o Franciszku Józefie, pomyślał Sindbad i przeciągnął się, aż mu zachrupały kości. Przymrużył oczy i wyrżał przez niewielkie okienko. Gdzie to wszystko przepadło? Gdzie jest Franciszek Józef, po którym w Burgu pozostał tylko dopasowany do amerykańskiego biurka wyplatany trzcina tani fotel, gdzie pani Sacherowa, która w chmurach dymu strzegła najcenniejszych sekretów ostatnich dekadentów Monarchii, gdzie pan Felvéghy, który nigdy nie wyruszał z domu bez cygar hawana w skórzanym futerale i złotych sztabek w satynowym woreczku, bładny i brodaty, jak to przystoi panom ze Wschodu, którzy z równą powagą i bez słów noszą w sercach problemy narodu, szanse koni wyścigowych i przysięgi oraz kłamstwa dam, egzaltowane wyznania wierności zapisanych na pensję córek dozorców z dzielnicy Józefa i meldunki prywatnych detektywów, którzy zwięźle i poufnie donoszą, że młoda dama, której pan Felvéghy podczas popołudniowej leśnej przechadzki po Chłodnej Dolinie¹ obiecywał elegancki domek z werandą i domową kaplicą w budańskim zakątku zwanym Pustelnia Marii², tego samego dnia wsparta na ramieniu pewnego oskarżonego wcześniej o fałszerstwo redaktora teatralnego wkroczyła przez bramę od strony Dunaju do hotelu o nazwie „Istryjski Rekin”, a po upływie półtorej godziny opuściła go wyjściem od strony Mostu Łańcuchowego... „Pewnie miała jeszcze w torebce ten różaniec z kości słoniowej — po-

¹ Hűvösvölgy.

² Máriaremete.

myślał z oburzeniem Sindbad — który pan Felvéghy podarował jej na szesnaste urodziny, a który po raz ostatni ścisnęły zimne palce księżnej Montmorency na łożu śmierci...” Ta wizja rozstroiła go. Rozgniewany ubierał się prędzej niż zazwyczaj, ponieważ miał umówione spotkanie z gawędziarzem Arturem przed kąpieliskiem gorących wód nazwanym imieniem ewangelisty Łukasza: mieli zamiar udać się do łaźni parowej, gdzie Sindbad w towarzystwie Artura gawędziarza pragnął zebrać siły przed trudnymi, wymagającymi czujności, wytrwałości, znajomości terenu i wielkiej dyscypliny zadaniami dnia.

Przez pokój, w którym spały jego żona i córka, przeszedł jak zawsze na palcach, skradając się jak stare bezpieczeństwa koty, które wędrują po podwórzach w poszukiwaniu łupu. Buty niósł w ręce jak wędrowcy. Zatrzymał się przy łóżku małżeńskim, w którym miejsce żeglarza zajęła od pewnego czasu jego córka Zsóka — to ona potrzebowała mundurka na egzamin w święto maryjne — i z czułą uwagą przyjrzał się miłej młodej twarzy ocienionej letnim woalem świtu. Dziewczynka spała obok matki i musiała poczuć spojrzenie Sindbada, bo jęknęła i ukryła twarz w poduszce. Ale żona przebudziła się jak zwierzyzna, gdy usłyszy szmer w zaroślach. Usiadła na łóżku i szeroko otwartymi oczyma popatrzyła na Sindbada, stojącego naprzeciw z przekrzywioną na bok głową, po czym jak na widok mary wyskoczyła z łóżka.

— Kochany Sindbadzie — szeptała gorąco, zrzuciwszy na siebie szlafrok i podbiegłszy do toa-

letki z lustrem, przed którym przyglądała kilkoma pospieszonymi, jakby się paliło, ruchami zmierzwi-
one i jeszcze ciepłe od snu włosy. — Wczoraj wyłą-
czono nam światło.

— Załatwię to — wymruczał Sindbad z poczu-
ciem winy. — Znam w magistracie pewnego pana,
z którym niegdyś jeździłem na świniobicie w Kra-
ju Zadunajskim.

— Trzeba zdobyć pieniędzy — powiedziała żona
cicho i postąpiwszy krok w stronę Sindbada, poło-
żyła mu rękę na ramieniu. — Zsóka potrzebuje mun-
durka na egzamin, kochanie. Za światło też musimy
zapłacić. Wczoraj kazałam przynieść obiad z kawiarni
od pana Medve, a pan Mókus, właściciel winiar-
ni, pożyczył smalcu i cebuli na kolację. W domu nie
ma ani grosza, Sindbadzie. W Starej Budzie nie lu-
bią żyjących na kredyt.

— Oto los pisarza. Ojczyzna patrzy na nas z obo-
jętnością. Załatwię to — powtórzył z naciskiem i
zmieszaniem żeglarz. — Dziś wrócę wcześniej. O-
koło ósmej, kochanie. Zsóka będzie miała mundu-
rek, a za światło też zapłacimy. Na razie porozma-
wiaj jeszcze z panem Medve w sprawie obiadu. Te-
raz, kiedy młody Medve ma zamiar nie tylko za-
trudniać się w kawiarni, lecz także rozpocząć karierę
artystyczną jako aktor, zapewne będzie mu zale-
żało na dobrych kontaktach z prasą. Słyszałem,
że kilka dni temu był na przesłuchaniu w poblis-
kim Teatrze Kisfaludyego i śpiewał coś z *Sybilli*...
Pożycz też od niego świec, bo nie lubię jeść kolacji
po ciemku...

— Będiesz na kolację w domu! — wykrzyknęła

z cichą radością żona zduszonym głosem, jakim odzywają się jedynie te kobiety, które musiały wiele znieść, potrafią więc krzyknąć niemo i z opanowaniem. — To ugotuję nadziewaną kapustę. I każę przynieść wina z piwnicy Mókusa. Ale proszę cię, obiecaj mi, że przyjdiesz do domu wcześniej i nigdzie po drodze nie zatrzymasz się, żeby wypić.

Usłyszawszy tę prośbę, Sindbad zamyślił się z przechyloną na bok głową. Nie lubił lekkomyślnie składać obietnic.

Kiedyś łatwo, chętnie i wiele kłamał kobietom. Najczęściej obiecywał im wycieczkę do Egeru, do swego dobrego przyjaciela Gárdonyiego¹, z którym w gospodzie egerskiej będą razem tańczyć czaradasza po północy, kiedy komiwojażerowie dewocjonalistów udają się już na spoczynek i kiedy do przewietrzonych o północy sal „Korony” ośmielają się zaglądać tylko co młodsi spośród kanoników. Kobiety jako istoty całkowicie niezorientowane w sprawach literatury ufały na ogół żeglarzowi: wierzyły, że pustelnik egerski zwykł po północy tańczyć czaradasza na cześć Sindbada, większość z nich bowiem w ogóle nie wiedziała, że autor *Niewidzialnego człowieka*² już dawno zmarł i śni w pokoju wiecznym swoje smutne i sekretne sny pod gwiazdami na wzgórzu, które okalają mury zamku egerskiego. Sindbada bawiła niewiedza i łatwowierność kobiet. Zimą zapraszał je najczęściej do Wiednia. Ale kobiety, zwłasz-

¹ Géza Gárdonyi (1863–1922) — powieściopisarz węgierski.

² W Polsce ta powieść ukazała się pod tytułem *Byłem niewolnikiem Hunów*.

cza te bardziej doświadczone, w których Sindbad szczególnie gustował, wdowy w średnim wieku, które miały dobrze prosperujące jadalnie w dzielnicy Józefa czy sady na zboczach Sasad, nie lubiły podróżować za granicę w okresie zimy. „Jeszcze się podziękuję, Sindbadzie” — wyznała w godzinie słabości pod wpływem czułego i gorącego, choć kłamliwego kuszenia młoda wdówka po majątnym przevoźniku z Budakalász, kiedy żeglarz w sali restauracyjnej „Istryjskiego Rekina” — gdzie nad ugotowaną na jego cześć i według jego poleceń zupą rybną oraz włoskim rieslingiem z okolic Aracs próbował zakręcić w jej jasnowłosej, zaondulowanej główce — opowiadał o obitych żółtą materią meblach hotelu wiedeńskiego, o mięciutkich łóżach, o dzwonie z kościoła Świętego Stefana i o pewnej palince o nazwie „kontuszówka”, którą w pobliskiej piwnicy „Pod Katedrą” serwują zażywni braciszkwowie ze Styrii. Sindbad zrozumiał istotę szczerego wyznania wdówki, ale nie przestał jej namawiać. „W «Węgierskim Królu» stoją kaflowe piece” — dodał i poprzez kłęby dymu z cygara obserwował, czy jego słowa robią wrażenie. „Na życzenie może się pani wykąpać w drewnianej wannie, jak niegdyś Franciszek Józef, a nad rankiem sprowadzę dla pani masażystę z kąpieliska Diana, który usuwał odciski nawet samemu arcyksięciu Salwatorowi i jego bratu Janowi Orthowi”¹. Ale wdówka była niewzruszona. Sindbad podziwiał więc wspaniałą intuicję, która pomi-

¹ Arcyksiążę Karol Salwator Habsbursko-Toskański; jego najmłodszy brat Jan przybrał plebejskie nazwisko Orth.

mo nierozeznania w literaturze ostrzegą kobiety, że żeglarz kłamie i ani mu w głowie podróżować do Wiednia z wdówkami z Budakalász.

Ale teraz, kiedy się postarzał, a jego lekarz Lew, pomrukując i pogwizdując oraz wydając od czasu do czasu drobne, świadczące o niezadowoleniu chrząknięcia, oglądał fotografie serca żeglarza, starannie wykonane zdjęcia elektryczne z podobnymi do zapisu alfabetu Morse'a znakami i rysunkami przedstawiającymi jego umęczony rytm, nawet w rozmowach z kobietami Sindbad nauczył się uważać na każde słowo. A tej jednej, która teraz z twarzą zaróżowioną od snu, zmierzwionymi włosami i błyszczącymi oczyma stała przed nim, patrząc nań z nadzieją, tej szczególnie nie chciał kłamać.

Ta kobieta, matka Zsóki, którą Sindbad w chwilach małżeńskiej czułości nazywał czasami Eweliną — przez pamięć na pewną bladą kobietę z Podolina, żonę nauczyciela gimnastyki w tamtejszym gimnazjum, która całymi dniami czytała powieści Heinricha Zschokke, i Sindbadowi, podówczas jeszcze uczniowi wyższej klasy, który z powodu złego sprawowania został odesłany do gimnazjum w odległej przygranicznej prowincji, pokazała kiedyś haftowaną podwiązkę nad chorobliwie białym kolanem — ta kobieta znała tajemnice Sindbada. „To cud, że jeszcze mi wierzy” — mruzczał czasami starzejący się pisarz w godzinie zwątpienia i poczucia winy, o świecie, znad stołu bilardowego w kawiarni pana Medve w Starej Budzie. W momentach szczerości Sindbad mawiał, że „ta kobieta nawet kolana ma ze złota”. Lecz co też ona wniosła w rozwichrzone, tar-

gane burzami życie żeglarza? Teraz, gdy patrzył na jej miłą twarz i zamyślonym gestem, miękką dłonią pogłaskał pokryty jedwabistym puszkami kark, zadumał się nad jej skromnym losem.

Ta kobieta po troszeczkę, niby w walizeczce, z jaką kobiety z prowincji zwykły nocą uciekać w świat z łóżka swych chrapiących mężów-tyranów, wniosła w życie Sindbada to wszystko, czego na próżno szukał przez pięćdziesiąt pięć lat po kawiarniach, pokojach karcianych, śmierdzących saletrą karczmach, klubach wypełnionych kwaśnym zapachem ludzkich zmartwień, wśród przeżartych przez mole pluszowych obić mebli w pokojach do wynajęcia zatęchłych i rozpadających się czynszówek Śródmieścia. Wniosła zapach domu, który Sindbad utracił w dzieciństwie, a którego potem, wężąc niepokojnie jak wyżeł, poszukiwał po całym znanym sobie świecie. Wniosła zapach jabłek i naftaliny z domostw na prowincji, tak miły dla powracającego do domu w letnie popołudnie wędrowca, jak dotyk dłoni matki. Wniosła smakujący jak moszcz niepokój wczesnojesiennych nocy, kiedy ludzkie serca z cichą nadzieją zaczynają się burzyć niczym fermentujące młode wino w beczkach piwnic w Budaörs, które w okresie dojrzewania wchłonęło jakąś mądrość z gorzkich źródeł odkrytych w tej okolicy przez Andrása Saxlehnera. Wniosła ciszę, której żeglarz tyle razy na próżno szukał o świecie na Wyspie Zajęczej¹, kiedy już nawet dyżurnemu policjantowi znudziło się słuchać westchnień bezdomnych

¹ Nyulak szigete — dawna nazwa Wyspy Małgorzaty.

kochanków, kryjących się wśród kwitnących krzewów głogu i dzikiego bzu, i tylko sylwetka Sindbada kołysała się wśród drzew pogrążonej we śnie wyspy, jakby poszukiwał chusty pozostawionej tu przez świątobliwą królową z dynastii Arpadów. Przyniosła ciszę, lecz pełną drobnych szmerów, odgłosów sprzeczki, pogodnego brzęku naczyń kuchennych, nucenia o zmierzchu na podwórku domku w Starej Budzie, kiedy to pani domu i służąca urządzają przed Wielkanocą wielkie prasowanie, a świeży, odświeżony zapach wypranej, prasowanej bielizny i rozżarzonych węgielków miesza się z wonią przygotowywanej naprędce kolacji, skwierczącej na smalcu cebulki, cielejącej wątróbki i młodych kartofelków posypanych natką pietruszki. Przyniosła pokój, który obywatł się bez słów, jak kiedy w sypialni w zapadającej ciemności dwa umęczone serca zaczynają wreszcie bić wspólnym rytmem, a ciepłe dłonie splatają się w wiecznym przymierzu, które nie potrzebuje przysięg. Przyniosła radość majówek, kiedy mężczyźni rozebrani do koszul, rozłożywszy się na skraju lasu, opiekają nad ogniskiem słońcę, zerkając to na żar, to znów na obnażone kolana pań, pochylonych nad chłodzonymi w potoku flaszkami, a potem, wyciągnąwszy się w pachnącym paprociami cieniu, czują nagle, że może życie nie jest tylko tą przerażającą i upokarzającą przygodą, jak to się musi wydawać człowiekowi w chwilach pożegnań i śmierci. Przyniosła ukojenie i odpoczynek, których Sindbad wszędzie poszukiwał, podróżując statkiem, koleją, powozem na gumach, a nawet modnym ostatnio automobilem, a które omijały jego du-

sze jak promienie słońca omijają zatęchłe głębiny pieczar; teraz po raz pierwszy w życiu przy boku tej kobiety nie czuł palącej potrzeby wyjazdu, nie budził się każdego południa z myślą, że wieczorem w winiarni zajazdu któregoś z prowincjonalnych miast będzie rozmyślał o niezgłębionej podłości ludzkiej, o niepojętych uczuciach kobiet, przerażających sztuczkach pieniądza i o losie narodu węgierskiego — samotnie, tak samotnie, jak Święty Dawid na Księżycu, niezwiązany z nikim, zawsze gotowy do drogi, czy to na korytarzach redakcji, czy we wsiach zakarpackich, w tłoczniach winorośli w Kraju Zadunajskim, wśród sztywnych, wypchnych eksponatów zwierząt w Muzeum Narodowym czy w nieco zatęchłej, przygnębiająco uroczystej i nie całkiem bezpiecznej samotności bibliotek — w swoim pełnym przygód życiu Sindbad bał się bowiem naprawdę tylko dwóch rzeczy: książek, które kłamią, i kobiet składających przysięgi z oczyma wzniesionymi do nieba i dłońmi przyciśniętymi do serca — czy w trzcinach krainy Nyírség, w bryczesach i kaloszach, z lekką flintą na ramieniu, wędrując za zwierzyną, której śmierci nigdy przecież nie pragnął, czy przy stoliku w kącie którejś z peszteńskich kawiarni, wśród butelek po piwie; był tak samotny w tym zachłannym i interesownym, pachnącym cygarami świecie, jak des Grieux musiał być na pustkowiu, z piórem w ręce, które od czasu do czasu maczał w liliowym atramencie, by następnie z głową przekrzywioną na bok zapisać coś ze snu, który na całych Węgrzech śnił już chyba tylko on jeden. Tak żył Sindbad, ponieważ wiecznie uciekał.

Przez pięćdziesiąt pięć lat podróżował pomiędzy pokojami karcianymi, trzciniami, zaśnieżonymi zakarpackimi miasteczkami, torami gonitw konnych i kawiarniami literackimi. Przez pięćdziesiąt pięć lat był bezdomny i do każdego miasta, do każdej winiarni wkraczał z poczuciem, że dobrze będzie je kiedyś opuścić. Przez pięćdziesiąt pięć lat spoglądał na każdą klamkę tak, jakby musiał się obawiać, że intryga kobiet lub władz zamknie ją na klucz i uwięzi go, wędrowca, albowiem w tym zepsutym i podstępnym świecie człowiek nigdy nie jest dość ostrożny. Ale któregoś dnia pojawiła się ta kobieta, a żeglarz rozejrzał się dokoła i podrapał się w głowę. Po raz pierwszy w życiu nie chciał koniecznie i za wszelką cenę opuszczać ani miejsca, ani osoby. I zawsze głęboko się dziwił temu zjawisku.

Ale życie, samotność, cierpienia oraz znajomość tajemnic kobiet i mężczyzn nauczyły też Sindbada, że nie warto się zbyt dziwić niezrozumiałym rzeczom. Dlatego ożenił się z matką Zsóki i już tylko w rzadkich razach odgrywał rolę wujaszka czy dalekiego krewnego z prowincji na ślubach w kościele na Nowej Siedzibie¹, kiedy to, korzystając w ogólnego zamieszania i wzruszenia, wymieniał długie pocałunki z odchodzącymi od ołtarza w różowej euforii pannami młodymi ze Starej Budy.

Ta kobieta wniosła w życie i serce Sindbada spokój. Żeglarz nieufnie wsłuchiwał się w cichą, mrukliwą odpowiedź, jaką jego serce przyjęło pojawiającą się pokusę. Nauczył się, że pisarzom szczęście nie

¹ Újlak, dzielnica sąsiadująca ze Starą Budą.

wychodzi na dobre. „Jak ogary — powtarzał czasami po północy w restauracji hotelu „Londyn”, kiedy Várdali, zakochany w literaturze młodszy redaktor, uczeń i wielbiciel Sindbada, skończywszy już łamanie „Węgierskiej Wolności”, walecznego organu prasowego, w którym oddawał sprawiedliwość ostatnim samobójcom i defraudantom, pochylając nad szklanką ze szprycerem siwiejącą głowę przypominającą łeb umęczonego nocnego zwierzęcia, przez dym taniego papierosa z błyszczącymi oczyma słuchał historii żeglarza — zupełnie tak samo jak ogary, pisarze są w dobrej formie tylko wtedy, gdy są biedni i głodni”. Żeglarz mówił to z ironią, ponieważ wierzył w szczęście i głęboko pogardzał tym światem, który głodził pisarzy i chętniej wydawał pieniądze na oglądanie rozkapryszonych gwiazd filmowych niż na dobre książki, które znają odpowiedzi na pytania, jakie zadają sen i jawa. „Ja miałem w życiu jeden jedyny sukces” — powtarzał w takich razach Sindbad. „Czy wiesz, która to była książka? *Sennik*, mój Várdali”. A kiedy młodszy redaktor milczał, dodawał jeszcze cicho i gniewnie: „Bródy¹ miał rację. Powinienem był napisać Nową Książkę Kucharską, wtedy może coś bym jeszcze osiągnął w tym kraju”.

W takich chwilach Várdali milczał z wysuszonym gardłem i płonącymi uszami. Sindbad rzadko wspominał o urazie, jaką ten niegodny wiek obudził w sercach pisarzy i dżentelmenów.

Żeglarz patrzył na żonę i wokół serca rozlała mu

¹ Sándor Bródy (1863–1924) — popularny pisarz i publicysta.

się fala czułości, sekretna fala, z jaką wiosenne dzieki wody rozlewają się po ponurych, zamarzniętych gruntach.

„Niewiele ci dałem, ptaszku” — pomyślał i przekrzywił głowę na bok. „Dostałaś tylko pożegnanie, pożegnanie Sindbada”.

Ale głośno i surowo powiedział tylko:

— Ważne, żeby nadzienie w kapuście było pokrojone bardzo drobno. Wiesz, moja kochana, że tu walczą ze sobą dwie szkoły. Ja jestem rzecznikiem drobno posiekanego nadzienia, którego nie okrywa żadna zielona peleryna. Tak przyrządzoną kapustę jadłem kiedyś w Ungvár, w gospodzie pod miastem, gdzie braciszkanie z zakonu żebraczego przychodzili po północy na wino, i pomimo upływu dwudziestu pięciu lat nie mogę zapomnieć smaku tamtego nadzienia. Ze słoniny podgardlanej zrezygnuję ze względu na wiek, a także przemądrzałe i dziecinne rady Lwa. Ale co do schabu nie ustąpię. Pilnuj tylko, żeby ci dali część z kostką i żeby mięso było upieczone na chrupko.

I przytulił do siebie żonę. Trzymając ją w objęciach, dodał cicho i z uśmiechem, jakby prosił o przebaczenie:

— Niektórzy ludzie do dziś nie wiedzą, że do kapusty po seklersku nie dodaje się samego mięsa, tylko kawałek z kością.

Kobieta podniosła głowę i spojrzała na Sindbada, a jej oczy wypełniły się miłosnym ciepłem i łzami.

— Uważaj na siebie, kochanie — szepnęła cicho. — Zrobię wszystko tak, jak lubisz. Uważaj na zdrowie.

— Śniły mi się klucze — odparł wymijająco żeglarz. — To oznacza, że będzie przymrozek.

Założył buty, wcisnął na czoło miękki kapelusz, jeszcze raz rozejrzał się po mieszkaniu, w którym wszystko było proste i purytańskie jak w celi zakonnika i jak to przystoi skrzypkowi w głuchym świecie. A potem, trzymając się zabobonnego zwyczaju, przestąpił próg prawą nogą i wyszedł na świat, który każdego ranka odwiedzał z takimi uczuciami, z jakimi rządcą patrzy na wystawiony na sprzedaż majątek, którego nikt już nie dogląda; tylko Bóg i Sindbad, żeglarz.

Na ulicy, przed bramą parterowego domu Sindbad zatrzymał się, ponieważ spostrzegł dorożkę stojącą przed wejściem do kawiarni „Niedźwiedź”. Jako człowiek bywały na prowincji zrozumiał od razu, że w „Niedźwiedziu” odbywa się poważna, męska hulanka. Albowiem już tylko naprawdę gotowi na wszystko i znający się na rzeczy birbanzi kazali się wieść w majowe poranki na *frühstück* do kawiarni „Niedźwiedź” w Starej Budzie.

Ale dorożka, uprzęż i konie wydały się Sindbadowi znajome. W kapeluszu nasuniętym na czoło ostrożnym krokiem obszedł powóz i oparty na laseczce przyglądał mu się przez kilka chwil niczym ziemianin, który w słoneczny ranek szykuje się do niedalekiej stolicy komitatu, by sprzedać owies i napić się piwa ze starostą, więc sumiennie sprawdza, czy furman nie przyniesie mu wstydu, czy porządnie zaprzężono, czy przygotowano na siedzenie lekkiej bryczki szkocki pled w kratę i czy wyszczotkowano do błysku konie, jak przykazał po-

przedniego wieczoru. Fiaker o ogumionych kołach był jednym z ostatnich egzemplarzy w mieście i Sindbad znał zaprzężone do niego konie. Niewiele już takich powozów krążyło po ulicach Budapesztu. Jeżdżono raczej samochodami, które były prężne i śmieszne i nie można się było nimi przejechać, co najwyżej przemieszczać z miejsca na miejsce. Jednokonki, które w Sindbadzie budziły zawsze wspomnienia łaźni parowej i adeptek szkoły aktorskiej, niemal zupełnie zniknęły z ruchu ulicznego; chyba tylko sprzedawcy jaj z ulicy Rombach wozili się jeszcze z towarami tymi starymi dryndami, a także czarnoocy Ormianie mający w rysach jakiś tragizm, którzy handlowali dywanami i nawinięte na długie kije perskie materie przyciskali do siebie na siedzeniach tak ponuro i namiętnie, jak niegdyś Sindbad chórzystki z Budańskiego Koła Artystów, które zabierał o świcie na przejażdżkę powozem do Wieży Wodnej w Lasku Miejskim. Poza tym nie jeżdżono już powozami w mieście. Sindbad długo był do nich przywiązany, ale z czasem nawet jego ulubieni fiakrzy, poznikawszy z postojów, pojawili się naraz w czapkach pilotkach za kierownicami samochodów, trochę skonfundowani, niczym huzarzy, którzy posiadali z koni i przystali do maszynistów.

Teraz jednak Sindbad dokładnie obejrzał powóz. Tego majowego poranka na ulicy Kościelnej¹ nie widziało się jeszcze przechodniów. Uliczka, wzdłuż której stały parterowe domki, była tak cicha, jakby wszyscy mieszkańcy Starej Budy udali się do za-

¹ Templom utca.

mieszkałej niedaleko zielarki po proszki i ziółka na szalone serca i opuchnięte z obżarstwa brzuchy; z upływem lat Sindbad nabierał bowiem coraz głębszego przekonania, że chyba już nawet w Starej Budzie nie sposób znieść życia, kierując się tylko mądrością i umiarem.

— Czy to oficerowie konni? — spytał cicho, głosem człowieka wtajemniczonego Sindbad dorożkarza, który nieco niepewnym krokiem wyszedł z szynku przy kawiarni „Niedźwiedź”, roztaczając wokół woń palinki z wytłoczyn gronowych.

— Pan Sindbad! — wykrzyknął ów radośnie, lecz głosem pełnym szacunku. Nie było w mieście fiakra, który nie znałby żeglarza osobiście. — Handlarze pierzem! — dodał poufnie. Mrugnął i zgięciem ręki w łokciu zasygnalizował porozumiewawczo, że tej dobiegającej już końca peszteńskiej nocy szczęście przywiodło doń świetnych klientów.

— Bardzo słusznie — odparł poważnie Sindbad. — Już Széchenyi¹ twierdził, że przyszłość Węgier zależy od rozwoju przemysłu i handlu. Mogę się tylko cieszyć, że również świat merkantylny szanuje wielkie tradycje przodków.

— To peszteńczycy — powiedział dorożkarz. — Ale całkowicie pijani — dodał usprawiedliwiająco.

¹ István Széchenyi (1791–1860) — „największy z Węgrów”, wybitna postać okresu reform pierwszej połowy XIX wieku, magnat, założyciel Węgierskiej Akademii Nauk, fundator Mostu Łańcuchowego, inicjator regulacji Dunaju, żeglugi parowej po Dunaju i Balatonie oraz licznych ulepszeń w gospodarce, rolnictwie i hodowli. Ideowy przeciwnik Kossutha i rewolucji, której upadek przyplącił ciężką depresją i samobójstwem.

— Przyjechali z „Czerwonego Młyna”, bo chcieli się napić żytniówki, ale ciągle płaczą i czkają. Jeszcze w życiu nie widziałem pijanych peszteńczyków, wielmożny panie.

Dorożkarz pomagał sobie trochę kanciastymi gestami, najwyraźniej i on otrzymał swoją porcję żytniówki. Sindbad uprzejmie odparł:

— W istocie to rzadkość. Lud peszteński woli raczej czarną kawę, ten trzeźwy narkotyk, który prowokuje do dyskusji. Ja sam znałem wprawdzie jednego peszteńczyka z ulicy Królewskiej¹, który miał sklepik z dewocjonaliami i w „Małej Srocz” pił jak smok. Ale to było odosobnione zjawisko.

I wszedł do dorożki.

— Jedziemy? — spytał i usadowił się na siedzeniu.

— Jedziemy — odparł uszczęśliwiony dorożkarz i wszedł na kozioł. — Fiakier zamówili wprawdzie moi klienci i taksomierz pokazuje już szesnaście pengó...

— To żaden problem — zamruczał Sindbad, wyciągnął długie nogi i machnięciem ręki dał do zrozumienia, że takie szczegóły go nie interesują. I w złocisty majowy poranek dorożka niespiesznie potoczyła się w stronę Pesztu.

Sindbad zawsze lubił podróżować wygodnie. Mawiał, że dla podróżnego, którego serce jest tak ciężkie jak jego własny sakwojaż, nigdy nie dość wygody. Przymknął oczy i całym zmęczonym ciałem z przyjemnością poddał się znajomemu kołysaniu,

¹ Király utca.

przyjaznej, dobroczynnej trzęsionce. W kołysaniu dawnych dwukótek budapeszteńskich o połamanych resorach było jeszcze coś z podniosłego, niepewnego rytmu dawnego życia. Dwukółki nadawały się do różnych rzeczy, tylko nie do dalekich podróży. Czasami toczyły się leniwie, czasami znów pędziły, ale nigdy się nie spieszyły. Dla dawnych podróźnych pośpiech nie miał żadnego znaczenia, nie musieli jak najprędzej dojechać do celu. Poza tym siedzenia dwukótek, z których na ogół wyłaziło końskie włosie, były naprawdę wygodne, podobnie jak oparcie naprzeciw, na którym Sindbad wyciągnął nogi, i nawet w zapachu derek końskich i samych koni było coś znajomego i sprawdzonego, jakies zadomowienie, którego Sindbad z coraz większą tęsknotą i smutkiem poszukiwał w życiu i które coraz rzadziej znajdował w różnych wychodzących już z mody zjawiskach. „Tramwaj jest tańszy” — pomyślał, przymykając oczy z poczuciem winy. Tak, tramwaj był znacznie tańszy od tej sfatygowanej barki, która z obciążeniem wynoszącym szesnaście pengó ruszała w drogę, u celu której Sindbad do wieczora miał zarobić sześćdziesiąt pengó, by kupić Zsóce mundurek na egzamin. „Nigdy nie będę oszczędnym człowiekiem, choćbym miał żyć sto lat wśród braunhaxlerów¹ w Starej Budzie” — ciągnął mowę samooskarżycielską żeglarz. Tramwaj za kilka fillerów dowoził pasażera do tętniącego życiem

¹ Dosłownie: brązowonodzy; tak nazywano osadników niemieckich, którzy na początku XVII wieku przybyli do Starej Budy. Zajmowali się uprawą winorośli i aby oszczędzić buty, pracowali boso.

miasta, po którym o tej porannej godzinie z napięciem i przebiegłością drapieżników już krążyli smutni ludzie w poszukiwaniu codziennego kawałka chleba. Ale kołysanie powozu było przyjemne i Sindbad nie potrafił naprawdę żałować tych szesnastu pengō, które jednym lekkomyślnym ruchem wyrzucił za okno, zdjąwszy ciężar zapłaty za nocną jazdę z ramion nieznanych i spragnionych hulanki pijanych handlarzy pierzem. Nie był ich w stanie żałować, ponieważ świeciło słońce i w głębi serca za tym właśnie tęsknił, kiedy wyszedł za bramę domu przy ulicy Kościelnej; bo choć szanował tramwaj, nie znosił go, podobnie jak całej reszty nowoczesnych środków komunikacji — po raz ostatni naprawdę dobrze czuł się na niewygodnych siedzeniach kolei końskiej w Sziget, której konik tak zwało galopował pomiędzy dwiema żelaznymi szynami wąskiej trasy, jakby wioził na schadzkę swego pasażera, Sindbada, niegdysiejszego mieszkańca Szigetu, mężczyznę w kwiecie wieku, wówczas jeszcze walecznego i mającego za nic porady doktora Lwa — lecz nie potrafił żałować lekkomyślnego czynku również dlatego, że pewien głos, którego w ostatnich czasach coraz częściej zmuszony był słuchać, szeptał doń, że nie warto być przesadnie rozsądnym w tym krótkim niczym pachnące moszczem październikowe popołudnia w czasie, jaki mu jeszcze pozostał do przeżycia. „Koszta własne” — pomyślał żeglarz i oparty na lasce pochylił się trochę do przodu. Nie warto żałować niczego, co człowiek czynił, idąc za podszeptem serca i skłonności w ciągu tak nieprawdopodobnie krótkiego żywota.

Jechali więc tego ciepłego poranka w kierunku Pesztu, pan, dorożkarz i koniki, jakby postępowali w niewidzialnym kondukcje pogrzebowym. Ale w rzeczywistości świeciło słońce i nad naddunajskim krajobrazem unosiły się wspaniałe wonie życia. Pod dotykiem promieni majowego słońca zmęczone serce żeglarza zaczęło bić żywiej. „Czy to nie najpiękniejsza rzecz w życiu?” — pomyślał sobie z zamkniętymi oczyma, wsparty na lasce w rozklekotanej dorożce. Najpiękniejsza rzecz w życiu, przeżyć raz jeszcze majowy poranek, zanurzyć twarz w zmysłowych zapachach i oparach wiosennego słońca, wiedzieć, że życie mamy za sobą i nic nas już nigdy więcej nie zaboli, kobiety mogą sobie kłamać, ile chcą, mężczyźni zdierać pieniądze i zaprzętać głowę podłymi machinacjami, ale już my wiemy, że życie obojętnie toczy się dalej, z nami i bez nas, i wszystko, przez co cierpimy, rozpułynie się w czasie i słonecznej przestrzeni tak samo, jak pod wpływem majowego słońca rozpuływa się wisząca nad Dunajem mgła. Szesnaście pengó, pomyślał w roztargnieniu żeglarz, z szesnastu pengó matka Zsóki mogłaby już zapłacić rachunek za światło. To przypuszczenie zasmuciło go na chwilę. Ale na jego twarzy, która nawet w takich chwilach była tak spokojna i pełna godności, jak niepytające o nic, niczemu się niedziwiące i wiecznie milczące oblicza wschodnich bożków, powoli zagościł uśmiech. „Trzeba to dodać do reszty” — pomyślał po chwili. Do reszty, do setek i tysięcy, do tych nieprzeliczonych plików banknotów, które Sindbad przez pół wieku bez powodu i z pogodą ducha przepuścił i roztrwonił w pokojach kar-

cianych, przed zakratowanymi okienkami budek totalizatora na wyścigach konnych, w winiarniach i hotelach Grinzingu i Tabánu, gdzie można się było obudzić o szóstej po południu — jak to zresztą przystoi dżentelmenowi, który nie chce mieć bezpośredniej styczności z tym zepsutym światem — i w tylu innych miejscach. Niestety, żeglarz nie potrafił utrzymywać porządku w finansach. Znał dotyk banknotów, trzymał je w lewej kieszeni, i nawet kiedy już wypił, potrafił z zamkniętymi oczyma, samym tylko dotykiem opuszków palców, jak zwykle karciarze — i niewidomi — odróżnić banknot dziesiątki od pięćdziesiątki, wiedział, w jaki sposób zdobywają pieniądze smutni, głodni i rozdrażnieni ludzie, czuł na banknotach zapach krwi i potu, miłości i tanich perfum, złe wyziewy słomianych sieników i niemytych ciał, i czasami myślał już, że jest tak zorientowany w kwestiach pieniężnych, jak holenderscy Żydzi — tyle, że pomiędzy Sindbadem a pieniędzmi nie istniało żadne przywiązanie. Widział pieniądze, gdy były jeszcze złotem, i widział je później, gdy były już tylko „jaśkowym banknotami”¹, których puste cyfry beczelnie oszukiwały świat. Nie bał się pieniędzy i nie szanował ich. Kiedy sięgał do kieszeni, żeby wyciągnąć banknot czy rzucić na zielone sukno stołu do gry garść złotych monet, w jego geście zawsze było coś ze wzruszenia

¹ „Jaśkowym banknotem” (jancsibankó) nazywano na przełomie XIX i XX wieku przekaz pieniężny, wypłacany często robotnikom rolnym zamiast gotówki; za „jaśkowe banknoty” można było nabywać towary tylko w wyznaczonych sklepach.

ramion. Znał mamonę jako święty symbol i narzędzie władzy szatana, wiedział, co w mieście sprzedaje się za pieniądze, czasami zatrzymywał przez chwilę wzrok na portrecie sprawiedliwego króla Macieja w lewym rogu banknotu stu pengó, wiedział, kto, kiedy i jak oszukuje, krzywoprzysięga, kłamie i zabija w tym mieście w zamian za portret mądrego króla. Sindbad wszystko wiedział o pieniądzach. Tylko nie umiał się z nimi obchodzić.

Dlatego i teraz wzruszył lekko ramionami na wspomnienie szesnastu pengó i ruchem głowy wydał jakby polecenie niewidzialnemu kelnerowi, żeby tę poranną majową lekkomyślność również dopisał do rachunku. Sindbad wiedział, że jego walka z pieniądzem jest beznadziejna i że nie warto już składać hołdów bożkowi zła. Skądinąd żeglarz miał naturę rozważną. Najchętniej założyłby książeczkę oszczędnościową w starym banku przy ulicy Głównej¹ w Budzie, gdzie kasjer całymi dniami komponował msze i zapisywał je na papierze nutowym, a klienci rozmawiali z urzędnikami tak poufnie, jakby wszyscy byli jedną rodziną, jak to przystoi w trzeźwo myślącym i godnym zaufania mieszczańskim świecie. W tym banku pragnął Sindbad trzymać pieniądze, a książeczkę oszczędnościową chować w domu pod siennikiem. Był rozważny i pełen skrupułów, lecz ukrywał to przed samym sobą za parawanem szerokich gestów i przesady. Wszystko przepłacał, choć tak dokładnie znał prawdziwą wartość przedmiotów i ludzkich pragnień, jak przekup-

¹ Fõ utca.

ka z hali targowej. Z na pół przymkniętymi oczyma chodził po świecie, którego zjawiska przenikały do jego świadomości w jakiś niepojęty, niewiadomy nawet dla niego samego sposób, wiedział dokładnie, jaka jest wartość człowieka, a jaka paltota wiosennego, gdzie podają czyste wino i czystą poezję, która kobieta odpłaca uczuciem za uczucie, a która nie zasługuje nawet na to, by mężczyzna tracił przez nią humor choćby na tak krótką chwilkę, w jakiej wypala się papierosa, znał wartość słowa honoru i zapewnień wygłaszanych przez mężów stanu o stentorowych głosach, wiedział też, gdzie można tanio kupić solidne pończochy. Sindbad wiedział o wszystkim, znał wartość wszystkiego, lecz nie potrafił się przejmować ceną niczego; czasem zastanawiał się, skąd wie to wszystko o przedmiotach i o zjawiskach przyrody, o mężczyznach i o kobietach, o zwierzętach i o demonach, o zabobonach i o codziennych, magicznych sekretach życia — jaki to węch, świadomość, instynkt, jakie to przewrotne, nieznanne źródło wiedzy karmiło Sindbada wiedzą o świecie? W szkole niczego takiego się nie nauczył. Zdał maturę, ale właściwie chodził do szkoły krótko, tylko w niezbędnym zakresie i niejako przez roz-targnienie. Mistrzowie i preceptorzy, których jego ojciec, milkliwy dziedzic z Nyírség, utrzymywał w staroświeckim zamku dla udzielania nauk synowi — pewien polski szlachcic i stary wędrowny aktorzyzna, który bał się ręki i pejcza ojca Sindbada nie mniej niż w młodości sam Sindbad — nauczyli go jedną ręką zwijać w kieszeni spodni papierosa i wychylać zawartość kieliszka bez drgnięcia grdyki; i

to była cała wiedza, ponieważ ani Polak, ani aktor też nie wiedzieli więcej o życiu. Kiedy i gdzie posiadał tajemną wiedzę o świecie Sindbad? Gdzie odbył gruntowne i wszechstronne studia? Sam nie potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie.

— Pisarza — mawiał czasami do Várdalego, swego ucznia — wiedzie węż, jak lisa. Gdyby ludzie podejrzewali, co my wiemy, posłaliby ładunek śrutu za skórę każdego prawdziwego pisarza.

Ale ludzie nic nie wiedzieli o Sindbadzie. Powóz kołysał pasażera i woźnicę, koniki rażno pędziły słoneczną ulicą Arpada wzdłuż starego Dunaju, jakby gość przyjeżdżał z Pozsony, a konie ciągnęły słynny czerwony dylizans pocztowy, którym niegdyś szalony bohater opowieści Sindbada, pan Felvéghy, podróżował pomiędzy starym grodem koronacyjnym a Peszt-Budą, ukryty w głębi powozu, otulony w podbitą wydrowym futrem pelerynę z podniesionym kołnierzem oraz chorobliwe obrzydzenie i dumę, z zimnym znakiem śmierci, mdłości i wzgardy na żółtej twarzy, w której oczy były jednocześnie tak oczekujące i spragnione, jakby znały i zachowały w głębi serca tajemnicę, słodką i godzącą ze światem niczym pocałunek matki, i tak podniecającą, jak naga stópka jedynej prawdziwej kochanki, która z ciekawości i zapomnienia o sobie wysuwa się spod kołdry na miłosnej łożnicy i budzi przywiązanie nie mniejsze od tego, z jakim mężczyźni składają przysięgi na honor i ojczyznę. Tak siedział Sindbad w starej dorożce i patrzył na Dunaj, który tego wiosennego poranka żwawo płynął w stronę Żelaznej Bramy.

Sindbad był zaprzyjaźniony z Dunajem. Starał

się mieszkać zawsze w pobliżu potężnego i leniwego cielska rzeki, znał wszelkie jej humory i kaprysy, głosy i barwy, ptaki i ludzi żyjących w jej pobliżu, znał jej nocne tajemnice, kiedy samobójcy unoszą się w kierunku Paksu na falach niczym mewy, znał letnią hałaśliwość rzeki, znał jasny odcień jej splotów i błękitno-jedwabiste marzenia, rozpoznawał, kiedy była rozstrojona jak bezdomny poeta, a kiedy znów czarna i tragiczna jak znawczyni najbrudniejszych tajemnic miasta i jego krwawej nieufności. Sindbad kochał rzeczy wieczne, dlatego starał się zawsze mieszkać w pobliżu Dunaju. Ale teraz, w gęsty wiosenny poranek, rzeka była tak przejmująco znajoma i poufna, że serce Sindbada wypełniło się niespokojną radością. Patrzył na wodę, mającą tego poranka barwę jasnożółtą jak tytoń „Pur-siczian”. Wdychał wilgotny zapach fermentu, unoszący się nad wielką wodą, w której mieszały się aromaty wiosny, nieczystości z fabryk w Starej Budzie i pomyje całego miasta. Pamiętał, że jeszcze niedawno, zaledwie kilka tygodni temu, wodę pokrywał wełnisty, lodowy kozuch kry, a nieopodal przystani dla statków rzecznych rybacy wyrabali w łodzi przerębel; lecz któregoś dnia woda zrzuciła z siebie to nieczyste przykrycie, ukazała się świeża i jasna, jakby wykąpała się w morzu. Sindbad myślał o losach różnych narodów, o tysiącletniach i wędrówkach ludów, których losy złączyły się z tą rzeką, ale myślał też o ludzkim życiu, ponieważ fale Dunaju przypominały mu zawsze o przemijaniu. Nie lubił jednak o tym mówić. Dlatego zapytał raczej dorożkarza:

— Czy w „Niebieskiej Baryłce” piją jeszcze rano truskawkową palinkę?

— Tylko džentelmeni — odparł dorożkarz — i nadzorcy sprzątaczy wagonów. Już bardzo niewiele ludzi w mieście pija truskawkową palinkę.

— Tak oto zapomina się o pięknych obyczajach — powiedział zagniewany Sindbad. — Słyszę, że młodzież pija ostatnio jakieś obrzydliwe zlewki, mieszanekę alkoholi, którą nazywają koktajlem.

— Nie słyszałem o tym, wielmożny panie — odpowiedział dorożkarz i pognął konie, jakby przestraszył się tej wieści.

— Wiem to z pewnego źródła — zamruczał żeglarz. — Opowiadał mi o tym Pista Kászonyi, który zna osobiście dwie aktorki. Ale napisane jest, że naród, który nie szanuje tradycji przodków, zmierzcha do zguby.

Fiakier tym razem nie odpowiedział, a koniki przyspieszyły, jakby rozumiały niezadowolone pomruki Sindbada. Żeglarz wyciągnął się na siedzeniu i zamilkł. Najchętniej rozmawiał już tylko z dorożkarzami i kelnerami, ale i z nimi tylko o tym, co niezbędne. Teraz wprawdzie wypowiadał się gniewnie, z mrukliwą porywcznością w głosie, ale w rzeczywistości pogodził się już dawno z tym, że skarłałe młode pokolenie nie pija rankiem palinki truskawkowej; a zresztą dobrze się czuł. Przejazdka powozem zawsze wprawiała Sindbada w świetny nastrój. Bo w głębi serca zawsze miał nadzieję, że dorożkarz i konie któregoś dnia przejadą obok celu podróży i zatrzymają się dopiero gdzieś na prowincji, przed domem, w którym mieszka szczęście! Lecz

czegoż to oczekiwał Sindbad od życia, jakiegoż to szczęścia? Teraz, kiedy wszystko już się właściwie kończyło, a uczucia w jego sercu opadły i zgęstniały jak stuletnie wino tokajskie w poczerniałej od szlachetnej pleśni i czasu flaszcze, dziwił się niekiedy, jak niewiele pragnął i jak zwyczajne były te pragnienia! Czasami widział już jasno, że zagubił się w życiu i zapewne nie mógł za to winić nikogo, co najwyżej zmęczoną i mądrą krew, która od tysiąca lat krążyła w elastycznych i twardych, a także w zwapnionych i słabych żyłach mieszkańców tego kraju, nim zaczęła krążyć w sercu i ciele Sindbada. Nie mógł winić nikogo poza własną naturą, która tego zaplątanego w literaturę dżentelmena wiecznie gnała pomiędzy dwoma krańcami świata. Naprawdę bowiem Sindbad urodził się po to, by w wieku czterdziestu lat najważniejszy był dla niego wyrój pszczoł, przetaczanie młodego wina czy zimowe polowania, na które zapraszałyby najlepszych myśliwych z okolicy. Najchętniej przez całe życie chodziłby w bryczesach z wkładką z jeleniej skóry, w lekkich butach z cholewami, kraciastej bekieszce, jakie kupują zarządcy ziemscy w składach towarowych przy ulicy Rakoczego i w kapeluszu z chwościkiem z koziej sierści, którego zielona taśma z czasem zazwyczaj czernieje od tłuszczu i potu. W takim to odzieniu chciał żeglarz chodzić przez całe życie, i rzeczywiście, na dnie którejś z walizek ozdobionych licznymi naklejkami hoteli angielskich przechowywał parę bryczesów z takim pietyzmem, z jakim zwykle tylko młode panny strzegą zdjęcia ukochanego w książeczce do nabożeństwa — u-

kochanego, który wsiadł na statek i popłynął do nowego świata, ponieważ nie miał pieniędzy na miłość. Sindbad był człowiekiem uczuciowym i w chwilach jasności widział swoją tragedię w bardzo prosty sposób. Rzecz polegała jedynie na tym, że urodził się panem i pisarzem w świecie, który nie potrzebował już ani prawdziwych panów, ani prawdziwych pisarzy — co według Sindbada oznaczało zresztą jedno i to samo. Niegdyś, myślał Sindbad, każdy pisarz pragnął w głębi serca być podobny do Vörösmartyego¹, który był prawdziwym panem, węgierskim i szalonym, szlachetnym i ponurym, jakim należy i wypada być wobec nieczystych zamiarów tego świata, panem, całkowicie, a także poetą, za wszelką cenę, podchmielonym i biednym jak żebrak, z całym bólem ojczyzny w sercu, samotnie, naprzeciw Balatonu, z jadem zatrutego pocałunku we krwi, spoglądającym na węgierski pejzaż szklanym, nietrzeźwym wzrokiem i deklamującym odmawiającym posłuszeństwa językiem, stygnącymi wargami strofy *Starego Cygana*... Berzsényi był panem, mrucał gniewnie żeglarz, János Arany też nim był, i Petőfi². Dla żeglarza pan nie wyróżniał się rangą ani majątkiem, tylko wielkodusznością i prawdziwymi popędami serca, z jakimi mężczyzna przyjmuje swój los i rolę w tym świecie. Lecz teraz pisarze służyli raczej jako dostarczyciele rozrywki

¹ Mihály Vörösmarty (1800–1855) — poeta wczesnego romantyzmu, m.in. autor sławnego wiersza *Stary Cygan*.

² Dániel Berzsényi (1776–1836), János Arany (1817–1882), Sándor Petőfi (1823–1849) — najwybitniejsi poeci węgierscy XIX wieku.

albo wymądrzali się jak geodeci, albo milczeli wystraszeni, jakby upokarzające szykany urzędowe czy więzienie były naprawdę takim znów wielkim niebezpieczeństwem! Sindbad pogardzał polityką, był bowiem przekonany, że pisarz, którego zadaniem jest przekazanie narodowi samych tylko najszlachetniejszych uczuć i najważniejszych prawd, powinien zawsze mówić o rzeczach wiecznych: o jesieni, o honorze, o fatum albo o kobietach, które — zepsute czy nabożnie czyste — trzymają jednak w ramionach sens życia. Żeglarz urodził się panem, a pisarzem był w sposób całkowicie pozbawiony nadziei i z poświęceniem całego swego losu, ale tak dalece nie chciał już rozumieć tego świata i serce miał tak bardzo przepełnione goryczą, że czasem wręcz dziwił się, czego jeszcze szuka między ludźmi. W takich chwilach jakiś głos podpowiadał mu, że w tych niepojętych potyczkach świata ma jednak własne zadanie. „Muszę pozostawić znak — myślał w takich chwilach, zamykając oczy — że były inne Węgry”. I wyraźnie widział tę swoją inną ojczyznę, której bronił sercem i piórem, jak jego dawni przodkowie mieczem i buzdyganem.

Ale o tym nie lubił mówić nawet z Zsóką.

Przed zakładem wodoleczniczym z gorącymi źródłami czekał na niego Artur, gawędziarz. Już z daleka poznał nadjeżdżającego dorożką żeglarza, głęboko mu się uklonił i bez słowa wdrapał się obok niego na siedzenie.

Dalej jechali już we trzech, żeglarz, dorożkarz i

gawędziarz, który — według surowej i nie całkiem bezstronnej oceny Várdalego — w ostatnich czasach zaczynał się powtarzać. To spostrzegali oczywiście tylko specjaliści, którzy z wężem wyżłów obserwowali wszelkie ludzkie i artystyczne zjawiska w mieście. Ale jego przyjaciele i publiczność, małe dzieci na Wyspie Małgorzaty oraz w Ogrodzie Zoologicznym, którym przed południem i po południu opowiadał bajki, odnosili się do programu Artura z większą wyrozumiałością.

W tym okresie gawędziarz dniem i nocą nosił żakiet, pozostając niejako w stałej gotowości, jakby nigdy nie było wiadomo, kiedy nieoczekiwanie pojawi się okazja opowiedzenia czegoś nowego i ciekawego o królewiczu Argiriuszu albo o Królownie Śnieżce. Czy to z powodu żakietu, czy też miny Artura, dość powiedzieć, że pojawienie się gawędziarza o tak wczesnej godzinie wywołało poruszenie na ulicy Króla Zygmunta¹, w którą skręciła dorożka żeglarza. Artur w żakiecie wyglądał tak, jakby wечно szykował się na jakąś niepojętą, tajemniczą uroczystość, na której miałby być naraz panem młodym, skazańcem i katem. Żakiet kupił dawno temu, przed dziesięcioma laty, i do tej wysłużonej sztuki ubrania był tak bardzo przywiązany, że miał zwyczaj nawet w niej sypiać. Bo oprócz opowiadania drugą wielką pasją tego poważnego i uroczystego mężczyzny było spanie. Artur potrafił spać tak, jak wielcy pianiści potrafią ćwiczyć — w drodze, w wagonie kolejowym, na wożonej ze sobą niemej klawiaturze.

¹ Zsigmond király útja.

Sindbad bardzo sobie cenił gawędziarza i często zabierał go ze sobą do łaźni parowej. Siadali wówczas po turecku w basenie z gorącą wodą i żeglarz prosił, by Artur snuł mu do ucha opowieści. To była jego słabość — słuchać w łaźni cudzych opowieści.

— Nie lubię Królowny Śnieżki — mówił czasami, wyciągnąwszy się w gorącej wodzie, żeglarz. — Była do przesady prymuską. Nie ufam kobietom, które zawsze zachowują się jak należy i wznoszą oczy do góry. Te są najniebezpieczniejsze. Zła i piękna macocha wydaje mi się bardziej szczerą i lepiej trafia w mój gust. Opowiedz mi raczej o Wojaku Janoszu¹, który przynajmniej był Węgrem.

I Artur opowiadał. Opowiadał w dawnej łaźni tureckiej, gdzie emerycy mokli w gorących wodach z takim wyrazem twarzy, jakby świat był jednym wielkim domem wariatów, w którym garstka trzeźwych i rozsądnych ludzi musi się podporządkować szalonym ideom otoczenia. Ta łaźnia była jednym z nielicznych miejsc w stolicy, których nie dotknął jeszcze łom nowoczesności i gdzie żeglarz dobrze się czuł. Lubił rozmiary piętrowego, żółtego budynku, lubił jego podsienia, gdzie nie było nic specjalnego do oglądania, lecz przy każdej okazji, szczególnie jednak zimowymi świtami, gdy przybywający z balu czy nocnej kawiarni gość, drżąc z zimna, przekraczał z liliowym nosem oszkloną bramę, naraz zaczynał się swojsko czuć, w nieokreślony, odczuwalny tylko przez żeglarza i jego pokolenie sposób wracał „do domu”, bo choć brakowało tu mebli

¹ Wojak Janosz — bohater eposu ludowego Sándora Petőfiego.

i kanarka, jednak był to dom, w jakimś szlachetnie bezdomnym, męskim i ponurym sensie tego słowa. Żeglarz lubił nawet sam zapach sieni i korytarzy, który unosił się w ciepłym powietrzu — znana i surowa mieszanka oparów gorących wód, chlorowanych ręczników i nieperfumowanych, naturalnych woni ciał ludzkich.

„Tośmy przecie ludźmi! Cóż się wstydzić tego...!” — cytował czasami żeglarz, nadymając nozdrza i wciągając znajome zapachy, jakby miał za chwilę spotkać porywczego jednookiego Kölcseyego¹, który też moczy tu odciski, usatysfakcjonowany, lecz również pełen skrupułów, ponieważ wygłosił już przemowę nad katafalkiem swej ofiary, Berzsényiego².

Tak, była w tym zapachu mieszanka rozmaitych losów ciała, zdrowia i choroby, nocy i niemocy, mydła i potu, a jednak ze wszystkim był to zapach przyjazny i znośny, jak woń sypialni bardzo starych rodów, w których dawni przodkowie żyli, spali, jęczyli, kochali, drzemali z pełnymi brzuchami, rodzili się i walczyli ze śmiercią. Żeglarz wkroczył razem z Arturem do bramy zakładu kąpielowego i pociągnął nosem.

— Powiedz dorożkarzowi, żeby czekał — zwró-

¹ Ferenc Kölcsey (1790–1838) — poeta, polityk, wybitna postać tzw. okresu reform.

² Kölcsey napisał kiedyś złośliwą krytykę wierszy Berzsényiego, po której ten poeta „złamał pióro” i więcej nie publikował. Jednak z czasem Kölcsey zmienił zdanie i to właśnie on wygłosił mowę pogrzebową nad trumną Berzsényiego. Sindbad cytuje sławne zdanie z tej mowy, w którym Kölcsey przyznaje się do pomyłki.

cił się do Artura. — Już go zatrzymam na dzisiejszy dzień, niech tam, bo mam ważne sprawy urzędowe. Ale niech się najpierw napije piwa na mój rachunek. Powiedz mu, że przez ten czas, kiedy my będziemy zażywać kąpieli, ma wytrzeźwieć za pomocą jasnego piwa. Nie lubię, jak mi dorożkarz siedzi na koźle zgarbiony jak większość świętych Janów Nepomuków przy drogach w tym kraju. Takie jest moje polecenie. A ja tymczasem kupię bilety.

I podczas gdy Artur z rozwianymi połami zakie- tu i siwymi kosmykami włosów zawrócił, by wypełnić polecenie żeglarza, Sindbad oparł się na łokciach przy okienku kasy i z galanterią zaczął zalecać się do kasjerki.

— A cóż to łaskawa pani raczy czytać? — spytał nieco prowincjonalnie, jakby jedynym celem chodzenia do łaźni było zawieranie znajomości.

Starsza dama, która z polecenia magistratu sprzedawała tu bilety, znała już żeglarza. Wysunęła przez okienko pulchną, miękką rączkę i przyjęła złożony na niej pocałunek Sindbada, jakby tego majowego poranka z okna we dworku podawała rękę przejeżdżającemu właśnie oficerowi ułanów, po czym odparła bardzo głębokim głosem, jakby paliła cygara, co miały w zwyczaju liczne samotne niewiasty na dawnych Węgrzech:

— Nową powieść Szukulicsa, panie Sindbadzie — i pulchną rączką pokazała żółtą okładkę wydawanej w zeszytach powieści. — *Czarny rycerz*. Bardzo dobra. Szukulics jest moim ulubieńcem.

— Powtórzę mu to — obiecał Sindbad. — Nie chcę się przechwalać, ale z czystym sercem mogę

panią zapewnić, że ten sławny pisarz należy do kręgu moich przyjaciół.

— Och — westchnęła marzycielsko dama i przycisnęła oburącz do serca powieść. — Pewnie panowie wiele przesiadują razem i omawiają literackie plany. Jakie to piękne, kiedy królowie ducha gawędzą o nieprzemijających sprawach...

— Z Szukulicsem — odparł ostrożnie Sindbad — nie rozprawiam zbyt często o kwestiach literackich. Wszystko, co o nim wiem, to fakt, że pija ciemne piwo, lubi młodą cebulkę i salceson. Poza tym przez pewien czas nosił skórzaną marynarkę. To, jak sądzę, najbardziej wyniosły człowiek w mieście. Nic w tym dziwnego, bo jest przyjacielem lwa z Vitkovic.

— A kto to taki? — spytała dama, odrywając bilety, spragniona każdego słowa Sindbada.

— To jest, proszę pani, król życia — odparł Sindbad i zawadiacko wsunął zrolowane bilety w dziurkę klapy paltota. — Znany z tego, że podczas wojny z narażeniem życia ukradł kasę pułku i wyjechał z nią na tydzień do Lwowa, gdzie pił wódkę i zabawił się z panienkami. Jego rodzina zwróciła później ukradzioną sumę i skarb państwa o niczym się nie dowiedziało. To był dopiero odważny człowiek — zakończył, kiwając z uznaniem głową, zamyślony Sindbad.

— Jacy dziwni ci pisarze — szepnęła zmieszana kasjerka.

— To fakt — przyznał Sindbad i przechylił głowę na bok, jak zawsze, gdy rozmyślał o przedziwnej naturze życia. — Pisarze to w istocie dziwni

ludzie. Przyprawdzą tu kiedyś na cześć łaskawej pani tego lwa z Vitkovic i zabiorę go do łaźni. To zresztą wskazane, by pisarze, zgodnie z najnowszą modą, czasem się kąpali.

Spojrzał w powietrze, jakby nagle usłyszał jakiś głos.

— Prawdą jest jednak — dodał po chwili, uniósłszy dłonie jak ktoś, kto odwołuje własne słowa — że Benedek Virág¹, który mieszkał w pobliżu, przy Placu Jelenia², nigdy się nie kąpał.

Ucałowałszy ponownie dłoń kasjerki, powolnym krokiem ruszył po schodach do znajdujących się na piętrze łazienek. W zakolu półpiętra na ramie lustra sięgającego do ziemi umieszczono szereg czarnych tabliczek, na których złotymi literami wypisane były nazwiska i adresy różnych firm handlowych w Śródmieściu. Większość z nich już nie istniała, wymarła też publiczność, która z ogłoszeń wywieszonych w łaźni dowiadywała się, u kogo warto nabyć długie czarne karnawałowe rękawiczki czy ciepłe kalessy, które nad kostką należało obwiązać tasiemką i w które nawet ubierano do trumny zmarłych. Sindbad zatrzymał się przed ogłoszeniami zesłowiecznych firm i długo, z ukontentowaniem studiował treść anonsów zapisanych złotymi literami na czarnym tle. Oferowano tu ręcznie szyte buty z elastycznymi wstawkami po bokach, w których nawet najdelikatniejsze i najwrażliwsze stopy mogły stąpać tak żwawo, jakby życie było nieustającym

¹ Benedek Virág (1754–1830) — paulin, poeta.

² Szarvas tér.

weselem. „To było najlepsze obuwie” — pomyślał Sindbad, wspominając je z uznaniem. „Piękne, o podłużnym nosku, w żółtawym kolorze wyła węgierskiego, buty typu *everlasting* można było wieczorem zrzucić z nóg jednym ruchem!” Ale nawet tu, wśród odwiedzających łaźnię gości nikt już nie nosił żółtych butów z elastycznymi wstawkami po bokach. Potem odkrył wśród ogłoszeń tabliczkę pewnej firmy kwiaciarskiej w Śródmieściu, której właścicielką była sławna z zainteresowań literackich Róza¹, piękność nad pięknościami, najsympatyczniejsza z kwiaciarek, która później prowadziła salon literacki na ulicy Nowy Świat, gdzie bywał i książę Walii, i ów głęboko religijny węgierski hrabia², którego przyjaźń w tamtej epoce była dla pięknej i zdolnej kobiety największym uznaniem i łaską. „Tu, w tej kwiaciarni zaczynała Róza — pomyślał Sindbad — tu ją poznał wielmożny pan hrabia, od którego miłości czystsze i głębsze były tylko jego uczucia religijne”. W latach młodości, kiedy jeszcze nie znał wartości pieniądza ani kobiet, z tej firmy kwiaciarskiej zwykł często posyłać Sindbad eleganckie bukiety co bardziej łatwowiernym damom.

— Pamiętasz? — spytał półgłosem, ponieważ poczuł, że Artur, który rozmówił się z dorożkarzem i przekazał mu zdrowotne polecenie Sindbada, już

¹ Róza Pilisi (1857–1931) — węgierska „dama kameliowa”, nazywana „Różą Pesztu”, rzeczywiście przyjmowała w swoim salonie literackim księcia Walii, gdy ten odwiedził Budapeszt przy okazji Wystawy Światowej.

² Albert Apponyi (1846–1933) — polityk, z którym Róza Pilisi podróżowała ponoć do Lourdes.

go dogonił i stoi za nim na schodach. — Czy pamiętasz jeszcze Cecilię C.?

— Ja miałbym jej nie pamiętać? — wymruczał Artur. — To ja musiałem czekać do piątej rano w hallu, podczas gdy pan pił w orfeum szampitra z damą w saloniku *séparé*.

— Stąd wysłałem jej kwiaty — powiedział Sindbad i czubkiem łaski wskazał na tablicę ogłoszeń. — Zawsze róże, czerwone róże, zimą i latem, cały kosz róż. Tylko raz wysłałem jej bzy, w maju. Fakt, że wówczas Róża ogoliła dla mnie z bzu pół Szwabskiej Góry.

— To dziwne — dodał po chwili i westchnął — dziwne, jak świat zapomina! Pewnie już nikt w mieście poza mną nie pamięta, że Cecilia była kobietą o najciekawszej figurze w całej Europie.

— Ponieważ? — spytał z ukrywaną obojętnością gawędziarz, posapując.

— Mam zwyczaj milczeć o takich rzeczach — odparł karcącym tonem żeglarz. — Wprawdzie to, o czym wspomniałem, nie jest tajemnicą, bo ksiązę Walii też o tym wiedział. Jednak mówmy o czym innym — zakończył wielkopańsko i delikatnie.

I ruszył zdecydowanymi krokami po schodach. Artur milczał, ponieważ wiedział, że w takich razach nie wypada się wypytywać. W ostatnich czasach wspomnienia atakowały żeglarza z pełną goryczy gwałtownością i sprowadzały nań niepokojące przygnębienie. Dlatego nie odezwał się już, milcząc zdjął ubranie i bez słowa zawiązał sobie przepaskę wokół bioder, po czym spokojnym krokiem ruszył w stronę basenu, gdzie znał i wszystko, i

wszystkich, a starzy, otyli mistrzowie masażu przyjęli go z takim szacunkiem i radością, jakby wielmoża z Konstantynopola na czele swoich janczarów i w otoczeniu paszów powrócił do nich, do swego haremu i rozkosznego domostwa gdzieś nad brzegiem Bosforu.

Albowiem tu, na krawędzi środkowego basenu rzeczywiście zlewały się ze sobą w ciepłej mgłę Wschód i Zachód, w gorących oparach stapało się ze sobą wszystko, co pod względem gustów, przeszłości i wspomnień rozdzielało dusze mieszkańców obu tych światów. Sindbad usiadł na najwyższym stopniu i zamoczył stopy w gorącej wodzie, w której przed czterystu laty pasza Mustafa Soliman również moczył swe udręczone podagrą, nadużywaniem sorbetu i pieszczotą ziemskich hurys, sfatygowane w zażywaniu rozkoszy z odaliskami członki. Usiadł na najwyższym stopniu, błyskiem oczu przywołał ku sobie Artura — który półnagi, bez zakietu, przypominał starego upadłego anioła bez lutni i skrzydeł, i teraz wstydliwie niczym młoda dziewczyna poprawiał sobie przepaskę na biodra — po czym z uwagą rozejrzał się dokoła. I zanim zanurzył się w wodzie z gorącego źródła, którego siła leczyła podagrę i przywracała ochotę do życia, zlustrował znajomy obraz jak gospodarz, który powróciwszy do domu po dłuższej podróży, ogląda domostwo i dobytek.

W sali wspartej na wiekowych kolumnach, gdzie przez kolorowe szybki w kopule wpadała wiązka wielobarwnych promieni majowego słońca i mieszając się z wodą parujących basenów, barwiła ją to

na czerwono, to na niebiesko, to znów na zielono i żółto, jakby jakiś pijany malarz w porannym otępieniu zamoczył w niej pędzle, panowała wilgotna i gęsta cisza. Kopuła z barwnymi płytkami o kamiennymi była jak wschodnie sklepienie niebios z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, ubrane kolorowymi gwiazdami oświetlającymi ludzką nagość i nędzę. Mężczyźni w różnym wieku, o różnych losach i rangach mokli w basenach albo leżeli na kamiennych ławach wzdłuż ścian, obnażeni, z rękami splecionymi na piersi, z zamkniętymi oczyma, jak leżą w kostnicy dwudniowe trupy, o których zapomnieli krewni, a wdowa poszła tego majowego poranka na schadzki z postawnym przedsiębiorcą pogrzebowym do cukierni „Kominiarczyk” w Łasku Miejskim. Mężczyźni siedzieli, leżeli, mokli i milczeli tu samotnie i smutno, jakby się już przygotowywali do tej drugiej, trwalszej nagości, której imię śmierć i rozkład. Kolorowe gwiazdy kopuły oświetlały swoim wielobarwnym blaskiem grupę nagich i smutnych męskich ciał, jakby ich mrugające światła naśmiewały się z tak wielkiej ludzkiej nędzy. Do łaźni parowej chodzili bowiem tylko ci, którzy musieli, ponieważ życie mieli już w zasadzie za sobą; chodzili tu także co młodsi dzokeje ze stajni w Alag, którzy pod okiem angielskich trenerów zbiorowo pocili się w nagranych do siedemdziesięciu stopni Celsjusza komorach ciepłych, ścierając drewnianymi nożami o krótkich trzonkach spływający po plecach pot, by być jak najłżejszymi po popołudniu, na wyścigach w Alag czy Megyer, kiedy to pan fabrykant Dreher zajmie miejsce w łoży i uniesie do oczu lor-

netkę gestem tak pełnym skupienia, jakby wyniki gonitw były ważniejsze od wszystkiego, nawet od warzenia piwa. Mężczyźni byli tu samotni i prawdziwie beznadziejni. Na krzywych nogach nosili brzuchy, które zanurzali w gorących wodach z wstydliwą ostrożnością, jak bukłak z winem zanurza się na prowincji w głębokiej studni. Te strome brzuchy, a także inne, miłe i okrągłe, które bezwstydnie opowiadały o radościach świniobicia, smażonego w gęstym tłuszczu mięsiwa, kartofli z cebulą i kluseczek, a także staroświeckie, wielkopańskie węgierskie brzuchy, tworzące pod klatką piersiową podwójną fałdę, w której kiedyś można było ukryć przed Turkiem czy labancem co ważniejsze dokumenty, a nawet pomniejszych klejnoty rodzinne i zegarki, te na próżno oblewane wodami leczniczymi, daremnie masowane i beznadziejnie uciskane silnymi dłońmi masażystów węgierskie pańskie brzuszyska zawsze wprawiały Sindbada w dobry humor. Żeglarz był zdania, że mężczyzna, który w pewnym wieku nie posiada imponującego brzucha, nie może być poważnym człowiekiem. Albowiem brzuch był w świecie Sindbada przejawem dostojności, na dawnych, innych Węgrzech brzuch ogłaszał, że jego właściciel nie jest żadnym świszczypałą, lecz rozważnym człowiekiem, który zarówno w pracy, jak i w rodzinie, na wszystkich terenach życia kieruje się doświadczeniem i wiernością. Brzuch ukazywał, że pan, który go nosił, chętnie zabawia się przy restauracyjnym stole, a i przy obiedzie rodzinnym potrafi z taką surowością badać stawianą na stół potrawkę z prosięcia, że kucharka i pani domu wstrzymują dech, i nawet ty-

kający na ścianie zegar staje na chwilę, jakby od tego, czy w potrawce ugotowano wraz z mięsem także wątróbkę i nereczki prosięcia, zależały rozstrzygające o ludzkich losach sprawy najwyższej wagi. Sindbad miał jak najlepsze zdanie na temat męskich brzuchów. „Tylko tęgi mężczyzna jest piękny” — cytował czasami opinię rękawiczniczki z dzielnicy Józefa, która pomimo zaledwie dwudziestu sześciu lat i włosów złotoblond miała zwyczaj z taką czułością gładzić podbródek Sindbada, tak łagodnie dotykała wałeczków otaczających talię dobiegającego już czterdziestki żeglarza, jakby miała go zamiar zarznąć i ugotować na niedzielę potrawkę z jego co szlachetniejszych organów wewnętrznych. Ludzie brzuchaci, uważał Sindbad, lepiej znają się na poważnych i niepoważnych sprawach życiowych od chudzielców, śledzienników i niejadków, którzy zachowują się tak, jakby w każdej chwili byli gotowi zerwać się od obiadu i pognać w jakichś podejrzanych i zresztą całkowicie nieważnych sprawach. Sindbad osobiście nie miał skłonności do tycia, nawet po pięćdziesiątce zachował sylwetkę postawną i proporcjonalną, ale naturalnie zadbał o to, by będąc dojrzałym mężczyzną, zapuścić jednak niezbędne do sygnalizowania godności i rangi społecznej kapłońskie sadełko i przyjemnie zarysowujący się brzuszek.

Gawędziarz także był gruby, ale był gruby na smutno, jak ktoś, kto z powodu zmartwień nic na to nie poradzi. Usiadł obok Sindbada w wodzie, poprawił wstydliwie fartuszek wokół bioder, opuścił na piersi głowę pokrytą gęstą siwą czupryną i na-

tychmiast zasnął. O zasypianiach Artura krążyły po mieście legendy. Widziano, jak pośrodku najzgorzalszych walk karcianych czy dyskusji politycznych spał na przeżartej przez mole kanapce w kole literatów i dziennikarzy, to znów w fotelu, z ramionami zwisającymi bezwładnie z poręczy i głową przekrzywioną na bok, naturalnie zawsze w zakiecie, jakby jakąś dobrze wycelowaną kulą właśnie przed chwilą pozbawił się życia, otrzymawszy wiadomość, że jego wyładowane złotym kruszcem i pszenicą statki utknęły na mieliźnie przy Żelaznej Bramie. Widziano, jak spał na wyścigach konnych, gdzie czasami towarzyszył Sindbadowi, spał w momencie finiszu, gdy dziesięć tysięcy ludzi wrzeszczało na całe gardło, wykrzykując imię zwyciężającego konia i ujeżdżającego go dżokeja; w takich razach Artur opierał się o barierkę toru, a ponieważ jego zakiet przy odrobinie dobrej woli rzeczywiście mógł tu uchodzić za strój oficjalny, niewtajemniczeni brali go za członka Towarzystwa Hippičnego — w takich chwilach spał więc z odrobiną pychy, jak naprawdę wielki pan, któremu zupełnie obojętne, który koń zwycięży, bo przecież swojej ukochanej, znanej aktorce, wkrótce i tak podaruje całą stajnię. W rzeczywistości jednak Artura z torem gonitw łączyło tylko tyle, że czasem, po udanej gawędzie, jadał tam parówki z chrzanem. Czasami zasypiał na stojąco, z podniesionym kołnierzem, na którymś z długich i ciemnych korytarzy peszteńskich redakcji, czekając na Sindbada, który siedział w rogu obłazącej ze skóry kanapy w gabinecie młodszego redaktora i pogrążony w milczeniu czekał na

wypłatę, skręcał papierosa i włożywszy go do fiki cygaretowej z wiśniowego drewna, palił z taką cierpliwością, z taką cichą i mądrą pogardą, z jaką jego przodkowie czekali w niewoli tureckiej na list wyzwolenczy jakiegoś paszy. Przez ten czas Artur stał na korytarzu i zapadał w sen. Nie przeszkadzało mu skrzypienie podłogi pod stopami przechodzących, spieszących w tę i z powrotem w swych zabrudzonych białych kitlach zecerów i metrampaży, którzy z ołówkiem zatkniętym za ucho z takim przejęciem, nieśli świeżo zestawione i wydrukowane w pierwszej wersji, wilgotne, pachnące farbą drukarską odbitki, jakby spieszyli przed oblicze ziemskiego dostojnika z rękopisem pierwszego egzemplarza *Złotej bulli*. W rzeczywistości jednak nie czytali tekstów, które właśnie zostały zdjęte z prasy zecerskiej, i dopiero z kupowanej nazajutrz gazety dowiadawali się, że artykuł, z którym poprzedniego dnia tak się namęczyli, pokierował czyimś losem, odkrył całą prawdę czy uradował serca narodu... Dawne peszteńskie redakcje w śródmiejskich kamienicach pełnych przeciągów były tak hałaśliwe i niespokojne, jakby wszystkie dręczące kraj wątpliwości, niepokoje i porywy serca pulsowały właśnie tu, na ciemnych korytarzach, za oszklonymi drzwiami, w pachnących makulaturą gabinetach ze śladami przypaleń po papierosach oraz plam od kawy i atramentu, skąd na redaktorów spoglądały pozawieszane na ścianach popularne oleodruki z podobiznami Petőfi'ego i Kossutha, a goście mogli się zabawić przeglądając zbiór szarad i ciekawostek powycinanych z węgierskich i obcojęzycznych czaso-

pism. Artur potrafił spać i tu, w przedpokojach przypominających ciemne luki statków, i nie przeszkadzały mu nawet kobiety, które zawsze kręcały się wokół redakcji i kroczyły przez długie korytarze tak uroczyście i wyniośle, jak delfiny, które płyną za wielkimi statkami oceanicznymi w nadziei żeru. Wszystko to Artur znał dzięki Sindbadowi, lecz także niezależnie od niego, poprzez własne stosunki w świecie literackim; w peszteńskich redakcjach czuł się swojsko, dlatego spokojnie spał na korytarzach na stojąco, z podniesionym kołnierzem, lekko oparty o ścianę, podczas gdy Sindbad z wyniosłą mądrością i spokojem wyczekiwał na swój przekaz. Gawędziarz potrafił spać wszędzie, tylko nie w łóżku i nie w hotelu, gdzie mieszkał. Ten hotel stał niedaleko budańskich gorących źródeł i przemieszkiwali tam całymi miesiącami samotni odludkowie, sensaci i dziwacy, którzy rankiem sami nie wiedzieli, dlaczego właściwie nie powiesili się wczoraj na klamce, której i tak nie naciśnie nikt przynoszący list czy radosną wieść. Artur nie potrafił spać w tym hotelu. Ale poza nim spał smacznie i chętnie w każdym innym miejscu na świecie.

Teraz więc też spał, pochrapując cicho, podczas gdy Sindbad, który znał słabość swego famulusa, przyjrząwszy się specyficznemu światu łaźni i zanurzywszy się głębiej w gorącej wodzie, zapadł w stan niedający się porównać z żadną ziemską sytuacją, stan ogarniający ludzi doświadczonych i w pewnym wieku tylko w tym miejscu. Na jednej z kamiennych ław, splótłszy ręce na piersiach, siedział samotnie w pozycji jeźdźca niejaki Álmosy, mężczy-

zna szczupły, acz słusznej postury, potomek jednego z najdawniejszych rodów kraju, mokry, lecz pomimo to wytworny, zapatrzony w dal jak któryś z jego przodków, przybywających niegdyś na te ziemie z wodzem Arpadem, gdy zatrzymał się na wzgórzu i przystawiwszy dłoń do czoła, obserwował z siodła niebiesko-brązowe wzgórza i doliny Zemplén. Młody dżentelmen pochodził z Nyírség i był skoligacony z Sindbadem; łączyło ich też delikatne i szlachetne pokrewieństwo, jakie tworzy między tego typu ludźmi duch wędrówki, który uniósł ich obu z rodzinnych stron i rzucił do nerwowego miasta; czasami spotykali się w co cichszych zakątkach — w łaźni czy przy stoliku którejs z śródmiejskich restauracji — i ściskali sobie ręce z roztargnieniem, jakby w ich życiu jeszcze ciągle najważniejszą rzeczą było, czy w najbliższą niedzielę pójdą zasadzić się na sarny. W rzeczywistości Sindbad nie zasadzał się już na nic. Teraz przywitali się poważnym skinieniem dłoni, wschodnim i nieznacznym, lecz nie ruszyli się z miejsc. Krajan Sindbada z Nyírség, potomek Arpadów, którego ród zamieszkiwał tu od tysiąca lat, patrzył przed siebie, a jego twarz wyrażała niewzruszoną obojętność, lecz i samotność, jakby już wszystko zrozumiał i nie mogło go zdziwić nic, nawet gdyby któregoś dnia zamiast panowania i łowów musiał otworzyć kiosk z przyborami tytoniowymi czy jąwszy się jakiegoś innego niewyobrażalnego zajęcia, miał na nim spędzić resztę samotnego życia. Poza tym wszyscy zanurzeni w parach, ciepłej mgły i gorących wodach byli tu w jakiś sposób krewniakami. W basenie bocznym, którego let-

nie wody cieszyły się powodzeniem głównie u starszych panów i w którym godzinami przesiadywał kiedyś Sándor Bródy — jakby tureckiej cierpliwości i wodnej mądrości nauczył się jeszcze w swoim rodzinnym mieście, w cieniu egerskiego minaretu — moczył się teraz minister w stanie spoczynku, z uprzejmą, ale cokolwiek obrażoną miną, jaką obnoszą zazwyczaj ministrowie w stanie spoczynku, którzy godzą się wprawdzie grzecznie ze swym losem, ale w głębi duszy nie mogą pojąć, jak to możliwe, że machina państwa kręci się dalej bez nich. Sindbad wyciągnął się w wodzie i z lubością przymknął oczy. Wiedział już wszystko o tym świecie i ludzi miał za rycerzy uczynionych z mgły. W drzwiach gabinetów wyściełanych marmurem czekali na eleganckich klientów usłudźni masażyści, których zadaniem było ująć nieco z resztek wczorajszego imieninowego obiadu, przemienionego dziś w zbędne sadło.

— Obudź się, Arturze — odezwał się łagodnie Sindbad i trącił pod wodą nogę gawędziarza. — Ten człowiek tam, to, jeśli dobrze widzę, Pápai, redaktor, który nie tak dawno nie znalazł czasu, by mnie przyjąć. Mógłbym teraz polecić Gyuli, masażyście, żeby go wrzucił do Dunaju. Ale nie chcę się już zajmować podobnymi sprawami, bo na starość zrobiłem się cierpliwy.

Redaktor z gazety teatralnej spacerował brzegiem basenu, kłaniając się i machając ręką do znajomych z tak kontentą miną, jakby kroczył naddunajskim bulwarem w towarzystwie kolegów z redakcji oraz świeżo odkrytej aktoreczki, zbierając materiał do

rubryki poufnych plotek towarzyskich swego czasopisma, gdzie informował o wszystkim, co działo się lub co zapowiadało się w mieście, o rozwodach i nowych miłościach, o przygotowywanych premiach, o których w kołach żurnalistycznych mówiło się w podobnym tonie jak o wiosennych nowościach przemysłu bławatnego, a także o planowanych samobójstwach, które rozumni ludzie w mieście potrafili bez trudu przewidzieć i wykalkulować z ołówkiem w ręce. Było tu kilka osób, które święcie wierzyły, że „wiedzą wszystko”, i rzeczywiście, zdarzało im się czasem wyprorokować nieoczekiwaną plajtę któregoś z rekinów przemysłowych czy zmierzch wielkiej miłości. Ale Sindbad, który w tym czasie odnosił się do otoczenia z tak mądrą obojętnością, jak hodowane w zielonych beczkach oleandry na tarasach restauracyjek w Dzielnicy Wodnej¹, wzruszył ramionami na widok redaktora i powiedział Arturowi:

— Jednym z ostatnich prawdziwych dżentelmenów w świecie żurnalistycznym był Pál Hoitsy², który zajmował się nawet geopolityką. Nie wiem wprawdzie, co to jest, ale mam wrażenie, że to temat godniejszy pióra patriotycznego publicysty niż prawdziwa historia rozwodu jakiejś tam Murciki Fitos.

A ponieważ spostrzegł, że gawędziarz znów ma zamiar zapaść w drzemkę, czyli pogрузić się w pianach jak wodnik, powtórnice trącił go nogą i poufnym szeptem ciągnął:

¹ Víziváros.

² Pál Hoitsy (1850–1927) — astronom, publicysta, poseł do parlamentu.

— Posłuchaj mnie, Arturze, coś ci powiem. Zdradzę ci tajemnicę, której jeszcze nikt w mieście nie zna. Uplłynęło wiele czasu, nim ją odkryłem, poświęciłem na to większość życia.

Po tej deklaracji gawędziarz nastawił ucha. Rzadko się zdarzało, by Sindbad decydował się na oświadczenie takiej wagi.

— Tajemnica — powiedział poufnie, głębokim szeptem Sindbad, ponieważ tego dziwnego poranka rzeczywiście miał ochotę podzielić się z kimś najważniejszymi doświadczeniami swego życia — tajemnica przyczyniająca cierpienie naszej ojczyźnie jest prosta: wszystkim porządnym ludziom na Węgrzech zawsze brakuje czterystu pięćdziesięciu pengő miesięcznie, które albo mają obowiązek zapłacić rozwiedzionej żonie tytułem środków na utrzymanie, albo chcieliby je wręczyć każdego pierwszego swej nowej kochance, bo miłość przypomina elektryczność: pojawia się tylko w pewnych warunkach atmosferycznych, albo muszą spłacać ratami długi zaciągnięte w latach hulaszczej młodości. Długo to obliczałem, zanim wreszcie doszedłem do prawdziwej sumy. Czterysta pięćdziesiąt, taka jest prawda.

Artur wysłuchał tej informacji zdumiony jak bóbr, który, mrugając oczkami, widzi, że znalazł się na przeciw strzelby myśliwego.

— Czterysta pięćdziesiąt, ale posłuchaj mnie — ciągnął bardziej uroczyście Sindbad — i zapamiętaj sobie tę sumę. W ciągu długiego życia wiele na Węgrzech widziałem. Obserwowałem, notowałem, rozmyślałem, choć może wydawało się, że odurzony winem drzemie nad czerwonym obrusem w któ-

rejś z knajp w dzielnicy Józefa. Ale ja miałem otwarte oczy i widziałem tych wszystkich samotnych mężczyzn, siedzących po północy przy stolikach węgierskich podmiejskich wyszynków, zanurzonych w męskiej, ponurej samotności, z dymiącym tanim papierosem w palcach, nad kieliszkiem wina, którego nie tykają przez długie godziny, bladych, ze szklanym spojrzeniem, niemo poruszających wargami, jakby się modlili lub szeptali przekleństwa. W rzeczywistości najczęściej wymawiają wówczas imiona kobiet czy lichwiarzy i jednocześnie liczą w myślach. To wielka tajemnica i w innym kraju może nawet by jej nie zrozumiano. W innych krajach poeci, gdy są wściekli albo w życiu rodzinnym prześladuje ich pech, wyjeżdżają na Czarny Łąd zbierać złoty proszek albo handlować narkotykami. Tak zrobił nawet Rimbaud. Ale przepraszam, czy János Vajda¹ miał taką możliwość...? U nas pisarze, jak są bardzo wściekli, przechodzą z jednej knajpy do drugiej, i to wszystko. A i to mogą robić tylko dopóty, dopóki mają kredyt. To biedny świat, ten nasz, ja ci to mówię, na próżno obdarzył go Stwórca złotą pszenicą i zielonymi równinami. Nawet Rothschildowie nie chcieli budować kolei w tym kierunku. A to zły znak, bo szyny kolejowe to przyszłość. I dlatego wszystkim dżentelmenom brakuje co miesiąc tych czterystu pięćdziesięciu pengő, które wprost niepodobna zarobić uczciwą pracą.

Sindbad tak rzadko rozprawiał o kwestiach gospodarczych, że pod wpływem tych wywodów za-

¹ János Vajda (1827–1897) — poeta późnego romantyzmu.

nurzony w gorącej wodzie Artur aż się obudził. Podciągnął się, nadstawiał uszu, niepewnymi ruchami mokrych dłoni poprawił czuprynę i odparł zdezorientowany:

— Ale to duża suma, panie Sindbadzie. Ja nigdy nie miałem tylu pieniędzy, nawet na kapitał zakładowy do czegokolwiek.

— To wstyd — powiedział Sindbad i oburzony spojrzał na jakiegoś chrapiącego, siwawego, starszego mężczyznę, który leżał na sąsiednim stopniu, woda podchodziła mu już do brody i wyglądał jak wypadły z łask Rzymianin, który w czasach Nerona utracił majątek i dowiedziawszy się, że wieczorem przyjdą po niego liktorzy, w termach podciął sobie żyły — to wstyd, żeby artysta twojej rangi był zmuszony mówić o pieniądzach z takim nabożeństwem. Ciebie też nie docenił w tym kraju nikt poza nosorożcem w zoo, który zawsze gramolił się z wody, kiedy w pobliżu jego klatki zaczynałeś bajkę o Królownie Śnieżce czy o królewiczu Argiriuszu. Ja też się tak czasami czuję. Nie powiem, były chwile w mojej karierze, kiedy pomogły mi szybko nogie koniki czy joker lub walet do koloru, i mogłem schować gruby plik śliskich banknotów do lewej kieszeni surduta, jak to już miał w zwyczaju mój ojciec. Ale literatura nie pomogła mi nigdy i w niczym. Tolerowano mnie najwyżej, bo wiedziano, że skądinąd jestem dżentelmenem; wybaczone mi, można powiedzieć, jak krewniakowi z dobrej rodziny, który zszedł na złą drogę i jest podejrzewany o niejasne interesy. Ten nasz świat był zawsze pełen goryczy, bo wszystkim brakowało pieniędzy. Wiem, co

wiem, i czas, bym o tym powiedział. Kiedy mnie już zabraknie, przekaz tę wiadomość naszym peszeńskim kolegom. Czterysta pięćdziesiąt, całkiem osobno i niezależnie od wszystkiego, to jest zakłęcie i zadanie herkulesowe, któremu Węgrzy nie są w stanie podołać. Widziałem brodatych mężczyzn na beczce, którzy na całe gardło krzyczeli o szczęściu ojczyzny, i słuchając ich, mruczałem, bo wiedziałem, że tak naprawdę brakuje im tylko tych czterystu pięćdziesięciu pengő, a muszą je skądś zdobyć do pierwszego, by przekazać je opuszczonej małżonce, która ma drukarenkę płócien pod haft gobelinarski przy ulicy Kaplony, czy wybrance, która trudzi się dzierżawą gruntów w komitacie Borsod. Widziałem pisarzy, którzy zanurzali pióra w szkaradnych jadach nienawiści i plotki zamiast atramentu i sprzedawali swój honor i duszę, żeby wydrapać na pierwszego tych czterysta pięćdziesiąt na czynsz za mieszkanie swojej kochanki, bo w poprzednim wieku nagle spadła na nich miłość, a potem na raty za fortepian zakupiony przez tę damę. Widywałem wyższych wojskowych, zamkniętych w dumie z powodu swej rangi i chwały, skrywających przez całe życie tajemnicę, o której nikt się nigdy nie dowiedział, a mianowicie, że przez dwadzieścia lat jadali na kolację serdelki z cebulą i popijali je wodą ze studni, bo w przeciwnym razie nie byłiby w stanie sprostać odpowiadającym ich randze pańskim zobowiązaniom i nie mogliby każdego pierwszego zapewnić bytu swym bliskim, którzy potrzebowali tych czterystu pięćdziesięciu. Przez trzydzieści pięć lat liczyłem, obserwowałem i rozmyśla-

łem, nim to zrozumiałem. To wielka tajemnica, o której należałoby uczyć w szkołach. Wszystko, co się dzieje w mieście, dzieje się z tego powodu. Dlatego spojrzenia mężczyzn są tu tak twarde i ostre, jakby na śniadanie połknęli nóż, dlatego tak wielu kręci się tu szubrawców, z tego powodu odbywa się tyle głupich pojedynków, sprzeczek, słyszy się tyle przysiąg i kłamstw, bo tych brakujących czterystu pięćdziesięciu pengó po prostu zupełnie niepodobna zdobyć uczciwą pracą. I nie są ich w stanie zdobyć nawet ci, którzy skądinąd zarabiają krocie: bo rodzina żyje z pieniędzy, które przynosi głowa rodziny, i tych pieniędzy nigdy nie dość, ponieważ rodzina jest głodna jak wilk. Dlatego poza potrzebami na rodzinę każdy mężczyzna musi zdobyć tych dodatkowych czterysta pięćdziesiąt. Ale ich nie ma w tym kraju, który wódz Arpad zajął siłą, orężem i fortem. Już teraz wiesz. Jeśli kiedy usłyszysz, że zająłem się sprzedażą drewna, opowiedz to dzieciom w Ogrodzie Zoologicznym.

Wstał, przeciągnął krzepkie, dumne ciało, machnął ręką i zakończył smutno:

— Mnie też przez całe życie brakowało tych czterystu pięćdziesięciu pengó.

I poszedł do masażystów, którzy przyjęli go uroczyście.

Podczas gdy Lajos, który od trzydziestu lat masował i uciskał skutecznie przeciwstawiające się działaniom czasu twarde mięśnie żeglarza, zajął się jego ciałem i miętosząc, mydląc, klepiąc, ubijając i uciskając je, starał się wlać nowe życie w umęczone członki, Sindbad cicho wypytywał go o co bardziej

poufne wydarzenia, jakie zaszły w mieście. Masażyści byli ludźmi małowównymi i wiedzieli o wszystkim. Przez dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat obserwowali ciała przychodzących tu mężczyzn, widzieli jak sprężyści niegdyś młodzieńcy zmieniali się w brzuchatych, zwiotczałych i utrudzonych starszych panów, którzy w końcu oddawali się rękom masażystów tak bezwolni i zmęczeni, jak trup, który czeka na myjącego zwłoki. Masażyści znali cielsne i duchowe tajemnice miasta i mieli poufne stosunki z co znacześniejszymi indywiduami życia literackiego. Bo do tej wypełnionej gorącymi oparami jaskini z tysiąca i jednej nocy najchętniej chadzali pisarze. Przychodzili, jakby czegoś tu szukali; nie tylko utraconej młodości i zdrowia, nadszarpniętych przez frasunki, namiętności i żarłoczne jak chomik przygody, które najogólniej nazywa się życiem, lecz także baśniowego świata Wschodu, który stworzyli tureccy budowniczo wie, umieszczając w kopule kolorowe szkiełka, a także gorących wód, które tryskały z naprawdę cudownego źródła, z głębi i oddali, i balsamicznym oddziaływaniem potrafiły zmyć wszelki ból z ludzkich ciał i dusz. Pisarze przez całe wieki byli wierni tryskającym ze skalistej jaskini świętego Gellerta wodom o tajemniczej mocy.

— A młode pokolenie, Lajos? — spytał żeglarz, stękając z zadowoleniem, ponieważ masażysta nie oszczędzał swego stałego klienta i z taką siłą uciskał łopatki Sindbada, jak rzeźnik, kiedy dzieli tuszę wołową. — Czy poeci jeszcze chadzają do łaźnienek niegdysiejszych paszów tureckich?

— Tylko Mór Petri¹ — odparł Lajos i również stęknął, ale z wysiłku. — To ostatni poeta dawnego porządnego świata, który tu jeszcze czasami zachodzi.

— To dziwne — powiedział Sindbad. — Ale wobec tego gdzie chadzają poeci?

Masażysta miętosił kolejno wszystkie członki białoskórego i silnego ciała, jakby chciał się przekonać, czy jeden z ostatnich prawdziwych żyjących pisarzy nie zużył go na niegodne i marne rozrywki ziemskie w podejrzanym świecie, a Sindbad, leżąc na brzuchu na mokrej drewnianej ławie, złożywszy zmęczoną głowę na namydlonym przedramieniu, zastanawiał się, gdzie chadzają nowi poeci, gdzie przesiadują, czy w ogóle istnieją, a jeśli istnieją — co ich boli?

To pytanie zajmowało go także później, kiedy opuścił łaźnię i w towarzystwie Artura zajął miejsce w dorożce. Dorożkarz, który tymczasem zgodnie z zaleceniem i rozkazem Sindbada przywrócił się do całkowitej trzeźwości za pomocą jasnego piwa, siedział na koźle poważnie i godnie.

— Gdzie chadzają teraz poeci, Arturze? — spytał Sindbad, usadowiwszy się na siedzeniu. — Chciałbym ich odszukać.

— Pozostało już bardzo niewiele poetów — odparł gderliwym tonem gawędziarz. — Zoltán², po-

¹ Mór Petri (1863–1945) — poeta, autor podręczników.

² Zoltán Somlyó (1882–1937) — poeta, publicysta, tłumacz.

eta wyklęty, który w lakierkach i kamizelce koloru bordo szlifował przez pięćdziesiąt lat budańskie bruki, ożenił się w końcu i już nigdzie nie chadza. Zresztą on lubił tylko pulchne kobiety.

— Tak — przytaknął żeglarz. — To upodobanie dzielił z wieloma wybitnymi umysłami naszej ojczyzny. A młodzi?

— O młodych nie da się wiedzieć nic pewnego — stwierdził Artur i zamrugał oczyma, jak miał w zwyczaju. — Jest taki jeden, niejaki Attila¹, prawy Węgier, przesiaduje w kawiarni Bucsinszkyego. Ale nawet on dziwnie się zachowuje. Nie sądzę, panie Sindbadzie, że mógłby się pan obecnie kontentować młodymi poetami. Wszystko się zmieniło, nawet kawiarnie literackie.

— To idźmy do „Czikago” — zdecydował po dojrzałym namyśle Sindbad. — Ale po drodze kupmy u rzeźnika z Bacski słoninę podgardlanekę. Chciałbym znaleźć ślady poetów. Odkąd zamieszkałem w Starej Budzie, rozluźniły mi się więzy z literaturą. Czy znasz jakiś utwór Attili?

Artur był znany z niezwyklej łatwości zapamiętywania i posiadał tę szczególną cechę, że wszystkie wiersze węgierskie znał na pamięć. Teraz zapytał z pewną pokorą:

— Czy nie wolałby pan raczej *Rozważań w bibliotece*²? Skończyłbym, zanim przejedziemy przez most.

¹ Attila József (1905–1937) — najwybitniejszy węgierski poeta okresu międzywojennego.

² Sławny wiersz filozoficzny Mihályja Vörösmartyego.

— Nie — odparł Sindbad. — Nie wolno tracić z oczu umysłowych prądów epoki. Powiedz mi coś tego Attili.

— „Długi jest Pan Bóg — zaczął Artur i gorzko westchnął, jak ktoś, kto wbrew woli wypełnia rozkaz feudała — a słonina krótka”. Tak zaczyna się jeden z jego wierszy.

— Ładny wiersz — ocenił Sindbad i z uznaniem pokiwał głową. — Męski wiersz, węgierski wiersz. Najbardziej podoba mi się, że mowa w nim o słoninie.

Najpierw zajechali przed jatki rzeźnika z Bácski, niedaleko hali targowej, gdzie kończy się ulica Váci, a zaczyna przedmieście, i gdzie Sindbad niegdyś, w swych szczęśliwszych i bardziej przedsiębiorczych latach chętnie kupował o świcie chleb z Soroksáru, chrzan z Prügy, który był słodki i nie wyciskał łoż, salami z Szegedu, które nawet po uwędzeniu pozostawało miękkie i zachowywało smak mięsa jak świeża kiełbasa, kupował tu też świeże raki, całe kosze, gdy którejs z miłych znajomych dam chciał zrobić przyjemność tymi poukładanymi pomiędzy liśćmi pokrzywy wodnymi stworzonkami, kupował tu świeże poziomki, gotowaną słoninę z Szabadki i inne frykasy. Sindbad bardzo szanował kobiety, które nie wahały się w perskim futrze, lecz z koszykiem w ręce, w deszcz i słońce przyjeżdżać do hali targowej z najodleglejszych zakątków dzielnicy Leopolda¹ czy z ulicy Damjanicha, by spośród mięs, warzyw, jarzyn, drobiu i towarów

¹ Lipótváros.

wędzonych osobiście wybrać dla swoich mężów czy kochanków kąski, którymi miały zamiar ukoić nerw żołądkowy najdroższego mężczyzny. Opowiadał się za poglądem japońskim, którego przedstawiciele przysięgają na uczucia pochodzące z „samej głębi żołądka”, gdy błagają o łaski powabnych gejsz. Wiedział, że spożyta zimowego ranka porcja pieprznej, podmarzniętej kapusty jest w stanie rozpocząć chorobliwy proces miłosny najpierw w żołądku, następnie w kiszkiach, lecz w końcu również w sercu. Nie pogardzał też bynajmniej mężczyznami, którzy czasami, po kończących się o świcie nocnych przygodach, z całą godnością i zachowaniem męskiego autorytetu wybierali się spacerkiem do hali targowej, przyjaźnie i ze znajomością rzeczy rozmawiali z ubranymi w baranie bekieszki przekupkami o czerwonych nosach, co postawniejsze rzeźniczki zapraszali na obiad do Vácu, do hotelu „Curia”, by w końcu z prawdziwym oddaniem i skupieniem wybrać po długim namyśle kawałek salcesonu i młodą cebulkę, jakby wiedzieli, że tylko takiej niewieście warto poświęcać poważnie uwagę, która jest wystarczająco dojrzała, cierpliwa, mądra, pokorna i kobieca, by znać prawdziwe potrzeby męskiego ciała i męskiej duszy, i wiedzieć, że szklaneczka zimnej borowiczki z Trenczyna, młoda cebulka, słonina podgardlanka i chleb z Soroksáru przynależy w zimowe poranki do miłości co najmniej w tym samym stopniu, co wielkie słowa, rozkoszne i wymyślne pocałunki, poufne gesty i śmieszne przysięgi. W jatce rzeźnika z Bácski uwinęli się prędko, bo znano tam już gust Sindbada. „Ubyło pana, mistrzu” — powie-

działa miła kasjerka i spojrzała na Sindbada z takim współczuciem, jakby kroczyła już za jego trumną na cmentarzu przy ulicy Kerepesi wśród literatów, kelników, kobiet, dżokejów i redaktorów gazet, w kierunku zaoferowanego przez stołeczny magistrat imponującego grobu, który ma się stać ostatnim domostwem niegdysiejszego posiadacza ziemskiego.

— To życia ubywa, łaskawa pani — odparł łagodnie Sindbad. — Po to je dostaliśmy.

Do „Czikago” najpierw wszedł Artur, niczym herold zapowiadający głosem błyszczącej trąbki zbliżanie się pana i władcy miasta. Sindbad wyprostowany, statecznym krokiem podązał za swym famulusem. Przez duże okna wpadało światło słoneczne i jakby chciało ozłocić chwałę przeszłości, łagodną glorią opromieniało z lekka zakurzoną barokową pompę, w której pomiędzy spiralnie zakręconymi kolumnami, wyłożonymi marmurem wnękami, wśród obrazów namalowanych przez sławnych mistrzów rozkwitała niegdyś bohaterska epoka, jeden ze świetniejszych okresów literatury węgierskiej. Sindbad przechodził przez zadymione i ciepłe sale jak żołnierz, który wiele lat po zakończeniu walk jeszcze raz odwiedza pole bitwy i z udawaną, narzuconą przez samodyscyplinę obojętnością szuka krzyży na grobach poległych towarzyszy broni. Każda wnęka, balkonik, loża, każdy stół przypominał Sindbadowi heroiczne czasy, kiedy to pióra błyskały w tym kraju nie mniej groźnie od bagników, kobiety chodziły za walczącymi pisarzami i poetami jak muzy i markietanki, autorytet piszących był nieporównanie większy niż tytuły i rangi urzędników,

majątek i gotówka liczyły się w mieście mniej niż rękopis któregoś z wierszy Endre Adyego¹, a literatura bulgotała w tej barokowej jaskini niczym warzony z boskich i diabelskich korzeni eliksir, dzięki któremu naród odrodzi się i jak feniks powstanie przed obliczem świata. Ale teraz drzemali tu tylko nieogoleni agenci ruchomych obrazów. Obok maszyny do parzenia kawy, w cieniu ozdobnego filaru wyprostowany i wytworny siedział Báta, niegdyś siejszy żurnalista, człowiek światowy i dawny mentor Sindbada; założywszy monokl, czytał gazetę poranną z podniesioną butnie głową i tak wyniosłym, pełnym powątpiewania uśmieszkiem wokół bezkrwistych, wąskich starych warg, jakby zabłąkał się tu z któregoś z londyńskich klubów przy Pall Mall, właściwie z nudów i wielkopańskiego kaprysu, bo tego ranka zachciało mu się wypić kieliszek portugalskiego sherry w miejscu spotkań pisarzy i aktorów i przegryźć do niego sucharek, podczas gdy chłopiec stajenny oczekuje nań u wejścia do Hyde Parku i uspokaja ognistą kobyłkę, na której lord Báta zaraz uda się na przejażdżkę konną, z orchideą w butonierce, ma bowiem zamiar podarować księżniczce Londonderry ten kosztowny i szlachetny kwiat, który kupił za złotą gwineę w niebywale drogiej firmie kwiaciarskiej panów Fortnuma i Masona. Tak siedział Báta, w monoklu, z wyniosłym i pogardliwym uśmieszkiem, jakby był obrażony, i czy-

¹ Endre Ady (1877–1919) — wybitny poeta przełomu wieków, którego twórczość stała się punktem odniesienia dla następnych pokoleń.

tał drobne ogłoszenia. Sindbad z głową przekrzywioną na bok przeszedł obok stolika swego niegdyśszego przyjaciela i mentora z lat młodości, zagłębionego teraz w lekturze praktycznych informacji, i pożegnał go zamyślnym spojrzeniem. Tych dwóch wielkich postaci bohaterskiej epoki już od dawna nie łączyło nic poza wspomnieniami. Bardzo dawno, przed trzydziestu, a może nawet więcej laty, kiedy Sindbad opuścił region Nyírség i wyruszył do stolicy, a trzcinowiska stron ojczystych zamienił na bagniste tereny literackich łowów, Báta był jego pierwszym poważnym przyjacielem; ten obyty i znający sekrety środowiska lampart wziął niejako za rękę i przedstawił na publicznych placach literackich milczącego i patrzącego rozmarzonym wzrokiem Sindbada, którego jednak od wewnątrz szarpała niemal krwiożercza żądza życia, godna przyczajonego w buszu tygrysa. Obaj nosili jeszcze wówczas błyszczące cylindry, i to już od samego rana, razem wyprawiali się nocami do rozjarzonego, głodnego wrażeń i rozgorączkowanego miasta w poszukiwaniu przeżyć, smaków życia, przygód i pieniędzy, razem wynajmowali umeblowany pokój w dzielnicy Józefa, i dopiero przyjazd ojca Sindbada, właściciela ziemskiego z Nyírség, człowieka o twardej ręce i dużym doświadczeniu, położył kres tej skomplikowanej znajomości.

— Uważaj — powiedział ów mądry pan przy okazji odwiedzin, kiedy przez kilka tygodni obserwował dzienne i nocne życie mieszkających razem młodzieńców. — Nie nadaje się na mentora ktoś, kto co wieczór wychodzi z domu bez fillera w kieszeni, a

wróciwszy o świcie, wymiotuje szampanem i truf-
lami!

Ale Sindbad, jak nieraz w zwrotnych momentach swego życia, rozluźniając więzi z Bátą, nie zastosował się bez reszty do polecenia swego mądrego ojca. Ta przyjaźń jeszcze długo pozostała żywa i ulotniła się znacznie później, wskutek zmian wywołanych przez upływ czasu i nowe znajomości. Po raz ostatni spotkali się przed kilku laty właśnie tu, w salach „Czikago”, na urządzonym przez Bátę i jego wielbicieli przyjęciu, fetującym fakt, że ten ogólnie znany lampart już od czterdziestu lat obywatel się stałego zajęcia.

Tak, to była bohaterska epoka. Sindbad przeszedł obok stolika Bąty i uśmiechnął się. Usiadł przy jednym z dużych okien, ale plecami do głośnej od dźwięku klaksonów, rozpychającej się, zaprzątniętej interesem, rozbieganej za chlebem i rozkoszą Alei Okrężnej¹. W godzinach przedpołudniowych sławne sale były jeszcze pustawe. Inaczej niż w młodości Sindbada, kiedy był tu stałym gościem; wówczas już od samego rana wrzało tu życie jak w nowych biurach typu amerykańskiego. Dawniej pisarze zbierali się już o świcie, jak w urzędzie, i oddawali się ceremoniom towarzyszącym ich tajemnemu życiu i jeszcze bardziej tajemnemu rzemiosłu. W kamizelce koloru bordo siedział tu co ranka Zoltán, poeta wyklęty, który potrafił zaaranżować swój brak pieniędzy, poetycką nędzę i uderzającą w niebo biblijną skargę tak instytucjonalnie, niczym poważ-

¹ Körút.

ne przedsięwzięcie przemysłowe czy wydarzenie towarzyskie, w którego znaczenie i wagę nikt nie śmie wątpić. Siedział tu wśród słowników i ryz zapisanego papieru i tłumaczył dla podrzędnych wydawnictw francuskie powieści z niemieckiego na węgierski. Jego czarne włosy iskrzyły się niczym czarny płomień nienawiści; właściwie nic złego mu się nie działo poza tym, że był poetą, nie miał pieniędzy i kochał się nieustannie — i z tragicznym akcentem — w pulchnych niewiastach. Siadywał tu, lekko zezując, zielonooki poeta Dide¹, pogrążony stale w jakimś tajemniczym upojeniu z opiumowym zachwytem obserwował kawiarnię, ludzkie twarze, obłoki za szybą, śmieci na trotuarze, wiersz zapisany pospiesznie zielonym atramentem na skrawku papieru, rękę jakiejś kobiety — wszystkie te zjawiska życia wprawiały go w zaczarowaną, niepojętą ekstazę; w szydełkowym szalu wokół szyi, w wysokim kołnierzyku i cienkim jak sznurowadło pstrym krawacie, z lokiem włosów opadającym na czoło Dide siedział tu zawsze wytwornie i skromnie jak dandys, który nawet we śnie rozmawia z bogami na Olimpie grasejując, zielonym lub czerwonym atramentem pisał szybko wiersze, wstępniaki, felietony i opowiadania albo tłumaczył wierszowane dramaty z hiszpańskiego, co chwila zapalał papierosa, ale też natychmiast go rzucał, żył w jakimś elektrycznym i świadomym podnieceniu, jakby życie naprawdę było cudem, a jego głównym sensem duch i lite-

¹ Dezső Kosztolányi (1885–1936) — poeta, tłumacz, publicysta i powieściopisarz.

ra — większym cudem od kobiet i miłości, śmierci i dzieci; ale największym ze wszystkich był cud języka węgierskiego. Tu siedział Dide, przed lustrem, i pisał wiersze zielonym atramentem. Kiedyż to było? Wczoraj? Przed dziesięciu laty? Sindbad zajął miejsce przy stole, rozpakował z papieru śniadaniowego słoninę podgardlanę, z tylnej kieszeni spodni wyciągnął nożyk szegedzki o długim trzonku i już miał się zabrać do ukrojenia pachnącego czosnkiem kawałka — gdy jego ręka z nożem zatrzymała się w powietrzu. Gdzie się podzieli ci ludzie, nadludzkie postaci bohaterskiej epoki? Gdzie są pisarze, węgierscy pisarze, ci nowi i ci dawni — spytał zadumany Sindbad, przymknął oczy i oparł się o stolik, jakby mu się zakręciło w głowie. W tej chwili, tego majowego poranka, pochylony nad kawałkiem słoniny podgardlanki żeglarz z porażającą ostrością ujrzał przeszłość i terażniejszość. „To nie przypadek, że tu zaszedłem na *frühstück*” — pomyślał. Obraz poety Dide pochylonego nad kartką papieru zniknął mu przed na wpół przymkniętych oczu, nie widział już też agentów ruchomych obrazów ani pseudożurnalistów w angielskich ubraniach i żółtych bucikach, którzy niczym wyrzucone na brzeg na pół zdechłe ryby wysiadali tu z otwartymi ustami i z czujnym spojrzeniem w oczekiwaniu namułów, które rzuci im przyływ życia. Bo w mieście widywało się już tylko pseudożurnalistów i pseudopisarzy — ci prawdziwi, młodzi i starsi, tych kilku, którzy w sekretnej jaskini strzegli jeszcze języka, ducha, reguł gry, szacunku, a więc wszystkiego tego, co narodowi daje prawo żyć na prastarej

ziemi przodków wśród zawistnych ludów — ci pisarze już nigdzie nie chadzali. „Pewnie już tylko wujaszek Sziklay pokazuje się czasem — pomyślał zrezygnowany Sindbad — kiedy przystaje nad trumną przykrytą całunem Jókaiego¹ i żegna któregoś z braci pisarskiej. Cudny człowiek! Orzeł! Polski uchodźca!” — powtarzał, zzymając się w duchu, Sindbad. Ale ręka ze scyzorykiem jeszcze ciągle nie dotknęła słoniny.

Bo nadal widział tamtą drugą scenę, kawiarnię, która pogrążyła się niczym Atlantyda w głębiach czasu, a jej prawdziwe znaczenie zachowało się już tylko w duszach, w historii literatury i w sercach kilku kobiet na prowincji. Sindbad znał literaturę, kiedy była jeszcze prawdziwa, a więc nie ograniczała się do wymyślnego „programu” czy nagiej walki o chleb, tylko była piękną i odważną walką z wiatrakami, pełną prawdziwych Don Kiszotów, szaleńców i barwnych postaci wielkiego serca i charakteru. Widział dawne kawiarnie, „Valerie”, gdzie Zoltán Ambrus² z taką starannością porównywał kulturę kraju z duchem francuskim, z jaką sędzia trybunalski sprawdza jedność prawną orzeczeń, „Balaton”, gdzie Béla Paulini³ redagował kulturalno-satyryczne pismo „Fidibus”, i znów „Czikago”, w którym do stolika Dide przysiadła się właśnie człowiek przypominający pracownika lunaparku, w pasiastym sportowym trykocie, ale w meloniku i z

¹ Mór Jókai (1825–1904) — najpopularniejszy powieściopisarz węgierski, autor licznych powieści historycznych.

² Zoltán Ambrus (1861–1932) — pisarz, krytyk, tłumacz.

³ Béla Paulini (1881–1945) — dziennikarz, karykaturzysta.

metalową laseczką, i głębokim głosem zaczyna recytować coś angielszczyzną, która bardzo przypomina język Szekspira, lecz z której nie rozumiałby on ani słowa. „Karinthy¹, no tak” — pomyślał Sindbad i uśmiechnął się melancholijnie. „Gdzie się podziewa Karinthy? Może pisze wiersze, z musu, bo minęła Wielkanoc i zbliżają się Zielone Świąta, dla świątecznego numeru gazety, w której go wprawdzie wydrukują, ale z pewną protekcyjną wielkodusznością, jakby i dziś, i na wieki, nie było dla gazety większego honoru niż rękopis rzucony przez poetę na biurko redaktora. Viktor Rákosi² powiedział wręcz — mruknął gniewnie Sindbad — że nawet gdyby zaniósł do drukarni swoje brudne gacie, redaktor powinien je wydrukować, bo nie ma dla gazety większego daru nad rękopis prawdziwego pisarza”. Teraz, w chwili wspomnień, Sindbad słabiej widział zadymioną obecność, wyraźniej zaś osłoniętą welonem czasu przeszłość. „Dawni pisarze — mówił bezgłośnie, poruszając bezkrwistymi wargami, jakby z kimś dyskutował — trzymali się jeszcze razem. Mikszáth³ był większym pisarzem niż Márton Zöldi⁴, który pod koniec trochę podupadł, ale literaci wstawiali się za sobą i żyli w poczuciu sekretnej sojuszu krwi, zawiązanego przeciw prostackim stróżom moralności, niezdolnym i

¹ Frigyes Karinthy (1887–1938) — jeden z najoryginalniejszych umysłów epoki, poeta, pisarz, tłumacz.

² Viktor Rákosi (1860–1923) — pisarz i humorysta.

³ Kálmán Mikszáth (1847–1910) — popularny powieściopisarz, poseł do parlamentu.

⁴ Márton Zöldi (1854–1919) — aktor, pisarz, publicysta.

głuchym chciejcom oraz szafarzom liter. W czasach mojej młodości w literackiej branży świętość litery otaczana była taką czcią, jak eucharystia we wspólnocie wiernych. Pisarze czasami się staczali, ale literatura była święta jak ojczyzna i męskie cnoty. Niewyobrażalne było w czasach Józsefa Kissa¹ — który przecież nie gardził groszem i po zakończeniu literackich konwentykli chętnie przesiadywał w gabinetach dyrektorów banków — żeby agenci od ogłoszeń pisali krytyki na temat dzieł, które pisarze tworzyli, okupując je własną krwią, nerwami, ofiarą i namiętnością”.

Tak zzywał się Sindbad. I widział dawny, zadytmiony i niespokojny panteon, ów niezwykły, podniekcytowany Olimp, gdzie w łóżach na piętze i w cieniu spiralnie zakręconych kolumn przysiadło, dyskutowało, marzyło, snuło plany i oczekiwało na coś pokolenie, którego największym zmartwieniem — poza dzienną porcją papierosów i sumą potrzebną na kolację — była jednak węgierska kultura, wiersz i proza, sen i upojenie, owo święte, nieziemskie odurzenie, które z rojeń, dymu papierosowego, przeżyć, losu, chorób i gorączkowych zamiarów, kultury i pomysłów ulepiło zamek z marzeń, wieczne i nieprzemijające Święte Węgry. (Albowiem Sindbad i dawni pisarze uważali swoją ojczyznę za świętą, ze wszystkimi jej grzechami i obrzydliwościami, podobnie jak Dostojewski, dla którego świętą była jego Rosja). Gdzie podział się Dide, gdzie biega Karinty, z nieodłącznym notatnikiem w kieszeni,

¹ József Kiss (1843–1921) — poeta, redaktor.

w którym zapisywał sobie hasła do *Nowej encyklopedii*? (Encyklopedia, której zadaniem było sprecyzować pojęcia chaotycznej epoki, nigdy nie powstała, ale jej projektant i genialny głosiciel stworzył zamiast niej nowy język, halandzę, który doskonale pasował do współczesności, nie wyjaśniał wprawdzie pojęć, lecz opakowywał je w bezsensowną pramgłę i doprowadzał do ostatecznego pomieszania). Gdzie dyskutuje, poprawiając monokl, grasejując i lekko sepleniąc, ostatni kawaler i rycerz duchowy epoki, Zoltán Szász¹, biedny jak żebrak, ale tak po pańsku nieprzystępny, jakby był pisarzem francuskim, któremu sam Ludwik Filip ufundował dożywotnią rentę? Gdzie przesiaduje Gyula Szini², krótkowzrocznie pochylony nad odczytywanymi nabożnie gazetami francuskimi, który przez całe życie kładł na papier sekretne brzmiaące, poruszające głębinowe prądy, szlachetne zdania, jakie bez wątpienia zapewniłyby mu miejsce w ławach Akademii Francuskiej, gdyby miał szczęście urodzić się w Paryżu? Kędy chadza nerwowy i wiecznie strapiony, okrutny Tódor o mądrym spojrzeniu, poeta i szaman, który znał się i na żyrafach, i na dziełach Michała Anioła, na historii Hiszpanii i cenach chicagowskiej giełdy cementowej; jego długie, rozkołysane wersy wlały się do literatury niczym rzeki krasowe i użyźniły świat uczuciowy poetów, którzy nigdy nie słyszeli o nazwie tego praźródła; ten człowiek był handlarzem i wróżbitą z gwiazd, poetą i

¹ Zoltán Szász (1877–1940) — pisarz, dziennikarz.

² Gyula Szini (1876–1932) — pisarz, publicysta.

kupcem, jerozolimskim uczonym w piśmie z trzeciego dziedzińca Świątyni, lecz również kuźnikiem, jako że wyuczył się tego rzemiosła, na wszelki wypadek, wszak pomiędzy południkami Starej Budy a najdalszymi krańcami dzielnicy Józefa nikomu nie można ufać. Nie, obraz świata zmienił się całkowicie i nikt nie pozostał na swoim miejscu. Kiedy otworzą się drzwi kawiarni i stanie w nich markiz¹, kłaniając się, kiwając koniuszkami palców do znajomych i uśmiechając się łaskawie, ten dziwny człowiek, żyjący na pogranicznych terenach literatury niczym etnograf na skraju równin australijskich, związany jakby węzłem małżeńskim na śmierć i życie ze wszystkim, co łączyło się z pisarzami i literaturą, a jednocześnie wyrażający się w towarzystwie o pisarzach tak lekceważącym, pogardliwym tonem, jakby nie czytał niczego poza specjalizującymi się w szantażach pisemkami bulwarowymi. Gdzie się podziewa markiz — myślał Sindbad — kto wie, gdzie zatonął, w jakich bagnach mazurskich tej wojny litery z literaturą? Chodził zawsze pochylony, jakby dźwigał wielkie ciężary, jego zmysłowy, mięsisty nos pogodnie obwąchiwał świat, a nieprzyzwoitości wypowiadał z takim namaszczeniem, jakby zszedł właśnie z kart opowieści Rabelais'go, wszystko wiedział o pisarzach, o Węgrach i Francuzach, wiedział, ile są warte pod względem stylu mowy Clemenceau i gdzie w podeszłych la-

¹ Mowa prawdopodobnie o baronie Lajosy Hatvanym (1880–1961), który był krytykiem, historykiem literatury i jako dziedzic bogatej plutokratycznej rodziny wspierał materialnie wielu twórców, był „ostatnim mecenasem”.

tach „tygrys” wynajmował sekretną garsonierę dla miłosnych schadzek, oskarżył Endre Adyego o to, że w rzeczywistości nie umarł, tylko nocą uciekł z katafalku i w zeszłym tygodniu widziano go w „Srebrnej Kaczce”, jak pijany kłócił się z szynkarzem; markiz opowiadał głupstwa i rzeczy uroczyście, wyśmiewając świat i siebie samego, w ostrych i mocnych, zaskakujących słowach ujmując istotę zjawiska czy osoby, a jednocześnie, uśmiechając się pod mięsistym nosem i poprawiając twarde mankiety, był nieustannie w drodze, kieszenie miał pełne dawnych numerów „Revue des Deux Mondes”, poufnych informacji powycinanych z peszteńskich brukowców, notesów z adresami panienek z przedmieścia i zapisanymi w pośpiechu urywkami wierszy węgierskich, mieszał w mowie słowa węgierskie i francuskie i rozdawał wśród roznoszących chleb kelnereczek kosmetyki i cukierki... gdzie się podziewa, gdzie się ukrył markiz? — zastanawiał się Sindbad. Bo takie zjawisko peszteńskie istniało na świecie, a może nawet w Europie, tylko w jednym egzemplarzu. Markiz nigdy niczego nie napisał, ale jego inwencja słowotwórcza była nie mniejsza od entuzjastycznych i prawdziwie nowatorskich zamiarów pisarzy, więc kiedy coś mówił, słuchacz odnosił wrażenie, że oto „na jego uszach” rodzi się nowy styl, którego nie sposób zapisać. „Ten Lajos Kuthy¹ z jego pantalonami w kratkę!” — powtarzał markiz i machał ręką, jakby to było wszystko, co o tym czło-

¹ Lajos Kuthy (1813–1864) — krytyk literacki, dramatopisarz.

wieku dało się powiedzieć. Albo: „Słyszę, że János Arany pędzi smutny żywot na tłumaczeniach!” — i spoglądał na sufit, po czym, zaplatając ręce na brzuchu, zaczynał kręcić palcami młynka, jakby sugerował, że tłumaczenie *Hamleta* na węgierski jest w istocie pokątnym zajęciem, które samotny poeta — według słabej orientacji markiza ciągle mieszkający na Wyspie Małgorzaty — wykonuje na termin i za wierszówkę. Albo mawiał: „To smutne, że kobiety w Budapeszcie nie są naturalne. Kiedy wybuchła wojna światowa, przebywałem akurat w Nancy i w nocy pod katedrą pewna wdowa po aptekarzu ugryzła mnie w nos” — po czym małymi, często mrugającymi oczkami tak niewinnie rozglądał się po towarzystwie, jakby nie umiał zliczyć do trzech. W rzeczywistości markiz wiedział wszystko, znał pieniądze i miłosne kłopoty pisarzy, smażył cholewki do kelnererek i przejmował się jednocześnie czystością stylistyczną pierwszej mowy nowego francuskiego ministra finansów, siedząc w kawiarni czytał na przemian to dzieła Renana, to rubrykę rozwodów „Kuriera Peszteńskiego” i pozostawał z literatami i literaturą w tak szczególnym związku, jakby był nieślubnym dzieckiem jakiegoś pisarza, ale nie mógł zdradzić nazwiska sławnego ojca, ponieważ ten został już członkiem Akademii Nauk.

Żyli gdzieś jeszcze i kryli się pisarze, jak niegdyś biedni zbójnicy, których pamięć w szuwarach literatury zachowały pieśni i legendy; i nie tylko pisarze, lecz także ich duchowi krewniacy, wszyscy ci przedziwni ludzie, którzy sami nie pisali albo jeśli już pisali, oddawali się tej namiętności w sekrecie,

jak palacze opium. W dawnych Węgrzech spotykało się jeszcze takich tajemniczych dzentelmenów, którzy przepuszczali całe majątki na Wielkiej Nizinie, tysiące arów ojcowskiego dziedzictwa, by wieść żywot literatów, albo zamieniali tłuste grunta na gotówkę, zakładali wydawnictwo książkowe, z cichą i poważną wiarą, ale bez znajomości rzeczy, wydawali dzieła Gyuli Töröka¹, by po tym grzecznie zrobić plajtę, wszyscy co do jednego, po pańsku i bezgłownie, i wydawca, i pisarz. Pozostawały po nich tylko książki, które kurzyły się gdzieś na półkach antykwariuszy w alei Muzeum², tej węgierskiej Quartier Latin. Lecz gdzie się podział sam Gyula Török, który pozostawił po sobie powieść o symbolu węgierskiej klasy panów, o pierścieniu z zielonym kamieniem, i czystą, klarowną węgierszczyzną pisał opowiadania, które wierni czytelnicy zachowają w serdecznej pamięci, póki w Peszcie i Budzie rozbrzmiewać będzie węgierska mowa? „No właśnie, młody Török” — wymruczał Sindbad, jakby ów skromny szlachetka z Wielkiej Niziny krążył jeszcze po Alei Okrężnej. „Nosił brodę, jak panowie na Wschodzie”. I czyż to niemożliwe, że w obrotowych drzwiach stanie nagle Károly Lovik³, w spodniach do konnej jazdy, ze szpicrutą o srebrnym trzonku, rozgrzany, ale wytworny, przystanie tylko na chwilę na progu, bo nie ma zwyczaju przesiadywać w ta-

¹ Gyula Török (1888–1918) — dziennikarz, popularny powieściopisarz.

² Múzeumkörút.

³ Károly Lovik (1874–1915) — nowelista, wybitny znawca koni.

kich miejscach, i zmrużywszy oczy, poszuka wzrokiem redaktora „Nowych Czasów”, by mu przekazać rękopis nowego opowiadania? Gdzie przepadł milkliwy Tömörkény¹, który wszystko wiedział o żywych i umarłych na węgierskiej prowincji i utrzymywał dobre stosunki z jasnowidzącą z Novaj; w jego utworach unosi się niebieskosina mgła i mądry smutek, jak w nowelach Czechowa, którego bohaterowie rozmawiają spokojnie i uprzejmie, aż nagle, w najmniej spodziewanej chwili, zdejmują z nosa cwikier na czarnej tasiemce i mówią cicho: „Jak to? Pan nie wierzy, że *Werter* Goethego jest z punktu widzenia psychologii niezrozumiały?... Giń, psie!” — po czym wyciągają z tylnej kieszonki surduta pistolet o długiej lufie i strzelają do gościa. (Tak charakteryzował kiedyś bohaterów Czechowa J.F., malarz i pisarz, przyjaciel arystokratów, jedyna naprawdę wielkoświatowa postać w stolicy, jej arbiter elegantiarum, człowiek mądry i wielkiego ducha, rozeznający się w tym dziwnym świecie niczym budzińska wieszczka; wszelako, ponieważ nie uważał ludzkości za godną choćby tylko pogardy, raczej umarł, jak niemal wszyscy należący do tamtej epoki, jakby nudziło ich życie w tym przerażonym, skomlącym nowym świecie, gdzie ludzie są głusi jak pień, a w trakcie rozmowy trzeba dokładnie tłumaczyć pointy...) „A Osvát!²” — przypomniał sobie Sindbad i pięścią, w której nie trzymał nożyka, uderzył

¹ István Tömörkény (1866–1917) — nowelista.

² Ernő Osvát (1876–1929) — krytyk i redaktor, długoletni naczelny pisma „Nyugat”, który odkrył i wprowadził na łamy cały szereg talentów literackich.

w marmurowy blat kawiarnianego stolika, jakby zapomniął o najważniejszym. „Gdzie się podział Osvát?” Strzelił sobie w serce w chwili po śmierci córki, a pisarze w dziwny sposób odetchnęli, kiedy ten ze wszech miar użyteczny tyran zamknął oczy, lecz jednocześnie pozostali dziwnie osieroceni, ponieważ odszedł jedyny człowiek, dla którego literatura, język węgierski i problemy pisarzy były tak ważną sprawą prywatną, jak dla innych szczęście, gotówka czy chwiejna cnotliwość kobiet. Gdzie jest Osvát, który królował tu nad spowitym chmurą złoto-dymu perskim rynkiem literatury niczym starożytny kapłan na najwyższym stopniu Świątyni, z rozwianą białą grzywą patriarchy, spoglądający zza okularów w czarnej oprawie zimnym, uważnym spojrzeniem, ubrany w wytarte, czarne ubranie, przypominające strój pastora, biedny i nieubłagany, odważający na niewidocznej wadze aptecznej ciężar zapisanych słów, badający, ile karatów ma przydawka czy dopełnienie, ale zważający również na to wszystko, z czego wyrasta literatura, na życie pisarzy, ich nieszczęścia i dziecięcą próżność, a także ich bohaterską wielkość, wyrażającą się w wyrzeczeniach i przyjęciu egzystencji poza kręgiem społeczeństwa oraz przestrzeganiu zasady, że za własną wiedzą i z własnej woli nie wolno im zgrzeszyć przeciw sekretnemu prawu istoty swego powołania, przeciw prawdzie i urodzie języka węgierskiego! Gdzie był ów ponury sędzia, który przy kawiarnianym stoliku wyrokował o rękopisach i ludziach, ale potrafił również zapamiętać, który pisarz latem ogolił głowę na zero, a wtedy przechodząc na „pan” z nieubłaganą

lakonicznością oddawał takiemu literackiemu modnisiowi rękopis, który zresztą gdzie indziej przyjmowano z ochotą. Gdzie się oni wszyscy podzieli, Pádi¹, poeta w meloniku, noszący w gruźliczym cieple ogień najpiękniejszych słów węgierskich, z wiecznie żarzącym się cygarem w bezkrwistych wargach i tomikiem Verlaine'a w kieszeni, gdzie Géza Csáth², już wtedy biorący morfinę, która później zakończyła jego niespokojne życie, gdzie ci rycerze z mgły i cienia, ci widmowi wędrowcy z planety węgierskiej duszy, niezwykli szarlatani ducha, dziecienni i bohaterscy, samotni Cyganie, rozgadani i milczący do śmierci, smutni jak Gyula Juhász³, który zamknięty w pokoju z okratowanym oknem, w głębokiej ciszy szpitala dla nerwowo chorych wspominał złote włosy swojej Anny, pogrążony w smutku, który wżarł się w jego komórki nerwowe z jej powodu, wiecznej Anny, która żyje w „w każdym jego przekrzywionym krawacie”? Wszyscy oni byli tu jeszcze wczoraj, w tych salach, pomiędzy śmiesznymi dekoracjami wytartej barokowej pompy, tu popijali gorzką kawę, pogryzali przekąski „literatki”, wspominali prowincjonalne zmierzchy i paryskie świty, dyskutowali o pieniądzach, Wiktorze Hugo i prawach Tiborca⁴, szumieli i robili interesy, pisali i marzyli, i tak razem zachowywali i wyrażali coś, co było treścią i sensem Węgier.

¹ Árpád Tóth (1886–1928) — poeta, tłumacz.

² Géza Csáth (1887–1919) — lekarz, pisarz, krytyk muzyczny.

³ Gyula Juhász (1883–1937) — poeta.

⁴ Postać chłopca z pierwszego wielkiego dramatu węgierskiego *Bánk Bán*, napisanego przez Józsefa Katonę.

Sindbad pochylił głowę i wreszcie ukroił kawałek słoniny.

— Nie śpij — zwrócił się do Artura, który tymczasem usadowiony wygodnie przy marmurowym stoliku naprzeciw żeglarza zapadł w słodką drzemkę z głową przechyloną na bok, jak ktoś, kto po długiej wędrówce i licznych perypetiach wreszcie powrócił do domu. — Odpowiedz mi, czy w kawiarniach literackich dają jeszcze kredyt?

Ale zanim Artur odpowiedział, za plecami Sindbada odezwał się głos:

— Kredyt jest tylko dla pisarzy, panie Sindbadzie — zabrzmiało zdanie pełne szacunku i uprzejmości. — Ale pisarzy już w mieście nie ma, podobnie jak kredytu. Pozostali tylko autorzy tekstów i ci, którzy za dwadzieścia pengó piszą dla dyrektorów banków.

Był to oczywiście Ede, główny kelner literacki, który karmił i pocieszał całe pokolenia pisarzy, oceniał ich rękopisy i wspierał literaturę radą, gotówką, papierosami „Princess” oraz praską szynką, a czynił to wszystko z większą wiernością i wielkodusznością niż cały Almanach Gotajski. W postawie pełnej szacunku stał pół metra za krzesłem Sindbada i z dłońmi ukrytymi pod skrzydłami fraka, zanurzony w kangurzej kieszeni, zgodnie z kelnerskim zwyczajem bawił się drobnymi monetami i ciągnął:

— Literatura skończyła się, panie Sindbadzie, kiedy umarł Osvát, który pił tylko czarną kawę i zimną wodę, lecz to właśnie on był dyrygentem tej szczególnej orkiestry, wysiadującej tu, „na głębi-

nie¹ i w lożach, w której każdy grał na własnym instrumencie. Umarł Osvát i literatura powoli rozpadła się. On sam nie umiał pisać, tylko raz zamieścił krytykę w dawnym piśmie „Węgry”, ale natychmiast się zawstydził. Pisarze bali się go, ale kochali jak ojca. Potrafił godzinami szukać po mieście pieczo taniego hotelu czy nowej pary butów dla początkującego poety. Najczęściej przychodził tu z Margit Kaffką² i z rękami splecionymi na piersi słuchał, jak ta pisarka o płonących oczach odczytuje mu swoje nowe wiersze czy fragmenty powieści *Barwy i lata*. Potem wybuchła rewolucja, epidemia hiszpanki, Margit Kaffka umarła, a pan Osvát w dalszym ciągu z uwagą słuchał odczytów pisarzy, które były dla niego to występami ukochanych dzieci, to znów skargą szaleńców. Niech pan nie posądzi mnie o nieskromność, ale po samobójstwie biednego pana Péterfyego³ wydawało mi się, że tylko my dwaj, Osvát i ja, troszczymy się o pisarzy. Wzbogaceni Żydzi przestali uważać za swój obowiązek fundowanie kilkuletnich stypendiów paryskich wschodzącym geniuszom, a magnaci urządzali żywe obrazy pod nadzorem pana Endre Nagya⁴, i to było wszystko, co czasami robiono dla literatury. Jakby Széchenyi i Miklós Szemere⁵ nigdy nie głosili świętego obowiąz-

¹ Tą nazwą określano pewien zakątek kawiarni „New York”, w której zbierali się pisarze.

² Margit Kaffka (1880–1918) — poetka i powieściopisarka.

³ Jenő Péterfy (1850–1899) — autor prac filozoficznych i historycznoliterackich, esteta.

⁴ Endre Nagy (1877–1938) — dziennikarz, dramaturg, nowelista.

⁵ Miklós Szemere (1856–1919) — polityk, dyplomata.

ku popierania słowa pisanego! Miasto zrobiło się frywolne, pyszałkowane i bez serca. Potem przestał przychodzić Gárdonyi, rzadko tu zaglądał, do dawnego „Czikago”, gdzie zawsze siadywał przy stoliku w kącie, tu na lewo, za kolumną i zamawiał butelkę wina, którą wypijał samotnie, poważnie i ostrożnie, a aktówki, którą kładł na krześle obok, strzegł jak kasjerzy fabryk Starej Budy pilnują w sobotnie wieczory tych skórzanych teczek, w których noszą wypłaty robotników. W tej aktówce przywoził z Egeru nowe utwory dla „Kuriera Peszteńskiego” czy „Nowych Czasów” i zaraz się rozliczał z Imre Légrádyem czy z wujaszkiem Pepi Wolfnerem, precyzyjnie i poważnie. To był prawdziwy pan, samotnik. Dawni pisarze wszyscy byli panami na swój sposób, hrabiowie mogli się od nich uczyć. Ja zbierałem w pugilaresie bony i podpisane rachunki, zawsze tylko dawałem i zapisywałem, i któregoś dnia stwierdziłem, że wcale na tym nie straciłem. Ale to było w czasach, kiedy jeszcze istniały literatura i teatr. A potem wszystko się zmieniło. Czy to wojna spowodowała, czy jakiś zły duch, który się wgryzł we wszystko i zniszczył to, co było święte w tym mieście? Nawet gonitwy już nie te same, proszę pana. Jani, przynieś sól i paprykę! — zawołał na stojącego opodał posługacza, bo zauważył, że Sindbad, nadziawszy kawałek słoniny na koniuszek noża, rozgląda się wokół w poszukiwaniu czegoś.

Zaczekał, aż Sindbad schowa pod wąsem smaczny kąsek, który uprzednio obficie posypał papryką, i nabożnie obserwował ruchy jedzącego słoninę żeglarza.

— No tak — powiedział po chwili i westchnął.
— W czasach mojej młodości dżentelmeni takie właśnie spożywali śniadania. Mamy śliwową palinkę — dodał cicho i nachylił się do ucha pisarza, jakby się obawiał, że ta cenna informacja może zostać usłyszana przez pogrążonych w drzemce agentów ruchomych obrazów.

Sindbad przełknął kawałek słoniny, wierzchem dłoni wytarł wąsy, złożył i schował w tylnej kieszeni spodni scyzoryk o długim trzonku, i przyzwalając machnął ręką, żeby przynieśli tej palinki.

— A co na wyścigach? — spytał po chwili tonem niezorientowanego przybysza z prowincji i wyłuskawszy z kieszonki kamizelki twardą wykałaczkę z dębowego drewna (Sindbad nie cierpiał miękkich wykałaczek z drewna sosnowego), zaczął czyścić żółtawe zęby. Patrzył tak niewinnie, jakby nie spędzał całych nocy w towarzystwie dżokejów, grając w bilard i wymieniając poufne informacje przy marmurowych stolikach kawiarni „Niedźwiedź” w Starej Budzie.

— Wszyscy stawiają na pewniaka — oświadczył Ede z taką pogardą w głosie, jakby relacjonował ukryte i niegodziwe namiętnościach miasta. — Wszyscy obstawiają pewniaka, panie Sindbadzie, skrzykują się po trzech i grają o pięćdziesięciofillerowe stawki, jakby to miało sens, choć przecież w tym mieście tylko pan J.H. zna się cokolwiek na koniach, ale to mądry człowiek i już właściwie nie chce wygrywać. Dziesięć, dwadzieścia lat temu wyścigi to było święto, jak wiosenna miłość. Któż nie pamięta tych czasów piękniej i dokładniej od pana? Kto

napisał prawdziwiej, jakie podniecenie ogarnia Budapeszt, kiedy na wiosenne gonitwy przyjeżdżają najwięksi oszuści z wiedeńskiej kawiarni „Ring”, miasto wypełnia się podejrzanymi figurami, mówią po niemiecku, noszą spodnie w pepitkę i kamasze gołębiego koloru, z ramienia zwisa im lorneta w złotym skórzanym futerale, fryzjerzy układają im angieły z resztek czupryny, piją ciemne piwo i w ogóle zachowują się tak, że przyzwoitemu człowiekowi odechciewa się mieszkać na terenie Monarchii? W tamtych czasach wyścigi to było święto! A dziś grają na pewniaka nawet konduktorzy tramwajów! Poeci z ołówkiem i programem gonitw siedzą w dniu wyścigów w tylnych salach kawiarni i z takim nabożeństwem wymawiają imiona wystawionych klaczy, z jakim pisarze wymawiali dawniej jedynie imiona aktorek i guwernantek, a całe miasto skąpane w kwaśnym, zafrasowanym pocie łamie sobie głowę, jak poznać na torze pewniaka, i nie ma już w tym wszystkim ani krztyny poezji! Czarnooka baronowa coraz rzadziej pojawia się w nowiusieńkim paryskim kapeluszu przed lożami Towarzystwa Hipicznego w towarzystwie dwóch eleganckich braci malarzy, a poza nią chyba już tylko Sándor Hunyady¹, który podobnie jak jego nieboszczyk ojciec potrafi przynajmniej ocenić koni i ludzi w sposób fachowy i rzeczowy. Reszta chadza na wyścigi z nieskrywaną żądzą pieniędzy, jak się chadza do podejrzanych klubów ruletki w mieszkaniach na drugim

¹ Sándor Hunyady (1890–1942) — popularny pisarz, syn również popularnego pisarza Sándora Bródyego.

piętrze kamienic w dzielnicy Teresy¹. Całe miasto oddałoby zbawienie duszy za dobry typ pewniaka, kobiety ryzykują cnotę, żeby tylko obstawić za dwadzieścia pengő jakiegoś obiecującego ogiera z nieznaney dotychczas stajni, i nie ma już nigdzie święta ani uroczystego nastroju, nawet na torze. Ale i w kawiarniach sytuacja nie jest lepsza — powiedział Ede, westchnął i patrzył zafrasowany, jak żeglarz, przymknąwszy oczy i odchyliwszy do tyłu siwą głowę, jednym ruchem wychyla podwójną porcję śliwowej palinki.

— A co w kawiarniach literackich? — zapytał po chwili trochę ochryple żeglarz i odkaszlnął, ponieważ płomień palinki przyjemnie rozgrzał mu przełyk.

— A co ma być? — odparł pytaniem na pytanie Ede, przyjaciel literatury, i rozłożył ręce, jakby odmawiał kredytu całemu światu. — Młodzi ludzie uprawiają sporty, chodzą na pływalnię, zjeżdżają na nartach i oddają się podobnym, rzekomo zdrowym, lecz jednak podejrzanym czynnościom. Ale my obaj, panie Sindbadzie, nie chciałbym być nieskromny, my obaj wiemy przecież, że dla młodych poetów jedynym zdrowym zajęciem jest literatura i kawiarnia. To są żelazne prawa i nikt nie może ich bezkarne podważać, a już najmniej ten, kto zaciągnął się na służbę u muz. Czyżby sportsmeni mieli odtąd kierować życiem umysłowym? Ja nie twierdzę, że dla płuc nie jest zdrowsze zjeżdżać na deskach ze Szwabskiej Góry niż dyskutować przez całą noc z

¹ Terézváros.

panem Báttaszéky¹ w „Czikago”. Ale pisarz ma się troszczyć nie o swoje płuca czy serce. Pisarz ma się troszczyć o swój umysł i ducha, i właśnie kawiarnia daje tę specyficzną, może według zaleceń lekarskich czy gimnastycznych zupełnie niezdrową, ale z literackiego punktu widzenia jedyną dobroczynną atmosferę, w której pisarze znajdują niejaką ochronę przed pokusami świata, samowolą urzędów i brutalnością pieniądza; ich płuca i serce nadwyręży wprowadzie nikotyna i czarna kawa, ale ich duch rozkwitnie — i to jest ważniejsze! Wielmożny pan wie, co i ja wiem, i wiedzieli wszyscy dawni pisarze, że bez kawiarni nie ma literatury. Pan Petőfi nie chodził na narty, tylko do „Pilvaxu”, a pan Vörösmarty nie na pływalnię, tylko do „Złotego Wołu”. To są olbrzymie różnice, proszę uniżenie. Co ja mam czytać wiersze poety, o którym wiem na pewno, że codziennie wykonuje ćwiczenia gimnastyczne według wskazówek *Mein System* i na rozkaz radia rękami kładzie się na podłodze i wyrzuca nogi do góry niczym nierządnicę, które żyją z tego, że dbają o linię? Dla mnie taka literatura nie ma wartości. Literatura powinna być wierna sobie, swoim prawom, atmosferze, potrawom i napitkom, trybowi życia i wszystkiemu temu, co jest niezbędne, by człowiekowi czasem przyszło do głowy coś, co innym nie przychodzi, i by potem potrafił to wyrazić w doskonałej artystycznej formie. Pisarze, którzy nie grają w bilard, którzy żyją zdrowo, pisarze, których ambicją jest być dobrymi atletami czy pływakami,

¹ Lajos Báttaszéky (1844–1921) — prawnik, dziennikarz.

pewnie pozostają zdrowymi ludźmi, ale w duchu stali się niewierni literaturze, która nigdy nie chroniła zdrowia, wręcz odwrotnie, była czymś innym, niebezpiecznym i przeciwnym życiu. Ja jestem już ostatnim kelnerem, który o tym wie, no, może jeszcze pan Andorfy z restauracji „Keszely”. On też szanuje literaturę, niedawno widziałem, jak osobiście i z wielką uwagą niósł z kuchni w niedzielę przed południem kość szpikową Miksie Márkusowi¹, który tam popijał piwo; dopilnował nawet, żeby na kości pozostawiono drobne kawałki żyłek i ścięgien, co to ani mięso, ani skórka, ale człowiek znajdujący się na rzeczy zeskrobuje je nożykiem i spożywa osobno, z odpowiednią porcją soli i pieprzu. Andorfy dba o takie szczegóły. Ale poza tym nasza profesja zesłała na psy. Mijają tygodnie i nie zapisuję na kredyt ani jednej „literatki”!

Mówił to markotnie, strudzonymi krokami obszedł stół, przystanął naprzeciw Sindbada, zabrzączał drobniakami ukrytymi w kieszonce pod jaskółczymi skrzydłami fraka niczym Gasparone w *Dzwonach kornewilskich*, i spojrzał uważnie.

— Gdzie jest nasz dawny kraj, panie Sindbadzie?
— spytał cicho.

— W duszach — odparł równie cicho żeglarz i wyjął wykałaczkę z ust.

— A, dobrze, że mi się przypomniało — dodał po chwili — niech mi pan da papier i atrament. Chcę coś napisać na Zielone Święta do „Węgierskiej Wolności”.

¹ Miksa Márkus (1868–1944) — dziennikarz, redaktor.

— Napisać, tak jest — odparł z gotowością usłużny kelner. — Chwileczkę, wielmożny panie, zaraz przyniosę liliowy atrament i przecinany na pół papier ministerialny, ten z fabryki w Diósgyőr, który pan Sindbad tak lubi. Bardzo się cieszę, że wreszcie ktoś znów coś pisze w „Czikago”. Ci tu — uczynił ledwie dostrzegalny ruch w stronę stolików, przy których oparci na łokciach siedzieli inni goście — piszą najwyżej umowy. Kupują i sprzedają pisarzy, aktorów i aktorki, tematy do sztuk i pieśni, pomysły i dusze, jak kupcy w restauracji „Debreczyn”, którzy w dawniejszych czasach handlowali tam końmi.

— Pisać, tak jest — dodał z radością, uniósł ręce do góry i ruszył na zaplecze. Sindbad długo patrzył za nim. Teraz, gdy główny kelner literacki zniknął, poczuł się jeszcze bardziej samotny i osierocony.

A potem przyniesiono przybory do pisania, Sindbad zanurzył pióro w liliowym atramencie, spojrzął łagodnie na drzemiącego gawędziarza, przechylił głowę na bok i zaczął pisać.

Pisał, bo do wieczora musiał zdobyć sześćdziesiąt pengő, a może nawet więcej — na pewno więcej, przecież dzień rozpoczął się od poważnych kosztów własnych, dorożka czekała na Sindbada przed wejściem do „Czikago”, a taksomierz już dawno przekroczył odziedziczoną przez Sindbada po rozhulanych handlarzach pierzem sumę szesnastu pengő. Pisał, ponieważ Várdali, zakochany w literaturze młodszy redaktor, około pierwszej oczekiwał Sind-

bada, by następnie zanieść jego rękopis naczelnemu redaktorowi, a potem przynieść przekaz, który po ściągnięciu drobnych sum manipulacyjnych każdy sekretarz redakcji zwykł zamieniać na gotówkę, nawet jeśli redakcyjna kasa została już zamknięta. Pisał, bo dochodziło południe, a Sindbad postanowił, że uczci tę wycieczkę do Pesztu, rozejrzy się w co bardziej znanych jadłodajniach miasta i, jak przystoi przybyszowi z prowincji, przypomni się kilku znanym w przeszłości kelnerom i dokona przeglądu kilku dawnych miejsc, „Piwiarni Wiedeńskiej” na ulicy Królewskiej, szynku hotelu „Londyn” czy „Małej Brudaski”, gdzie piwo z beczki miało zawsze odpowiednią temperaturę. Pisał, bo czas gonił, musiał zdobyć pieniądze, a nie znał się na niczym innym. Lecz pisał również z innych przyczyn.

Pisał, bo był pisarzem i czasami zdarzało mu się słyszeć pewien głos, jakby w pustym pokoju odezwała się nagle samotna altówka, którą ktoś pozostawił w kącie.

Ten głos i jego powracającą melodię Sindbad słyszał przez całe życie. Dlatego pisał; i tylko wtedy pisał, kiedy go słyszał. Czasami przydarzało mu się to na ulicy, w gwarze Alei Okrężnej, lub o świcie, kiedy wstawiony wracał do domu pod biednymi i bladymi gwiazdozbiorami peszteńskiego nieba. Czasami słyszał go w knajpach, po północy, kiedy w szynku dym już wystygł, jak porywy w rozczarowanych duszach, a w salach o łukowych sklepieniach unosił się gorzki zapach gulaszu i toczonego z beczek piwa, jakby nie istniało lekarstwo na katzenjammer, który następuje po szaleństwach życia.

Czasami słyszał go pośrodku największego gwaru i gorączkowych dyskusji, w kole pisarzy i autorów prac specjalistycznych, podczas gry w karty, kiedy obojętny szatan hazardu zabawia się na zielonym stole ludzkimi losami, rozdziela szanse na codzienność, święto i choćby tylko jutrzejszą kolację, i ma mi pieniędzmi, za które, gdyby zjawyły się o czasie, może dałoby się kupić bilet do celu podróży zwanego szczęściem. Czasami słyszał go w domu, siedząc samotnie przy biurku i przebiegając wzrokiem wydrukowane na szlachetnym papierze zdania jakiejś książki przełożonej z angielskiego, paląc i wspominając, jakby sam był jednym z bohaterów Dickensa, zakładał wieczorami cylinder i dzwonił do bramy domu, w którym czekają go członkowie klubu Pickwicka. Słyszał go w samotności i wśród największego harmideru, słyszał w nocy, w głębokiej ciszy Wyspy, kiedy nie słychać nic oprócz powolnego szumu fal i głębokich oddechów Dunaju, słyszał w wyspowej ciszy, kiedy nad brzegiem wody pohukują sowy, a życie wypełnia się niemożliwą do nazwania mądrością, której prawdziwą treścią jest śmierć. Ten głos żeglarz słyszał już w latach wczesnej młodości. Co mówił ów głos, czy miał sens i treść, którą można wyrazić słowami? Jedno jedyne słowo, to było za mało, i wszystkie słowa węgierszczyzny, nawet te najpiękniejsze, najsmakowitsze i najpotężniejsze, były za słabe, by opowiedzieć to, co ów głos wydobywał z duszy Sindbada. Pisał, ponieważ słyszał głos, ale przez całe życie, które było grzeszne i nieszczęśliwe jak życie wszystkich prawdziwych węgierskich poetów, w chwilach biedy i

cnoty, lekkomyślności i nieumiarkowania, w chwilach potrzeby i pokusy pilnował się, by brać pióro do ręki tylko wtedy, kiedy słyszał ten głos czysto i wyraźnie. Był to głos głęboki jak dźwięk skrzypiec, smutny jak spojrzenia samotnych kobiet i poważny jak pytania mężczyzn, kiedy rozliczają życie z tego wszystkiego, w czym pozostało dłużne; a czasem był wręcz ponury jak krzyk fatum. Ten głos żył i dźwięczał gdzieś w duszy Sindbada. Słyszeli go wszyscy jego przodkowie, ale nie potrafili go wyrazić w słowach, dlatego zadawane przez niego pytania topili w winie, przygodach i muzyce. Sindbad był pierwszym i ostatnim pędem na potężnym drzewie genealogicznym rodu, który na dźwięk tego głosu nie mógł zaznać spokoju, wyruszył więc w obce światy, do krainy literatury — a było to coś tak niewyobrażalnego jak to, że baron Cézár Mednyánszky¹ wywędrował do Australii, kiedy ojczyzna przepadła pod Világos². Dla Sindbada zagranicą była literatura, a litera — Australią, dziką przygodą z kangurami i uzbrojonymi w bumerangi tubylcami, do której wywędrował, ponieważ jego walka o wolność też miała swoje Világos, dla niego ojczyzna też przepadła na pewien czas. Pisał, bo głos się odzywał i szeptał mu do ucha różne rzeczy, prawdy, po których usłyszeniu umierający wydają jęk na łożu śmierci, a kobiety nie mają odwagi ich wyznać uko-

¹ Cézár Mednyánszky (1824–1857) — ksiądz, naczelny kapelan armii w 1849 r.

² 13 sierpnia 1849 roku główna część armii węgierskiej bezwarunkowo złożyła broń pod Világos; oznaczało to upadek trwającej ponad rok walki o wolność.

chanym mężczyznom w godzinie nienawiści i zemsty, porachunków i wyrzutów. Głos opowiadał o wszystkim. A Sindbad słuchał go i wydawało mu się, że słyszy wszystkie głosy przepadłych w odmětach czasu i ducha Węgier. Słyszał bieg Dunaju, czuł świeży, cierpki zapach wody, miał w uszach ćwierkanie zięb i kosów wśród porastających dunajskie wyspy żółtych wierzb, gwizd parowozu, kiedy pociąg przejeżdża nocą przez podobną do afrykańskiej równinę i ciszę Wielkiej Niziny, szum tatrzańskich sosen, słodką i smutną piosenkę zakarpackich matek, dochodzącą z półotwartych okien pomalowanego na niebiesko, pokrytego gontem domku, brzęk kieliszków w prowincjonalnych szynkach, trzask bata, kiedy dorożkarz pogania konie w letnią peszteńską noc, szczęśliwe piski młodych blondynek, którym w głowie szumi jeszcze kruszon truskawkowy, a ich śmiechy odbijają się echem w Tunelu¹ pełnym letnich zapachów, nocą, kiedy powóz rusza sprzed „Dawnego Lata” w stronę Mostu Łańcuchowego, a echo kobiecych głosów ciągle jeszcze niesie się pod łukami Tunelu, jakby przejechało tędy wszystko, co było ulatującym sensem życia, szczęście, młodość i cudowne oczekiwanie. Sindbad słyszał głosy, jakby na znak niewidzialnej altówki odezwała się naraz cała orkiestra, słyszał wszystkie dźwięki, które składały się na muzykę towarzyszącą tutejszemu życiu, rechotanie żab w trzcinach Balatonu, które dochodzi na ganek stojącej na wzgórzu starej willi Kisfaludyego, gdzie grają Cyganie, i skąd, oparłszy się na

¹ Alagút.

łokciach nad kieliszkiem wina z Badacsony, widzi się cały region Somogy, a nawet kawałek komitatu Zala, daleko za brzegami niebieskozielonej wody, jakby Węgry były wyspą spokoju i ostatnią prowincją szczęśliwości. Te dźwięki słyszał Sindbad, jak zawsze, gdy grała kapela cygańska. Słyszał zduszony szloch płaczących ukradkiem kobiet, kiedy towarzyszą w ostatniej drodze na cmentarzu Wilczej Łąki temu jedynemu człowiekowi, którego w życiu kochały i dopiero idąc za trumną, zaczynają rozumieć, jak bardzo pozbawiona nadziei jest każda miłość i że nie o to w niej chodzi, by otrzymać wdzięczność za własne uczucia. Słyszał ochryple głosy mężczyzn, którzy nie mogą sobie poradzić ze swoją gorącą krwią i porywcznością, poranny głos trąbki w koszarach, szelest kartkowanego programu i jedwabnej pelerynki w wyperfumowanej i uroczystej ciszy teatrów peszteńskich na chwilę przed podniesieniem kurtyny, słyszał dźwięk dzwonu na wieży Rakoczego w Rózsnyó, plusk wodospadów i potoków Siedmiogrodu, oddech Pesztu, kiedy wędrowiec spogląda z Góry Gellerta na otępiełe, smutne i zakurzone miasto, które Dunaj łagodnie obejmuje ramieniem jak kochanka, macierzyńskim gestem tuląca uśpionego, smutnego mężczyznę. Wszystko to słyszał Sindbad w chwilach, gdy brał pióro do ręki. Te dźwięki nie były muzyką ani nie przypominały sensownych i nieświadomych szmerów świata. Na wewnętrzny sens tego dźwięku składały się słowa, krzyki i westchnienia, Sindbad czasami przymykał oczy i w skupieniu nasłuchiwał, by zrozumieć ich sens. Pisał, ponieważ przez całe życie sły-

szął głos, który ostrzegał go, że ma na ziemi zadanie, musi spisać nuty i stworzyć wielką symfonię węgierskiego życia, które tylko on rozumiał i czuł naprawdę.

I pisał, ponieważ w chwilach, gdy głos się odzywał, za przymkniętymi powiekami zaczynał dostrzegać obrazy, widział je jak somnambulicy. I od razu przenosił je na papier pospiesznie stawianymi, drobnymi, liliowymi literami, które chyliły się na bok niczym rzędy traw, kiedy je głaszcze wiosenny wiatr.

Co widział w takich chwilach Sindbad? Rzeczywistość, inne Węgry, które żyły poza mapą, a ich wizja promieniowała spoza rzeczywistości.

Widział te obrazy ostro i nieomylnie. Właśnie jakaś kobieta przeszła przez ulicę w Dzielnicy Wodnej, jej drobne sznurowane trzewiczki stukały na kocich łbach, spieszyła w stronę Schodków Donata¹, spod liliowego kapelusika z woalką oczami jak niezapominajki tak niewinnie spoglądała na wiosenny świat, jakby wcale nie wracała z cukierni panna Tomaska, gdzie miała sekretne spotkanie z Kázmérem Rezedą, wiecznym bohaterem opowieści Sindbada, żurnalistą-marzycielem, zahartowanym przez cięgi, jakie dostał od losu. Sindbad przymknął oczy i popatrzył za kobietą w liliowym kapelusiku. Ten fragment ulicy lubił szczególnie, placyk przed budą Resursą, ze schodkami, z domkami w stylu włoskim i z widokiem na Dunaj, za którym na drugim brzegu królował budynek Parlamentu, tak ma-

¹ Donáti-lépcső.

jestatyczny z tej perspektywy, jakby kraj przeżywał jeszcze ciągle dni chwały niczym w epoce Ludwika Wielkiego czy Franciszka Józefa. Sindbad lubił przystawać na najwyższym stopniu schodków prowadzących w głąb wąskich uliczek Dzielnicy Wodnej, w jakimś wyższym punkcie ulicy Karpiej¹ czy Szkolnej², i długo patrzyć na wznoszącą się na przeciwnym brzegu Dunaju gotycką budowlę, gmach ni to z jawy, ni ze snu, ponieważ w głębi serca żeglarz jeszcze ciągle uważał, że ojczyzna jest potężna, i wierzył, że do tego pałacu powrócą kiedyś wszyscy urodzeni na brzegach Dunaju. Kobieta w liliowym kapelusiku zniknęła w krętym zaułku za Schodkami Donata, stukot jej trzewiczków ścichł w głębi sennych uliczek, lecz po tym dźwięku i zjawisku pozostało wspomnienie, jak kiedy pośrodku codziennej krzątania człowiek nagle niespokojnie szuka w kieszeni na piersi portfela, w którym przechowuje kawałek niebieskiej wstążki, czyjs kosmyk włosów, dziecięcy ząbek mleczny czy fotografię matki. Właśnie odeszło szczęście, pomyślał Sindbad, nasłuchując z przymkniętymi oczami rytmicznego stukotu oddalających się kroków. Żeglarz był bowiem mędrcom, i to, o czym zawsze wiedział rozum, w uroczystych chwilach odczuwał również całym sercem: że szczęście to wędrowny ptak, a kobiety, które jeszcze przed tygodniem z zemsty czy za przyczyną miłostnego zawodu chciały połykać kruczek do bucików, tydzień później znudzone, bez żadnej

¹ Ponty utca.

² Iskola utca.

szczególnej przyczyny szykują się na schadzkę, ot, tylko dlatego, że nadeszła właśnie wiosna czy jesień, że znudził im się kochanek, dla którego jeszcze wczoraj gotowe były umrzeć, że myśli zaprzęta im tabaczkowy krawat młodszego urzędnika z ministerstwa rolnictwa, który wczoraj spojrzął im w oczy w hallu kina filmów popremierowych przy placu Sienym¹. Bo na dnie życia, niczym zastygła lava u stóp wygasłych wulkanów, czaiła się nuda, popiół i pył. Sindbad niczego nie budował na ludzkich uczuciach. Wiedział, że pejzaż i pora roku, chmury i potrawy, ambicja i próżność, rozpacz i żądza zemsty kształtują naturę i temperaturę ludzkich więzi w nie mniejszym stopniu niż miłość, ciekawość czy wdzięczność. Ale teraz jednak obejrzał się za skręcającą właśnie ku Schodkom Donata kobietą w liliowym kapelusiku i sznurowanych trzewiczkach z kokardą. Żeglarz znał ludzkie serca i wiedział, że kobiety troskają się z najrozmaitszych przyczyn, jesienne przetwory są dla nich tak samo ważne jak burzące krew pocałunki w bramach domów Dzielnicy Wodnej, potrafią wyciąć z gazety fotografię upadłego prezydenta republiki greckiej i długo, z ukontentowaniem przyglądać się rysom ozdobionej wojowniczym wąsem twarzy, a czynią to z takim samym skupieniem i oddaniem, z jakim w zeszłym roku kontemplowały fotografię mistrza kominiarskiego z dzielnicy Franciszka², z którym pojechały na odpust do Máriabesnyő — ale dlaczego? Bo w

¹ Széna tér.

² Ferencváros.

sercach czały się oczekiwanie i nadzieja niczym puma w lesie pod Gödöllő, która uciekła kiedyś z menażerii w Lasku Miejskim, i choć świat wydawał się czasami uroczy i uporządkowany, nigdy nie można było przewidzieć, jakie niebezpieczeństwa kryją się w gęstwinie. Trzeba było być mądrym, pomyślał żeglarz i przypomniał mu się cały ból, nuda, rozpacz, samobójcze myśli, upokorzenia, przechwałki, przysięgi, oczekiwania i nadzieje, które przez pięćdziesiąt lat wypełniały mu serce za każdym razem, gdy ruszał śladem kobiety w liliowym kapelusiku Schodkami Donata czy gdziekolwiek indziej.

Lecz wiedział również, że właśnie on, pisarz i żeglarz, w kwestii uczuć i namiętności nie może sobie pozwolić na luksus mądrości, chłodnego, rozważnego rozsądku, ponieważ jego zadaniem jest pamiętać, nasłuchiwać głosów i patrzeć w płomień, który żarzy się na dnie ludzkich serc; za każdym razem musiał się też pozwolić poparzyć temu ogniewi, po którym zostaje unoszący się nad popiołem dym świadomości.

Wiele czasu upłynęło, nim żeglarz nauczył się, że cierpieć z powodu kobiet wolno jedynie przy zachowaniu pewnych zasad ostrożności. Już posiwiały mu skronie, kiedy zrozumiał, że nie warto budować związków z myślą o przyszłości falującej w oddali. Szczęście i radość śmigały na lekkim indiańskim kanoe pomiędzy cudownymi, skrytymi w bujnym listowiu brzegami życia, ale kto obracał się wstecz i oczarowany wypuszczał ster z ręki, wywracał się i znikał w wirach afektu. Ludzie uskarżali się na politykę, wysokie podatki, kaprysy starzejących się żon

albo obwiniali za własne nieszczęście wiecznie zrędzającego pryncypała. W rzeczywistości prawdziwą przyczyną większości ludzkich wypadków było jednak to, że tchórzyli przed własnymi uczuciami albo przeceniali je.

Żeglarz szanował już tylko tych mężczyzn, którzy mieli wystarczająco wiele doświadczenia i samodyscypliny, by utrzymać w ryzach własne namiętności i porywy z takim spokojem, z jakim pan Hagenbeck w Hamburgu opanowywał lwy. Istniała tu pewna tajemnica, za zdobycie której żeglarz zapłacił wysoką cenę i było cudowne, że tej tajemnicy nie potrafiła ludziom przekazać nawet literatura. Trzeba się było dać osmalić przez płomień życia, lecz jednocześnie ocalić w duszy pewną zdolność pozwalającą zimno, ze zrozumieniem i bez emocji, niejako z wysokości spoglądać na oszalałą walkę płci, męskie zmagania o kobiety, o pieniądze, o ambicje, o próżność, o posiadanie przemijających i nietrwałych dóbr, o złoty dym, tytuły i rangi, jakimi obwieszali swoje życie i surduty; tak w chwili pożegnania patrzy emigrant, kiedy ostatnim spojrzeniem ogarnia zamglone, znajome krajobrazy opuszczonej ojczyzny. Zadaniem Sindbada było przeżyć wszystko, czego pragnęli, co czynili i o czym marzyli mieszkańcy Kotliny Karpackiej, lecz jednocześnie trzymać się jak najdalej od tego wszystkiego, co ci ludzie uważali za cel swego życia; musiał patrzeć na to, co kochał, w taki sposób, w jaki znawca sztuki patrzy na wystawiony obraz. Dlatego kobiety znikwały w dekoracjach przeszłości, na Schodkach Donata, za zakrętem wąskiej uliczki pro-

wincjonalnych miasteczek, odjeżdżały tramwajem Aleją Okrężną lub dwukółką nowego wielbiciela, przykrywała je łagodna nuda trypokojowego mieszkania w dzielnicy Józefa albo połykała przyciągająca czerwonym światłem jaskinia peszteńskiej nocy, w której krążyły w poszukiwaniu łupu bestie o zimnych spojrzeniach i blaszanych twarzach; ogarniała je nuda lub żądza przygód, jakieś nowe uczucie, pomysł czy kaprys, pojawiające się w sercu tak nagle, jak burzowa chmura nad letnim krajobrazem: w końcu zawsze coś je ze sobą porywało. A żeglarz wiedział, że musi pozostać na swoim miejscu i zachować wszystko, co kobiety zostawiły mu na pamiątkę, najrozmaitsze fetysze, zapomniane w obrazonym pośpiechu gorsety nie najpierwszej czystości, powyginane szpilki do włosów, chustki ze śladami łez i szminki, kwiaty, wstążki, listy, w których dużymi literami zapisywały swoje straszliwe kłamstwa, wyznania pełne błędów ortograficznych, kabalistyczne przedmioty miłosne, całą tę czarnoksięską śmieciarnię, z jaką kobiety lubią składać ofiarę na ołtarzu miłości podczas sekretnych świąt życia; musiał też spokojnie obserwować, jakim ceremoniałem i kadzidłem uświęcają ślady swych gorących uczuć. Żeglarz wiedział wszystko o sekretach pokojów w mieście, wszystko zrozumiał i niczego nie przebaczał. Szanował już tylko matki i całował w rękę tylko takie kobiety, na których dłoniach poczuł szorstkość zostawioną przez ług i mydło do prania; te dłonie świadczyły o tym, że prały pieluchy i, nie używając gumowych rękawiczek, nie wstydziły się osobiście utrzymywać w czystości bielizny ukocha-

nego. Żeglarz szanował więc już tylko matki i tylko je całował w rękę w tym mieście. Poza tym przymykał oczy i z obojętnym spojrzeniem wschodniego bożka przyglądał się kontredansowi, podczas którego kobiety tak łatwo zmieniały tancerzy, jak w letnich dniach pończochy.

Pisał, ponieważ widział kobiece twarze i słyszał głos, jakim mają zwyczaj wypowiadać miłosne kłamstwa. Pisał, bo znał ludzi, żałował ich i pogardzał nimi. W dawnych Węgrzech mężczyźni byli jeszcze wstydlivi. Sindbad znał tę męską wstydlivość i pogardzał nowomodnym życiem towarzyskim, gdzie miłość stała się grą niczym brydż, ludzie bez żenady opowiadali o swoich uczuciach wszem i wobec, wykrzykiwali je niemal, jak naganiacz zapowiadający sekrety kolejki jaskiniowej w wesołym miasteczku. Sindbad przymykał oczy i widział tamten inny świat, w którego wytartych dekoracjach mężczyzna podstępnie zaatakowany przez uczucie stawał niemy i blady, czekając bez słów na swoje przeznaczenie. W świecie Sindbada mężczyźni chodzili pod gwiazdami tego przeznaczenia gotowi na śmierć, odrzucenie lub wieczną i niemą służbę, jakby wszyscy byli zakonnikami sekretnego świeckiego zakonu. Sindbad znał jeszcze pewien typ mężczyzny w dawnych Węgrzech, o którego miłosnych sprawach, przeżyciach, gorących afektach nigdy nie ukazywały się plotki w rubrykach wiadomości towarzyskich, którzy potrafili przeżyć całe życie zgodnie z niewypowiedzianą nigdy na głos przysięgą, w służbie jednego uczucia, przechowując kawałek wstążki czy gałązkę pachnącego groszku w ksiątecz-

ce do nabożeństwa zmarłej matki, żyli z zaciśniętymi ustami, zachowując wspomnienie, o którym nikt się nigdy nie dowiedział, i nawet urzędnik stwierdzający śmierć nie był w stanie ustalić jej rzeczywistej przyczyny. Sindbad pamiętał ten typ mężczyzny i świat, w którym miłość była jeszcze na Węgrzech tajemnicą i przysięgą; czasami nie była niczym więcej niż wspomnieniem o leśnym spacerze w Chłodnej Dolinie, a czasem znów niepojętym faktem, z autem policyjnym, zbiegowiskiem lokatorów, rozgadany dozorcą i zapłakaną sprzątaczką: mężczyzna, który zabrał ze sobą na tamten świat imię jakiejś kobiety, bardzo błądzący leżał z przestrzelonym sercem na kanapie o połamanych sprężynach w wynajętym mieszkaniu którejś z peszteńskich czynszówek, a w żelaznym piecyku wystygł już popiół pozostały po spalonej paczce przewiązanych wstążką listów, których sekrety zabrał ze sobą. W dawnych Węgrzech ludzie umieli jeszcze milczeć o uczuciach. Miłość nie była sprawą publiczną, o afektach wspominali tylko poeci, ale i oni czynili to tak cicho i z tak ponurym przejęciem, jak umierający, który spowiada się z grzechów. János Arany, Mikszáth czy Gárdonyi przeżyli życie i nikt nie słyszał, by wypowiedzieli imię kobiety; Sindbad czasami zastanawiał się, co kryli w swych wstydliwych, wrażliwych i dumnych sercach. Istniały kiedyś Węgry, gdzie brudów ludzkiego życia nie prało się w gazetach czy w śródmiejskich i naddunajskich kawiarniach, a usta zamykała pieczęć danej na zawsze przysięgi. Sindbad znał jeszcze takich mężczyzn i już tylko ich szanował w tym ambitnym, próżnym i roz-

gadany miście, w którym nawet kelnerzy wiedzieli o poufnych namiętnościach i rozczarowaniach stałych gości.

Pisał, bo widział twarze mężczyzn z tamtego innego świata, znał ich samotne ścieżki, wiedział, jak cierpią, przysięgają, wspominają, oczekują, znał niepokój ich serc, współczuł im całą duszą i chciał wypowiedzieć wszystko, co ich dręczyło.

I przecież żyły też jeszcze na Węgrzech prawdziwe kobiety; ale żyły w ukryciu, z daleka od jarmarcznego jazgotu nowoczesnego życia miejskiego; i żyli mężczyźni, którzy zachowali w sercach niepisane zasady honoru, i dbali o nie z większym pietyzmem, niż to czyniono za żółtymi jedwabnymi zasłonami okien Kasyna Narodowego.

Pisał, bo widział i znał te drugie, ciche Węgry, gdzie miłość i przyjaźń pod osłoną miecza i honoru żyły swoim sekretnym i prawdziwym życiem. „Tylko na dawnych Węgrzech ludzie umieli milczeć” — myślał czasami Sindbad. Rozpoznawał mieszkańców tego innego świata po wyrazie twarzy i ubraniu, które było tak samo skromne i wytworne, jak ich uczucia. Widział, jak spacerują o zmierzchu z psem drogą wzdłuż winnic, samotnych jak błędna dusza kołyszająca się nad starym cmentarzem. Znał ich serca i wiedział, że w tych najszlachetniejszych mieszka smutek. Bo tylko Sindbad i ludzie jego pokroju mieli świadomość, że cały kraj jest pogrążony w smutku. W spojrzeniu tutejszych ludzi, w ich cichym sposobie mówienia, wielkopańskim filozofowaniu, skłonnościach do samotności i przewrażliwienia było coś, czego żaden zagraniczny śmier-

telnik nie był w stanie zrozumieć. Uprzejmy, prędko mówiący i jasno myślący Francuz, pogodny, pełen temperamentu, niepohamowany Włoch, Anglik o drewnianej twarzy i uczuciach tak powolnych, jakby wyświetlano je w kinie w zwolnionym tempie, skrycie ciekawski i spocony od gorączkowej pilności Niemiec, drapiący się i jednocześnie rozprawiający o zbawieniu, poszukujący Boga Moskal, Polak, który, biedny, urzędowo smuci się i płacze, bo jego ojczyzna ma to do siebie, że czasami przepada: żaden z nich nie rozumiał Węgra. Było to coś szczególnego, mieszanka czarów i zarazy, neurozy i nabożności, godności i szlachetności, wystarczyło jej popić przez kilka pokoleń i przybysz z innego ludu któregoś dnia budził się z tym samym smutkiem w oczach i pojmował, że padł na niego czar: napił się ciężkiej wody sekretnego smutku i stał się Węgrem. Lecz co to był za smutek? Co wcisnęło w dłoń Szechényiego pistolet w domu dla nerwowo chorych w Döbling i jaki to niepokój zaprowadził go w tamto miejsce? Jaki był sens tych dzikich i smutnych porywów, w jakich piękni, zdrowi i dumni ludzie porzucali bez żadnej zrozumiałej przyczyny karierę i honor, dom i ukochaną, i wszystko, dla czego warto żyć, rzucali na szalę śmierci, niszczącej namiętności, głupiej i nieudanej przygody? Czego było za dużo albo za mało w węgierskich duszach w porównaniu z innymi narodami, gdzie pomyłono wzór, jaki popełniono błąd w łączeniu składników, jaka to mieszanka radości i woli, samozniszczenia i skłonności do obrazy, ofiarności i dozgonnej wierności marzeniom stanowiła ową tajemnicę, z powo-

du której Węgrzy byli tak beznadziejnie Węgrami, i Węgrem stawał się każdy, kto nocą spędzoną nad brzegiem Balatonu poczuł, że jego serce przeniknęło światło księżyca, zapach wina, róż i dźwięk skrzypiec, i pojmował, że już nigdy nie odnajdzie całkowitego spokoju duszy? Co to były za czary, dzięki którym Szwabowie chwyтали za broń i szli walczyć przeciw Austriakom w oddziałach Kossutha pod Komárom, a żydowscy kupcy zboża zatykali pędzle z sierści kozicy przy kapeluszach, pili palinkę na śniadanie, przechodzili na dialekt szegedzki, spluwali na podłogę, walili się po pyskach i o świcie pijani płakali przy stoliku dworcowej restauracji, jakby ich przodkowie razem z praojcem Álmossem przed tysiącem lat przybyli o świcie pod przełęcz Verecke? Dlaczego pisarze opłakiwali i grzebali ten naród w każdych czasach, a on, pomimo wszelkich złowróbnych przepowiedni, z jakąś sekretną siłą żył i milczał przez tysiąc lat, milczał tak ponuro, jak potrafi milczeć pasterz z Hortobágy i jego stado, ze świadomością przeznaczenia, które trzeba przyjąć bez pytań i odpowiedzi, ponieważ naród ma jakieś zadanie do wypełnienia pomiędzy Dunajem a Cisą? Kto rozumiał tę podszytą smutkiem wstydlivość, która czasami wybuchala, jakby Węgier żył z porcją ekrazytu w kieszeni, a czasem tylko dymila, niczym jedyny komin wystawionego na sprzedaż dworku, ale w głębi każdej duszy jarzyła się i żarzyła zduszonym płomieniem jak ognek kopalniany. Kto rozumiał ten smutek, skromne, samotne życie kobiet i mężczyzn, ich ciche rytuały, mieszkania z meblami z drewna czereśniowego,

wyblakłymi portretami rodzinnymi, wyszywanymi pamiątkowymi makatami, stojakiem do fajek i staroświeckimi szafami na książki, te otwierające się z długich i ciemnych korytarzy, pachnące naftaliną, jabłkami, sianem, powidłami i ciętym tytoniem zatłoczone pokoje, w których zasłony, żyrandole, kredens, portrety przodków o zimnym, przenikliwym, szklanym spojrzeniu — wszystko to konserwowało postawę ostrożności i przywiązania do tej melancholii, jakby świat wiecznie zagrażał, a Węgrzy nigdy nie byli wystarczająco cisi, uważni, bezdźwięczni i ostrożni, by móc zachować swoje ramy życia i specyfikę własnej duszy. Pisał, bo widział te mieszkania i ciężko mu było na sercu od tego widoku. Widział stuletnie, pełne przeciągów klatki schodowe w dzielnicy Józefa, Elżbiety¹ czy Wodnej, w Peszcie i w Budzie, na półpiętrach stały tam w kącie wyłożone papierem z koronkowym brzegiem spluwaczki pełne trocin, za oszklonymi drzwiami ciągnęły się korytarze, w których długo nikt nie pojawiał się na dzwonek, widział politurowane, skromne meble salonowe z epoki Marii Teresy, okrągły stoliczek z tacą na bilety wizytowe, miedzianą klatkę z sójką, konfitury w spizarni, czuł zachowany w starych szafach zapach ubrań i ludzi, lecz nade wszystko w przedmiotach i mieszkaniach wyczuwał ów smutek, którego nie mógł zrozumieć nikt obcy. Węgrzy strzegli swoich skromnych i nieafiszujących się dobrobytem mieszkań, jakby zawsze musieli chronić się przed Tatarami, Turkami czy

¹ Erzsébetváros.

Niemcami. Żyli w ciszy i w ukryciu przed napastliwymi obcymi, wiecznie żądnymi ich domu, dóbr i języka; wszyscy prawdziwi Węgrzy żyli bardzo cicho, jakby celebrowali tajemnicze nabożeństwo, na półce z książkami leżały oprawione w czerwone płótno roczniki dawnych czasopism, gdzieś ostrożnie grano na fortepianie, marchew położona na sitku na tytoń z wolna nasyciała go wilgocią, i całą tutejszą egzystencję oplatała cisza jak wodorosty wody jeziora, wszyscy bali się zmian, jakby najrozsądniej było uchwycić życie i schować je pod kloszem, każdy dzwonek do drzwi był przyjmowany w mieszkaniu z niepokojem, jakby to był sygnał ostrzegawczy, a inkasent, który przyniósł rachunek za gaz, mógł być jednym ze spóźnionych siepaczy Dzyngis-chana, o śmierzącym oddechu i zakrwawionych zębach. Sindbad wszystko to wiedział, widział, słyszał i dlatego pisał, żeby opowiedzieć o tym smutku, o tym zduszonym oczekiwaniu, szlachetnym zamknięciu w sobie, żeby dać znać o tym ostrożnym i wytrwałym oporze, z jakim Węgier chciał ochronić w obcym i odrzucającym jego specyfikę, zawistnym świecie wszystko, co odziedziczył i uważał za swoje.

Pisał, bo widział domy na prowincji, w których Węgier czuł się bezpieczniej niż w mieszkaniach kamienic w dużych miastach, gdzie żył zawsze jakby na wygnaniu, wiecznie w Tomi. Albowiem Sindbad święcie wierzył w to, że prawdziwy dom Węgra jest tylko tam, gdzie można mieć własną piwniczkę, gdzie za pomocą wydrążonej tykwy ściąga się wino z beczki, a w kącie składuje chrzan i kartofle, gdzie Tyrolczyk w skórzanych spodniach przygotowuje na zi-

mę kapustę kiszoną, i w święto Trzech Króli wikariusz oznacza pokoje kredą, wypisując na framudze pierwsze litery imion Kacpra, Melchiora i Baltazara.

Budapeszt na próżno lśnił na brzegach Dunaju niczym pawilon w Yildiz, obwieszony podczas wschodnich uroczystości kryształowymi żyrandolami, świeży i młody, z ostentacyjną pompą, na styku Wschodu i Zachodu — w głębi serca Sindbad pozostał człowiekiem prowincji i w stolicy nieufnie spoglądał na tramwaje i autobusy, w zamyśleniu węszył przed piekarnią, z powątpiewaniem sączył wybrane wino w winiarni na rogu, podejrzliwie i długo wycierał serwetą widelec, nim dotknął nim dania, i nawet w kawiarni siedział tak, jakby peszteńscy planowali przeciw niemu jakiś podstęp, za żadne skarby świata nie oddałby do prania bielizny w obawie, że jego koszule czy kalessony mogą być zmieszane z podejrzanymi brudami miasta, mieszkał w Budapeszcie dwadzieścia, trzydzieści lat, a jeszcze ciągle abonował „Nyírség i Okolice” i „Gazetę Górnych Węgier”, jakby tylko na prowincji redaktorzy uczciwie i nieufnie badali chaotyczny materiał informacyjny napływający z niezrozumiałego świata i jakby ważniejszym od wszelkich wydarzeń międzynarodowych był anons ogłoszony wszem i wobec w ukazującej się w Kolosvárze „Opozycji”, że rzeźnik X. Y. nie przyjmuje odpowiedzialności za zakupy dokonywane przez jego niewierną żonę! Węgier kochał Budapeszt i był z niego dumny, ale żył tu w niepewności; Sindbad też na próżno spędził dziesięciolecia w tym pięknym, niespokojnym, prącym do przodu, mądrym mieście, na-

prawdę spokojny był tylko wtedy, gdy w którymś z prowincjonalnych zajazdów składał głowę na poduszce, która troszkę pachniała myszami. Pisał, bo znał wewnętrzną strukturę domostw na prowincji i na zawsze zapamiętał parterowy żółty dworek, który stał tak samotnie wśród topoli i młynów Nyírség, jakby został namalowany w holenderskim pejzażu przez posepnego, dawno zmarłego malarza, którego nazwisko zatarły wieki, ale na płótnie w kolorze dymu zachowały się wszystkie ciemne porywy, wątpliwości i rozpacz, jakie wypełniały mu serce.

Do tego domu tęsknił Sindbad jak większość Węgrów. I dlatego pisał, by z cudownych cegiełek słów odbudować go choć na chwilę.

Gdzie stał ten pogrążony w odmętach wspomnień dom? Może na brzegu rzeki Hernád, obok szerokiej drogi prowadzącej z miasta Rakoczego¹ przez błotniste okolice, malowane przez Szinyei-Mersego² pola czerwieniejące od maków, ogrody otoczone tujami i sosnami, tłuste brązowe ziemie, błyszczące wilgotno w wiosennych roztopach. Powietrze jest tam ostrzejsze, i wędrowiec, który zatrzyma się przed pomalowanym na ciemnozielono ogrodzeniem, czuje czysty, zimny wiew napływający z ośnieżonych gór wokół Kassy, przypominający w mroźny poranek zapach kobiety, trwającej w dziewiczej samotności i pełnej wyższości urazie z powodu zbyt pospiesznie uczynionego ślubu. Może tu stał dom, a wysypanych białym żwirem ścieżek

¹ Kassa, dziś: Koszyce.

² Pál Szinyei-Merse (1845–1920) — prekursor węgierskiego impresjonizmu.

w ogrodzie pilnowały pomalowane jaskrawymi farbami gliniane figurki krasnoludków, Czerwonego Kapturka i wilka, lisa i zajaczka, jakby przechadzał się tędy Artur, gawędziarz, i pozostawił po sobie zastygłe w materię gliny naiwne postaci nieprzemijających bajek. Sindbad znał wszystkie zakątki tego domu, wiedział, że na oszklonej werandzie obok drzwi wejściowych na wbitym w ścianę gwoździu wisi strzelba myśliwska pana domu, której od wielu lat nikt nie brał na ramię, ponieważ bezpowrotnie minęły już czasy, kiedy to pogrążony w samotności i wspomnieniach dżentelmen wędrował śladami Nimroda wśród mokrej po wiosennym deszczu lucerny; na stole talia kart do pasjansa, jakby mieszkańcy domu ciągle oczekiwali, że głuchy i zezowaty los wyjaśni im sens własnego życia, choć nawet wytrwałe wypytywanie „Wielkiego Napoleona” nie przynosiło odpowiedzi na bolesne, nigdy niewypowiedziane głośno pytania, co stało się z ich egzystencją, w którym miejscu coś się zepsuło, i jak ma na imię ten smutek, który zasnuł w domu wszystko jak delikatny srebrny pył, który pokrywa korony rosnących po obu stronach drogi karłowatych akacji. Sindbad znał dusze mieszkańców domu i pragnął odkryć nie tylko te tajemnice, które ich ze sobą wiązały, lecz także i te boleśniejsze i bardziej skomplikowane, które ich od siebie oddalały. Gość wchodzący do takich prowincjonalnych domów wyczuwał prędko, że w powietrzu wisi wspomnienie jakiejś trudnej do określenia urazy. W salonie przed brązowym piecem kaflowym stał osłaniający drzwiczki ekran, oblepiony złotopurpurowymi obrączka-

mi od cygar kubańskich, jakby pan domu większość życia spędzał na puszczeniu dymków w angielskim klubie. Z poręczy obciążniętych zielonym jedwabiem i wybitych srebrnymi ćwieczkami foteli zwieszały się barwne chusty indyjskie, jakby panie domu przechowywały w sercu słodkie i smutne wspomnienie jakiejś wschodniej przygody, miłosnej podróży po morzach południowych. Już od wczesnej wiosny domownicy zamykali zielone żaluzje w oknach pokoju gospodarza, które wychodziły na zaniedbany ogród rozciągający się wokół pomalowanego na żółć schönbruńską domu o grubych ścianach, strzegli w pokojach samotności i pachnącego tytoniem i skórą wilgotnego chłodu, w którym meble i sprzęty stały sztywne niczym osobliwe zwierzęta w spirytusowych butelkach prowincjonalnych muzeów. Mogło się wydawać, że w tych domach wszystko jest pamiątką, nawet najzwyczajsze przedmioty codziennego użytku; ale po czym była to pamiątka? Może zwyczajnie po życiu, które upłynęło w milczeniu i oczekiwaniu, bo nigdy nie zatrzymała się przed takim domem lekka bryczka, z której wysiadłby dobry przyjaciel czy wierna do śmierci towarzysza życia, i tylko safianowe kapcie gospodarza leżały smutnie przed kozetką obciążniętą chłodną ceratą niczym kapcie generała Klapki¹ w witrynie muzeum w Poprądfelka, na stole w pedantycznym porządku spoczywały obok siebie przycisk do papierów, osadzony na trzonku z sarniej nóżki

¹ György Klapka (1820–1892) — generał armii, jeden z głównodowodzących podczas walk o wolność.

nożyk do rozcinania listów, cynowy kałamarz odziedziczony po rodzie Thökölych, książki rzędem ustawione na etażerce, jakby strzegły żelaznych reguł dawnego prawa, które znane jest tylko domownikom; powieści miłosne można było znaleźć tylko w pokoikach pańienek, ponieważ gospodarz porzucił literaturę w czasach Gerebena Vasa¹, a dzieła Mikszátha przeczytał tylko dlatego, ponieważ słyszał, że ten wielki pisarz był również posłem do parlamentu i przyjacielem Kálmána Tiszy². Życie upływało tu w wilgotnych, chłodnych i ponurych pokojach, uprzejmie i wśród wiecznych przemilczeń, domownicy zwracali się do siebie w trzeciej osobie, nikt nie wchodził bez pukania do cudzego pokoju, jakby zachodziła obawa, że przeszkodzi gospodarzowi w nabijaniu pistoletu czy pisaniu listu, w którym wyjaśnienia swej małżonce przyczynę żalu i urazy, z powodu której od dwudziestu lat nie przestąpił progu jej sypialni. Sindbad widział te dumne, chłodne i smutne domy, i pisał, bo pragnął rozgryźć tajemnicę zamieszkujących je dumnych dusz.

Widział też szczęśliwsze domostwa, gdzie pies z przyjaznym poszczekiwaniem wybiegał na spotkanie gościa, w sypialni dwa łóżka stały obok siebie, przy nich szafki nocne z osobistymi przyborami, życie upływało tu pogodnie i według zasad grzeczności, bo szczęśliwe zrządzenie losu czy też mądry fortel pani domu ochraniał dusze domowników przed

¹ Gereben Vas (1823–1868) — zapomniany, niegdyś popularny powieściopisarz.

² Kálmán Tisza (1830–1902) — polityk, w latach 1875–1890 premier.

smutkiem i piętnem wyniosłej urazy. Pisał, bo pamiętał życie na prowincji, która miała zapach węgierskiego chleba: niemal dotykalny, ale uroczysty, budzący apetyt i nieprzemijający. „Wiele zależy od kobiet” — mruzczał czasami z ostrożnym uznaniem żeglarz. Rzadko spotykał kobiety, które odnalazły w życiu własne przeznaczenie i potrafiły zachować porządek i czystość nie tylko w szufladach komody, lecz również w duszach domowników. Człowiek wchodził do takiego domu i od progu czuł, że tu wszystko jest na swoim miejscu. Spizarnia była pełna, jej zawartość smaczna i wzmacniająca, podobnie jak dusze mieszkańców domu. Atmosfera spokoju i cierpliwości unosiła się w pokojach jak zapach kwiatów ogrodowych, ustawianych wiosną w zielonych pękatyh wazonach. Życie wymagało bowiem nie tylko mądrości i cnót, lecz także cierpliwości i zbożnych zamiarów, a także umiejętności rezygnacji, przyjmowanej z uśmiechem pełnym zakłopotania, bez czego nie ma w sercach harmonii, a ustawione w pokojach meble wydają się niezgrabne, najeżone i nieporządne, jakby brały udział w rodzinnych awanturach. W takich domach, gdzie porządek utrzymywała mądra kobieta i cierpliwy mężczyzna, gość nie marzył nawet zimą, bo bardziej od silvorium¹ i żaru bukowego drewna w mrużącym, rozpalonym piecu ogrzewało go miłe ciepło promieniujące ze spokojnej serdeczności, która słowem, gestem i spojrzeniem dla wszystkiego znajdowała najwłaściwsze miejsce. W takich domach ksią-

¹ Silvorium — palinka ze śliwek.

żek było na ogół niewiele, ale to nie martwiło Sindbada, bo do większości z nich odnosił się nieufnie i był zdania, że złe, kłamliwe i ckiwe książki szkoda bardziej, niż gdyby ludzie dobrej woli w ogóle nie czytali. „Zła literatura nauczyła kobiety kłamstwa, a mężczyzn wyniosłości i gonienia za ambicjami. Mądrzej by było, gdyby czytali tylko kalendarze” — mrucał żeglarz. Pisał o tych domach, stojących gdzieś na wyspie pokoju, pod dębami, niebo nad nimi wydaje się tak nieprawdopodobnie błękitne, że podróżny miałby ochotę wyciągnąć się pod jednym z ciemnozielonych platanów rosnących w ogrodzie i przez liście długo patrzeć na obłoki, słuchać brzęczenia os i cichego nucenia posługaczki wyrabiającej masło na ganku. „Kiedyś powinienem wrócić do domu” — myślał czasami żeglarz. I dlatego pisał; bo w rodzinne strony do tamtego szczęśliwego domu mógł wrócić już tylko w powozie marzeń, pragnień i tęsknoty.

Pisał, bo znał Węgrów i wszystko w nich lubił, zgłębił i zrozumiał. Znał ich wczesną młodość, kiedy każdy z nich przypomina po trosze Don Kiszota, najchętniej rzucałby się z lancą na wiatraki, mówi za szybko i wali głową w ścianę bez żadnej szczególnej przyczyny, bo nie radzi sobie z nerwami. Znał ich, gdy statecznieli i cała ich istota, twarze, ruchy zaczynały emanować godnością, jakby byli kapłanami składającymi ofiarę gdzieś na południu Francji. Lubiał wytworny, lecz jednocześnie skromny tryb życia starzejących się Węgrów, ten gest, kiedy z rezygnacją podnoszą ozdobioną sygnetem z małym kamykiem dłoń, na której widoczne są błękit-

ne żyły i plamy wątrobiane, i jak ktoś, kto już wszystko widział, tym nieznacznym gestem dają znak, że odrzucają jakąś chełpliwą i beczelną modę, pojawiającą się w chaosie codzienności. Znał ich spojżenia, mądre przymrużenie krótkowzrocznych oczu, kiedy spoza binokli patrzą na świat z cierpliwością i lekką wzdargą, jakby byli sędziami i musieli ogłosić wyrok w jakimś ziemskim procesie, który ciągnie się od wieków, a sterty akt i pliki pism dowodzą racji procesujących się stron, ale wszystko jest tak beznadziejne, jak beznadziejne i pełne sprzeczności są odwieczne i niepojęte procesy majątkowe węgierskich rodów. Znał ich pachnące tytoniem, wyświecone na łokciach, dwukrotnie prze-nicowane odświeżone ubrania, ich szeleszczące, wykrochmalone mankiety ze spinkami z karneolu, ukryte w kieszonce kamizelki złote zegarki z zębem jelenia na łańcuszku, ich zwyczaj, to, że godzinami potrafią przesiadywać w kącie którejś z niewietrzonych budańskich kawiarni z dymiącym papierosem w brązowej cygarnicze trzymanej w zaciśniętych zębach, czytają w porannej gazecie artykuł wstępny nieżyjącego już Zsigmonda Rátha¹ i z głową przekrzywioną na bok podziwiają co śmielsze i udane zwroty stylistyczne sławnego publicysty. Sindbad wszystko wiedział o Węgrach i cały dzień zżył się na nich, kłócił się z nimi, wyrzekał na ich ostrożność i strach przed życiem, na ich skrajne skłonności i powściągliwość; wyrzekał na wszystko, bo kochał ich.

¹ Zsigmond Ráth (1859–1938) — sędzia, publicysta.

Ale przede wszystkim pisał dlatego, że kochał swój kraj, złościł się na własny naród i chciał obudzić drzemiące w nim siły.

Sindbad pisał, ponieważ czuł, że w potrawach i trunkach, zwyczajach i poglądach, nastrojach, postawach i charakterach tego kraju kryją się wielkie moce. Pisał, bo żal mu było Węgrów, tego dziwnego, milczącego narodu, którego fatum polegało na tym, że miał większą wrażliwość, a charakter i gust delikatniejsze od wrażliwości, charakteru i gustu otaczających go narodów. Węgier potrafił być srogi, nieumiarkowany czy rozjuszony, ale nigdy nie bywał okrutny. Węgier potrafił marzyć; a na świecie już bardzo niewiele narodów potrafi marzyć. Węgier gotów był umrzeć dla emerytury, tak bardzo jej pragnął, ale nie potrafił popełnić nieuczciwości, by ją zdobyć. Węgier był samotny; i Sindbad kochał go, bo każdy Węgier był dla niego krewnym.

Pisał, ponieważ widział przed sobą węgierskie pory roku i serce wypełniała mu musująca radość i słodki, fermentujący smutek. Widział zimę, która nadciągała z Rosji do Ungváru jak okutany w kozuch, opity wódką rosyjski bojar z czerwonym nosem i w bobrowej czapie, który przed zajazdem w węgierskim miasteczku z trudem gramoli się spod opatulających mu nogi rysich futer i wyciąga z sań i bagaży wszystkie rekwizyty zimy, śnieg, szron, Boże Narodzenie i stołek Łucji¹. Przez całe życie zima

¹ Związany z węgierskimi wierzeniami ludowymi drewniany trójnogi stołeczek, który zaczyna się strugać w dzień świętej Łucji, a skończyć należy w Boże Narodzenie.

na Węgrzech była dla Sindbada pogodnym świętem. Śnieg niczym uzbrojony w łaskę, przemarznięty detektyw o zimnym, przebiegłym spojrzeniu zachowywał ślady stóp odchodzących kobiet, pokoje wypełniały się ciepłem i trzaskiem płonących w kominach bierwion bukowych, w kuchni pojawiały się nowe zapachy, na podwórzach zabijano świnię i przypalano ich sierść, restauratorzy co rano z zadowoleniem odczytywali w napisanej liliowym atramentem karcie dań „gościniec ze świniobicia” czy „kiełbasa cytrynowa”, jakby naród oczekiwał właśnie na wielkie święto, kobiety z zimnymi nosami wracały ze spiżarni, gdzie zdejmowały z haka wędzony boczek do grochu na gęsto, młode panny zmarzniętymi rączkami o czerwonych palcach ścisnęły z determinacją dłonie kawalerów w słabiej oświetlonych miejscach lodowiska urządzonego na placu Siennym, w budańskich kawalerskich mieszkankach przed żarzącymi się apoplektyczną czerwienią żelaznymi piecykami siedzieli zakochani i suszyli buciczki damy, ponieważ ich cienkie podszwy przemokły w topniejącym śniegu ulicy Szkolnej, renciści w czapkach z niedźwiedziego futra majestatycznie spacerowali po bulwarze Małgorzaty¹ w sypiącym śniegu, niczym specjalne ukraińskie oddziały bombardierów, których członkowie na emigracji uchodzą za porządnych obywateli. Dawne węgierskie zimy były pachnące, mieszały się w nich wonie kiszek kaszanych i wątrobianych, nowego wina, chrzanu i wód kolońskich unoszących się pod-

¹ Margit-rakpart.

czas balowych nocy, zapachy ciał, rozgrzanych i spoconych od tańca i emocji, pigw dojrzewających na półkach spiżarni, jałowcówki i pieczonej dziczyzny, jakby w domach i mieszkaniach wszyscy zawierali powszechny pokój na czas zimy: okienka świeciły żółtym światłem jak płonąca wiązka chrustu, nad której zarem odziany w kozuch staruszek, namalowany na żółtym asie talii kart węgierskich, ogrzewa zgrabiałe ręce. Gdzieś słychać było dzwonki u sań, kobiety gotowały buraki i czytały grube powieści, pod koniec których główny bohater wyjeżdża za granicę w niewiadomym celu. Zima była świętem rodziny i ufności, karnawałem serc i żołądków, w brytfannach smażyły się pączki i piekły prosięta, intensywny zapach tłuszczu wypełzał z kuchni i zawisał w korytarzach, przed balową nocą kobiety wciągały w tajemnicy nową niebieską wstążkę do gorsetu, o czym nie wiedział nawet mąż, kapela cygańska stroiła instrumenty w sali balowej budynku komitackiego i czekała na wysiadające z powozów i sanek, wyłaniające się z futer i chust panny w różowych i niebieskich sukniach, narzeczeni i tancerze chowali zapasowe kołnierzyki do tylnej kieszeni fraków, a prowincjonalny figaro zakręcał żelazkiem do włosów nieposłuszne kosmyki młodszego radcy w kaczy ogonek nad czołem. Zimą ludzie tańczyli, kochali się i jedli, pili czerwone wino, siedzieli przy piecu, rozwiązywali krzyżówki, milczeli, nasłuchiwali wiatru północnego huczącego w kominie z uporem basisty, i trwali w tym cichym, śnieżnym, miękkim i nieprzerwanym święcie, w którym dni Bożego Narodzenia odbijały od biało ozna-

czonych dni powszednich tak jaskrawo, jak w zaśnieżonym lesie miechunka zwana żydowską wiśnią. Sindbad opisywał dawne zimy, błękitny śnieg, srebrną poświatę księżyca, słyszał wycie wilków pod Máramaros i kiedy pisał, rozgrzewało mu się serce, jakby i on stał pod żyrandolem pełnym świec w sali balowej budynku komitackiego w Nógrád i spoglądał na łydki pańienek wspartych na ramieniu swych pierwszych tancerzy lub z oszronionym wąsem zasadzał się na wilki w lesie pod Bártfą wraz z żartującymi, pachnącymi łojem słowackimi naganiaczami, albo świeżo po świniobiciu w skupieniu badał zawartość „gościńca” w restauracji „Czerwony Rak” w Egerze, gdzie zimą nawet po szóstej wieczorem można było dostać gorącą krwawą kiskę. Dlatego Sindbad pisał o zimie. Bo tamte dawne, odświeżone zimy też zapadły się w czasie, a zamiast nich nastąpiła pora zimowa pełna kłopotów.

Pisał, bo widział wiosnę i lato, jak rozlewają się po węgierskim pejzażu potopem niosącym zieloną pianę, duszący zapach ich liliowej, akacyjowej pompy bierze w posiadanie smutne place Pesztu, rozpała serca niczym szaleniec, który rzucił czerwonego kura na dachy spokojnych domów, porusza drzemiące w kiskach, gruczołach i zmysłach choróbska i sekretne pragnienia, każe mocniej bić nawet steranym, wystukującym błędne sygnały Morse’a sercom, które wiele doświadczyły i wycierpiały, jak serce Sindbada, zapala lampiony na kasztanowcach rosnących wzdłuż bulwarów Dunaju i na zboczach Wzgórza Zamkowego, i wydaje się, jakby w wodzie, powietrzu i na ziemi rozpoczęła koncert jakaś

niewidoczna kapela cygańska, ze świata wylewa się muzyka wyciskająca łzy i budząca podniosłe uczucia, której tekstu nie potrafili zapisać najwspanialsii poeci, ale potrafi ją bez trudu z dźwięczną mocą wyćwierkać każdy najzwyklejszy kos czy sikorka. Pisał, bo badał i podpatrywał wiosnę z taką znajomością rzeczy, z jaką uczony obserwuje pramaterię życia, którą bez emocji umieszcza w probówce i rozkłada na czynniki pierwsze, by poznać prawdę. Pisał o młodej rzodkiewce i cebulce, tych wonnych specyjałach, które co śmielsze kobiety zuchwale spożywały w towarzystwie swych kawalerów, wiedząc, że ich aromat przynależy do święta wiosny w nie mniejszym stopniu niż zapach narcyzów czy pierwiosnków. Pisał o jagnięcym steku z czosnkiem, który doświadczona gospodynie podają po raz pierwszy po Wielkanocy, ponieważ jagnięcina jest smaczna tylko wiosną, kiedy kruchością przypomina kołacz. Pisał o wiosennych pejzażach Nyírség, nad którymi unoszą się wilgotne, ciepłe opary, i pośród tych odświeżonych dekoracji wędrowiec może się przechadzać w skupieniu, jakby nie czytał w życiu żadnych książek poza powieściami pana Turgeniewa. Pisał o materialnych i cielesnych ceremoniach wiosny, o skrzywionych minach starszych panów i młodych dam, popijających gorzko-kwaśne wody lecznicze budańskich gorących źródeł i polewających nimi swe wewnętrzne organy, ale osładzających sobie te gorzkie chwile tak płomiennymi spojrzeniami, jakby siła wiosny potrafiła wykurować nie tylko leniwe kiszki, zwiędłe gruczoły, otłuszczone i spuchnięte wątroby, wytrawione dy-

mem papierosowym i nieodczuwające smaków żółtki, nerwowe nerki i gniewne woreczki żółciowe, lecz również rozczarowane serca. Pisał o Tabanie, tej starej, rozpadającej się, pełnej pluskiew i wołającej o kilof dzielnicy, której przesadną i fałszywą romantykę żeglarz miał w pogardzie, ale nikt nie wiedział lepiej od niego, co czują nieprzytomnie zakochani, kiedy przechadzają się po wąskich uliczkach, a młodzieniec, powołując się na przeszłość dzielnicy, tak mocno przyciska się do biodra panny i opowiada takie wymysły, że dzwon kościoła serbskiego w przerażeniu zaczyna wydzwaniać, jakby wysyłał w świat sygnały o pomoc. Pisał o wiosennych winach, potrawach, lekarstwach i ziołach, które w izdebce wypełnionej suszonymi roślinami i leśnymi korzonkami zielarka ze Starej Budy sprzedaje pokładającym w niej zaufanie chorym, pisał o życiu, które wiosną odzywa się jak upojone jasnym świtem ptaki w gałęziach drzew kasztanowych okalających dzielnicę Krwawe Pole¹; cysterny umajone kwiatami i gałęziami świerczyny rozwożą po mieście świeże piwo, kobiety w podnieceniu i z desperacją przeszukują śródmiejskie magazyny mód w poszukiwaniu nowych szmatek, mężczyźni szczególnie starannie wycinają co rano włoski w dziurkach nosa, jakby ten zabieg zwiększał cokolwiek ich szanse u płci pięknej, na peszteńskich bulwarach tłum kłębi się jak na perskim rynku, z otwartych okien kawiarni dobiega amerykańska muzyka, a kobiety, dla których zabrakło miejsca na scenie życia

¹ Vérmező.

czy teatru, wyśpiewują murzyńskie kołysanki nudzącym się przy małej czarnej stałym gościom, wszyscy biegają za groszem, bo potrzeba nowej sukni, butów, rękawiczek z irchy, potrzeba pieniędzy na kolację, ponieważ wieczorami w ogródkach kawiarni zapalają się kolorowe lampki, i żebracze, łakome i spragnione miasto oddaje się celebrowaniu wiosenno-wieczornego ceremoniału, pożera młodą gęsinę, słania się na parkiecie pod taniutki i słodkie melodie modnych szlagierów, opite kruszonem wraca po północy pod kwitnącymi drzewami brzoskwińowymi przez Górę Gellerta, jakby nazajutrz, zanim rozpocznie pracę w urzędzie, nie musiało o ósmej rano z frakiem czy srebrnym zegarkiem po dziadku ustawiać się w kolejce przed zakratowanym okienkiem kasy w dobroczynnej instytucji lombardu przy ulicy Lónyaiego, jakby nie trzeba było za wszystko odpokutować na drodze, która według Francuzów prowadzi na Górę Litości. Pisał, bo znał ukryte troski tej szmacianej pompy i z zamkniętymi oczyma potrafił wypowiedzieć słowa, które wiosna, ta zielonooka stręczycielka, szepce w ucho nieszczęśliwym i niezamożnym młodym ludziom w mieście.

Pisał, bo kochał węgierskie lato jak nic innego na świecie.

Sindbad tylko raz widział morze, poza tym nigdy nie był za granicą. Nad morze zabrał go ojciec, Sindbad był wówczas małym chłopcem i na zawsze zachował wspomnienie niebieskozielonego bezkresu, zapamiętał chwilę, kiedy na końcu mola we Fiume ujrzał święty i odwieczny widok, niemy pejzaż morza. Było to węgierskie morze, widział je wtedy po

raz pierwszy i ostatni w życiu, inne wody nigdy go nie interesowały. O obcych krajach czytał tylko w ilustrowanych magazynach, bo był zdania, że dżentelmen nie powinien włączyć się po świecie, gdzie podają podejrzone wina i potrawy przyrządzane z niewiadomych produktów, a kobiety kłamią w niezrozumiałym języku. Raz nawet poważnie zastanawiał się, czy nie pojechać do Krakowa, ale podczas pakowania ogarnęły go wątpliwości, wzruszył ramionami i w końcu wysiadł w Pozsony, gdzie miał znajomego kelnera, zorientowanego w koniach wystawianych podczas gonitw wiedeńskich. Świat nie pociągał Sindbada i Wiedeń był najdalszym punktem, w którym czuł się jeszcze swojsko. O Paryżu czy Londynie wolał poczytać w „Światowym Magazynie Tolnaiego”. Poza granicami kraju wszystko było jakoś podejrzone.

Sindbad czuł się dobrze tylko na Węgrzech. I dlatego latem podróżował tylko po kraju, podobnie jak wędrowni artyści i ptaki.

Pisał, bo chciał przekazać, co czuje podróżny, kiedy letnim rankiem budzi się wśród sosen w Iglófüred, nasłuchuje głosów żywicznego poranka i jego serce wypełnia się spokojem, podobnie jak przenikające przez żaluzje światło słoneczne wypełnia pachnącą lasem jasnością pomalowany na biało pokój w pensjonacie, pod którego oknem przechodzą kobiety, śmieją się i mówią coś po słowacku, w łubiankach i wiklinowych koszykach niosą poziomki, maliny, borówki i rydze, a lato z taką siłą promieniuje z tych głosów i zjawisk, że człowiek czuje się jak w niebie, ponieważ wreszcie znalazł dla sie-

bie miejsce odpoczynku na tym świecie. Pisał, bo chciał zostawić ślad po dniach żniw, kiedy w święto Piotra i Pawła pola jaśnieją złotym światłem, maki z wściekłością szaleńców czerwienią się na pięknej, złotej twarzy pól, kobiety w dumnej postawie postępują za pochylonymi mężczyznami jak Rut i Noemi w biblijnej opowieści, w glinianym dzbanie chłodzi się woda, obok chleb i słonina zawinięte w białą chustę, i pod jasnoniebieskim kloszem nieba naraz widać symbole dostatku i biedy, egipskiej niewolniczej pracy i bogactwa odwiecznej gospodarki. Pisał, bo chciał opowiedzieć, jaki smak ma latem żytmi chleb, zielona papryka, pieczona słonina, którą podróżny spożywa w cieniu wzgórz pod Sáros, w pobliżu szemrze leśny potok, wyprężono konie, które rżąc, pasą się na jego brzegu, goście piją jasnozielone wino z małych, okrągłych szklaneczek, na środku ocienionej zielono-czarnym listowiem polany ktoś recytuje półgłosem strofy z *Oniegina*, szczególnie ten wers, w którym autor wzdycha „Jak smutno witam przyjście twoje, poro miłości, dniu wiosenny!” czy ten inny, w którym poeta o murzyńskiej twarzy i jego węgierski tłumacz, Károly Bérczy, po rosyjsku i po węgiersku ujęli podstawowe doświadczenie samotnego, niespokojnego i szalonego losu twórcy: „Minęła miłość, przyszła po niej Muza”¹... Sindbad lubił te wersy. Pisał, ponieważ wyciągnięty na starej, wytartej kozetce wypchanej trawą morską w pensjonacie w Iglófüred lubił latem

¹ Fragmenty *Eugeniusza Oniegina* w przekładzie Adama Ważyka.

czytać książki Jókaiego, i dlatego zawsze brał ze sobą w te podróże kilka zeszytów jego powieści z serii Węgierskiej Biblioteki Dzieł Tanich, szczególnie *Złotego człowieka* i *Synów człowieka o kamiennym sercu*. Był zdania, że poza Szekspirem, Dickensem i Turgieniewem pieniądze warto wydawać tylko na dzieła Jókaiego, więc pisał, jakby miał coś pilnego do zanotowania, trzeba było przecież nazwać po imieniu i ukazać wszystkie te postaci i zjawiska węgierskiego lata, których nie było w jego powieściach. Sindbad myślał o książkach Jókaiego jak o czymś w rodzaju czarodziejskiego leksykonu, w którym zawarte jest wszystko, co stanowi o sensie węgierskiego życia. Pisał, bo chciał utrwalić chwilę południa na Wielkiej Nizinie, gdy temperatura sięga czterdziestu stopni, gulasz barani czerwieni się w kociołku pasterzy z Hortobágy, jakby potomkowie Arpada właśnie powtarzali przymierze krwi, zwierzęta z azjatycką i odwieczną obojętnością znoszą cięcia gzów, nad niziną unosi się fatamorgana, jakby Węgrzy wrócili właśnie na Wschód, a cisza jest tak wielka, zemdlona i upalna, jakby kraj zrozumiał swoje przeznaczenie. Pisał, bo w letnie wieczory na Wielkiej Nizinie dzieją się jakieś czary znane tylko tym, których choć raz w życiu zmierzch zastał nad brzegiem Cisy, kiedy jasna woda i niebieskie niebo stapiają się w objęciach ciemności, a noc, ponura kochanka w czarnej opończy, nieubłagana i obojętna, przygarnia do serca wszelkie oddychające i zaczajone w oczekiwaniu życie. Pisał, bo chciał spisać nuty muzyki świerszczy, które odzywają się w dzień świętego Jerzego, i śpiew żab w Hévíz, któ-

re zaczynają koncert w dniu balu Anny, i tak wytrwale podtrzymują swój altowiolinowy akompaniament do czardasza wywijanego w świetle lampionów przez spoconych, wykrzykujących i oszołomionych tancerzy, jak wystające przy ogrodzeniu Cyganiatka, które umieją już zagrać to i owo na instrumencie ojca, ale jeszcze nie wolno im usiąść w kapeli. Pisał, bo znał Cyganów, którzy, podobnie jak świerszcze, też w jakiś sposób przynależeli do węgierskiego lata, znał wyraz ich oczu i język, wiedział, że są szczęśliwi, gdy się ich poczęstuje cygarem, bo wtedy czują się przez chwilę panami, wiedział, czemu basista popada w trans przy ostatnich taktach czardasza *supé* i tak silnie piłuje smyczkiem po strunach brzuchatego instrumentu, jakby brał pomstę na tłustej i zazdrosnej żonie cygańskiego wajdy. Pisał, bo chciał zachować smak odstawionego w dzbanku zsiadłego mleka, beztroski i pogodny nastrój krzątający sierpniowych popołudni, kiedy kobiety z twarzami zaczerwienionymi od słońca stoją przy letnich kuchniach i pochylają się spocone nad słodko pachnącymi rondlami, w których mieszają się świeże, słodkie zapachy malin, moreli i wiśni, pan domu nabija sobie fajkę na ganku, półuchem nasłuchuje przerywanej wybuchami śmiechu rozmowy kobiet i jednocześnie jak najpoważniej czyta „Gazetę Myśliwych” Károlya Lovika czy „Biuletyn Akademii Nauk” — pisał, bo w zapachach lata, w załamaniu światła, upale i pachnącej grzybami i paprocią świeżości po deszczu, we wszystkim tym tak tajemniczo i skrycie promieniało odbite światło szczęścia, jak to zwykle bywa z tym zjawiskiem:

wydaje się, że ono natychmiast, już w samej chwili pojawienia się jest tylko wspomnieniem czegoś.

I musiał pozostawić ślad po deszczu, który po świętym Stefanie zaczyna bębnić po dachach, a wtedy domownicy pogrążeni we śnie tej późnoletniej nocy budzą się nagle, kobiety wyciągają w ciemności rękę w stronę sąsiedniego łóżka, szukając znajomego uścisku męskiej dłoni, mężczyźni odkastują przez sen, jakby już kosztowali moszczu, świnię zaczynają niespokojnie chrząkać, słuchając ulewy, jakby czuły już nóż i płomień wiązki słomy, panny budzą się na swoich łóżkach z jękiem, somnabulicznym krokiem podchodzą do okna i niepewnymi jeszcze, nierozbudzonymi ruchami rąk zaciągają żaluzje, bo nadszedł koniec święta, deszcz bębni po dachach, z rynny dochodzi szmer tysięcy kamyczków, dzikie gęsi niespokojnie spoglądają na horyzont, lis, machając futrzanym ogonem, skrada się pod ogródkami w stronę pachnącego kwaśnym dymem lasu, chłopki zarzucają spódnice na głowę i plaszcząc bosymi stopami w błotnistej ziemi, biegną do domu brzegiem zaoranych pól, pies stoi pod rynną i z głową przekrzywioną na bok obszczekuje pierwszy jesienny deszcz, jakby do domu zbliżał się nieprzyjaciel, opite komary osiadają w pajęczynie na okratowanych zagłębieniach okien świeżo wybielonej spizarni i nad krajobrazem, domami, ludźmi i zwierzętami jakaś ręka rozwiesza niewidoczny welon, który po dzikich radościach, opalonych ciastach i kanibalistycznych tańcach lata przynosi душom mądrą zapowiedź przemijania.

Jesienią Sindbad czekał na pierwszy deszcz i do-

piero po tym kierował swój powóz ku poważniejszym celom podróży, szczególnie gdy udało mu się sprzedać wydawcom wszystko, co sobie wyobraził i napisał latem w pensjonacie w Iglófüred, w domku wzniesionym w winnicy nad Balatonem czy pod dębami na Wyspie Małgorzaty; albowiem Sindbad, jak każdy dobry gospodarz — co miał we krwi po przodkach, którzy zajmowali się ziemią i arendarzami — lubił sprzedawać produkt na pniu. W takich razach zwinięte banknoty chował do lewej kieszeni surduta i ruszał do Pozsony, do Wiednia lub na wieczne Górne Węgry.

Żeglarz szczególnie lubił czar jesiennych podróży. Pod koniec września pejzaż był dojrzały jak czterdziestoletnia, słomianowłosa niewiasta, która ma trafikę w dzielnicy Krystyny¹, choć przedtem była artystką operetkową na prowincji i entuzjastycznie oklaskiwana grała od Karpat po Pécs w *Damie od Maxima* czy *Poruczniku hajduków*. To było duszne piękno, uroczyste, spowite w babie lato, jak gra fortepianowa kobiety, którą kochanek zostawił w salonie opuszczonego już przez gości kąpieliska. Sindbad zaszywał się w kącie przedziału kolejowego, naciągał rękawiczki — w tym czasie nosił już tylko czarne ubrania, nawet w podróży, jakby był osobą urzędową, która w pstrokatym i niefrasobliwym świecie w każdej sytuacji reprezentuje naród — i z zadowoleniem wyglądał przez okno. Pod dotknięciem jesieni węgierski krajobraz tak czarodziejsko się zmieniał, jakby na przesuwającej się powoli ob-

¹ Krisztinaváros.

rotowej scenie świata specjalnie dla niej wykonano osobne dekoracje. W powietrzu wisiał zapach brzoskwiń i moszczu, sнуło się babie lato, w ogrodach rzeczywiście zakwitały jesienne kwiaty, jakby na wspomnienie utrwalonej w wierszu nieśmiertelnej miłości świat jeszcze raz okrywał się pyszną, barwną peleryną. Pisał, bo chciał utrwalić, o czym myśli w jesienne popołudnia podróżny na cmentarzu w Rozsnyó, gdzie na grobach kwitnie tak wiele kwiatów, jakby w tym kwiecistym języku zmarli pragnęli jeszcze powiedzieć coś, czego nie śmieli lub nie umieli wypowiedzieć przed wiekiem. Pisał, bo chciał zachować pamięć uczucia, które wypełnia serce wędrowca, kiedy wygląda z okna pokoju Franciszki w zamku Krasznahorka i zapuszcza wzrok w jasnozielony krajobraz wokół Gömör, chodzi po pokojach, w których niegdyś gościem był Franciszek Rakoczy, przystaje w jadalni, gdzie wokół stołu stoją krzesła różnych rozmiarów, siada na jednym z nich i wydaje się, że słudzy zaraz wniosą na srebrnych tacach głowę dzika i pieczone udźce wołowe, jakby czas się zatrzymał w tym szczególnym miejscu, gdzie przeszłość i mury dumnie strzegły wspomnienia dzikiej i nieśmiertelnej miłości. (Niektóre krzesła przy stole były wyższe, niektóre zaś niższe, ponieważ w rodzie Andrássyich dbano o to, by żaden z butnych gości nie przewyższał głową sąsiada). Jesienią żeglarz ruszał w drogę, głęboko wciągał w nozdrza zapach okolicy, zatrzymywał się w hotelu „Korona” w Miskolcu, przykazywał staremu kelnerowi o nazwisku Böcögő, by do kolacji schłodził butelkę lekkiego cienkusa o nazwie „Miłość w Geszt” i zawie-

siwszy laseczkę na przedramieniu, majestatycznie wyruszał spacerkiem na górę Avas, jakby wśród tamtejszych piwniczek miał o północy spotkanie z widmem z cmentarza luterańskiego i mógł od niego usłyszeć co poufniejsze plotki i skandaliki literackie tego pracowitego miasta.

Jesienią żeglarz czuł w żyłach przyływ nomadzkiej krwi.

Bo w głębi serca Sindbad był nomadą, na próżno w ciągu swego niespokojnego życia wynajmował mieszkanie w Starej Budzie i w innych miejscach. Naprawdę szczęśliwy był tylko na Wyspie, gdzie nie sposób było nazwać mieszkaniem ani pokoju, ani stanu, w którym przepędził szesnaście lat, słuchał dochodzącego zza okna krzyku dzikich gęsi i innych ptasich głosów, obserwował przemiany kwiatów i drzew, zwracał uwagę, czy trawa jest w porę koszona i całymi godzinami rozmawiał z ludźmi Wyspy, na przykład z ogrodnikiem, który podlewał szaleńczo pachnące krzewy różane przed białym gankiem projektowanego przez Ybla¹ dworku obrośniętego dzikim winem oraz wokół niewielkiej rzeźby przedstawiającej królową Elżbietę; lubił też rozmawiać z wujaszkiem Kernacsem, dyżurującym na Wyspie starym sierżantem policji i jego towarzyszami, którzy cumowali pozostawione na wodzie łódki i przeszukiwali kieszenie samobójców w mule nadbrzeża, ocienionego rosnącymi na brzegu wierz-

¹ Miklos Ybl (1814–1891) — jeden z najznakomitszych architektów epoki, według jego projektu powstał m.in. gmach buda-peszteńskiej opery, a także Bazylika Świętego Stefana.

bami. Żeglarz lubił prostych ludzi, bo w sercu był jednym z nich i zachował o nich dobre wspomnienia, lubił drzewa i kwiaty, lubił też podróże, kiedy z głębi duszy odzywał się w nim drugi Sindbad, który najchętniej mieszkałby w namiocie gdzieś na wapiennych stokach Nyírség, spędzałby dni, siedząc przed nim i paląc fajkę, a zrabowane przezeń podczas nomadzkich wypraw niewiasty pracowałyby i przygotowywałyby się do wieczoru — wokół namiotu kręciłoby się ich z pół tuzina, Żydówka, Szwabka, Słowaczka, Gruzinka, pachnąca cynamonem Ormianka i naturalnie faworyta, a mogłaby być nią tylko Węgierka z Kraju Zadunajskiego, której przodkowie uciekli przed Tatarami w okolice Farád albo Csorny, małomówna, brązowooka, dumna i uważna, i śledząca każde słowo Sindbada z takim oddaniem, jakby na jeden jego znak gotowa była rzucić się do jeziora Fertő. Tak, żeglarz był w głębi serca nomadą, najchętniej zawsze dosiadałby konia osiodłanego na sposób pasterski i z pistoletem pod derką objeżdżałby niebezpieczne tereny łowieckie życia.

Pisał, bo chciał pozostawić wspomnienie po węgierskiej jesieni, kiedy okolica zaczyna dymić i w Węgrze ożywa się ta nomadzka krew, która słucha krzyku przelatujących dzikich gęsi i zaczyna się zbierać do podróży. Sindbad podróżował tak przez całe dziesięciolecia, zatrzymując się w niepozornych, pachnących gulaszem zajazdach prowincjonalnych czy domkach w winnicy, jakby jechał w pilnej sprawie, jakby bez niego nie mogło się rozpocząć winobranie w węgierskiej ojczyźnie.

Sindbad tęsknił za winobranem, kiedy o zmierz-

chu wśród ściętych szronem żółtych, czerwonych i niebieskich krzewów można długo wysiadywać pod orzechem i słuchając śpiewu depcących winogrona dziewcząt, czytać historyczną książkę i czekać na kolację. Ale najbardziej pragnął, by po orzechem czekał na niego wyciosany w kamieniu stół i ławka.

Kiedyś widział taki stary kamienny stół i ławkę pod drzewem w Tolcsva i nie mógł zapomnieć chwili, której wspomnienie przyrosło do tamtego miejsca jak huba do drzewa. Tylko śpiew i dym unosiły się pod jesienne niebo, poza tym okolica i wieczór były tak ciche, jak młoda kobieta, która po pierwszej w życiu miłosnej godzinie szczęśliwa zasypia na ramieniu kochanka. Winogrona były krwistoczerwone i ciemnoniebieskie, a dziewczęta cicho nucily. Sindbad oparł się na kamiennym stole, kapelusz rzucił na ściętą szronem trawę, czytał grubą książkę o Mohaczu, która miała tak uczony i poważny zapach, jak stary i mądry zakonnik. Tę chwilę żeglarz wspominał wielokrotnie, ilekroć jesienią wyruszał w drogę, kiedy na niebie ponad wieżą wodną na Wyspie żurawie zaciągały już długi klucz w kształcie litery V. Jaka była istota i treść tej chwili, której żeglarz tak uparcie nie potrafił zapomnieć? Zapach winogron, gorzkawy dym płonącego chruštu, dobry smak rumieniącej się słoniny czy wędzonej szynki, piwniczka, której stuletnie żelazne drzwi otworzył gospodarz winnicy, a wtedy spod owalnego sklepienia buchnęły stęchłe i wilgotne opary pijaństwa, którym nie mógłby się oprzeć nawet człowiek prowadzący najzupełniej trzeźwy tryb życia, szorstkość dotyku i intensywny, niemal cielesny za-

pach wiejskiego chleba, podkradanie się pierwszych cieni wieczoru, zadowolona zezowata twarz księżycy na niebie, ławka, która pod wieczór oddawała zmagazynowane w ciągu dnia ciepło słoneczne, wszystko to z wielką siłą przyciągało Sindbada, i dlatego kiedy minął dzień świętego Stefana, a Aleję Okrężną zaczynał obmywać deszcz, żeglarz kręcił się niespokojnie po peszteńskich kawiarniach, bo przypominało mu się tamto winobranie i nie mógł już wytrzymać w literackim świątku. W takich razach wyruszał w drogę, bo był nomadą i chciał w swojej ojczyźnie wszystko zobaczyć, wszystkiego spróbować, powąchać, nachylał się nad studniami, w głębi których leżały młode panny ze złamanym sercem i posiadacze ziemscy wybierający samobójstwo, pochylał się nad kobiecymi oczyma, które otwierały się głębiej i szerzej niż studnia samobójców, pragnął wdychać pachnące sośniną powietrze w Tatrach i czyste, ostre, przesycone wonią jałowca powietrze w górach Bükk, chciał wiedzieć o wszystkim, co boli ludzi, i o wszystkim trochę musiał zapomnieć, żeby móc o tym pisać, kiedy usłyszał ów głos i zaczynała mu się rysować wizja niczym fatamorgana — wizja, w której mieściły się całe Węgry.

Dlatego Sindbad pisał i pisał tylko wtedy, kiedy słyszał ten głos, głęboki jak dźwięk altówki. Pisał z głową przechyloną na bok, jakby podczas pisania bardzo się czemuś dziwił. Pisał powoli, z trudem, postępując, czasami podnosił ręce i przeciągał się, splatając dłonie ponad głową, jakby w błagalnym geście albo jakby do walki z czymś lub z kimś.

W takich chwilach Sindbad walczył z demonem,

który towarzyszył Węgrom z Azji, był czarny i z szyderczym uśmieszkiem kulił się za jeźdźcami, chwytając się derki czy siodła — z demonem, który nie ma imienia i którego słów nie rozumie nikt poza Węgry. Dlatego pisał Sindbad. Ale o tej tajemnicy w kraju wiedziało tylko niewielu.

A potem postawił kropkę, wychylił ostatni kieliszek śliwowicy, kiwnął na Ede, literackiego kelnera — który, stojąc za jedną z kolumn, obserwował starania żeglarza z nabożeństwem, jakby patrzył na rodzącą położnicę — żeby wypisał rachunek, obudził Artura, by zaniósł rękopis Várdalemu do redakcji, i przyniósł do restauracji przekaz, powolnymi krokami jeszcze raz przespacerował się pomiędzy złoconą i marmurową pompą kawiarnianych dekoracji, które zachowały pamięć całej dziwaczności literatury węgierskiej jak stary bursztyn, który uwięził dziwnego komara, i wszedł do powozu, którego taksomierz wskazywał już trzydzieści pięć pengő.

— Zawieź mnie — powiedział dorożkarzowi — w takie miejsce, w którym można dostać płucka na kwaśno.

— Do „Londynu” — zawołał na to fiakier.

— Może być — odparł Sindbad i usadowił się wygodniej. — Ale jedź powoli, bo jeszcze raz chcę się przyjrzeć Pesztowi.

— Wiemożny pan wybiera się w podróż? — spytał głosem pełnym szacunku dorożkarz i machnął lejcami.

— Tak, chyba wyjadę — odparł zmęczony Sindbad. I spod w półprzymkniętych powiek uważnie oglądał pokryte pyłem drzewa Alei Okrężnej.

(Tak pisał Sindbad, żeglarz. O czym pisał? O wszystkim, o czym opowiedzieliśmy, a także o tym, czego nie można opowiedzieć słowami. Ale kiedy drukarz zaniósł jeszcze wilgotną szczotkę świętecznego artykułu do redakcji „Węgierskiej Wolności”, spytał przestraszonym tonem:

— Wydrukujemy to, panie redaktorze? No bo tu na czterech kolumnach nie dzieje się nic poza tym, że ten człowiek zjada rybę!...)

Peszt, to smutne i kupieckie miasto, jaśniało tego majowego dnia jak Bagdad w święto.

Sindbad powoli budził się z sennego odurzenia, w które zapadał zawsze, kiedy pisał. Ale w Śródmieściu biły dzwony, na rogu ulicy Królewskiej dziewczęta od modystki kupowały kolorowe włoskie lody w waflowych rożkach, w brzuchu miasta burczało, i żeglarz powoli wracał do siebie z lekkiego półomdlenia; teraz, gdy już napisał swoje i przysłużył się narodowi, mógł się wreszcie zająć sprawą obiadu. Ogarnęły go wątpliwości, czy słusznie postąpił, przyjmując od razu radę dorożkarza, żeby jechać do „Londynu”.

— A nie wiesz — spytał na rogu Oktagonu, kiedy policjant kierujący ruchem zatrzymał na chwilę dorożkę — czy Frigyes Glück¹ jest w Peszcie? Bo wtedy warto by pójść na sztukę mięsa do „Pannonii”!

¹ Frigyes Glück (1858–1931) — pionier węgierskiego hotelarstwa, założyciel pierwszej szkoły kelnerów.

— Pan Glück jest na Szwabskiej Górze — odparł z gotowością fiakier. — Jeden z kolegów zawiózł go tam wczoraj. Zawsze tam jedzie w maju, bo wtedy zakwitają bzy.

— Rzeczywiście — powiedział Sindbad stropiony jak ktoś, kto nie pomyślał o najważniejszym. — A jak myślisz, czy w „Gundelu” mogą mieć dziś szpikową kość?

— Na to już za późno, panie Sindbadzie — pokręcił głową dorożkarz. — Już druga minęła. W „Gundelu” o tej porze jest już tylko pan Elek Petrovics¹ bo on późno jada obiad, i już dawno podali ostatnią kość szpikową.

Ale Sindbad nie poddawał się łatwo:

— Gdyby Tarján wiedział, że będę w Budapeszcie, na pewno odłożyłby dla mnie porcję mięsa z kością. Może lepiej będzie, jeśli pojedziemy przez Most Małgorzaty?

— W „Londynie” o wpół do drugiej odszpunto-
wują nową beczkę — zauważył z uporem dorożkarz i dumnie wyprostował się na koźle jak żandarm wiozący do Szegedu zakutego w kajdanki rozbójnika Regulę. — Ja dobrze znam pana Tarjana, jeszcze z czasów, kiedy jeździliśmy za Elzą Magnatką i musiałem zdrowo poganiać, żeby zdążyć z reportażem dla „Wieczoru”. Ale powtarzam, w „Londynie” jest w tej chwili najświeższe piwo. Pan Sindbad już od dawna mieszka w Starej Budzie — dodał nieco protekcyjnym, pobłażliwym tonem fiakier.

— To fakt — przyznał Sindbad i westchnął na

¹ Elek Petrovics (1873–1945) — historyk sztuki.

znak zgody. — Powoli zapominam stołecznych zwyczajów.

I pogodził się z tym, że dorożkarz wiezie go przed bramę hotelu „Londyn”. Na ulicy ustawiono już ogródek otoczony żelaznymi kratkami i oleandrami, gdzie przy nakrytych białym obrusem stolikach siedzieli w majowym słońcu ludzie o twarzach tak poważnych, jakby wszyscy byli członkami stowarzyszenia „Przyjaciół Dworca Zachodniego”, a więc dworca, który stracił na znaczeniu z powodu okrojenia ojczyzny, a wraz z nią — sieci kolejowej. Dorożka zatrzymała się przed bramą hotelu i Sindbad z zadowoleniem obejrzał wejście do dawnego budynku. Przez chwilę rzeczywiście poczuł się podróżnym, który przyjechał z prowincji, dawno nie był w stolicy, przed chwilą wysiadł z wagonu kolejowego na pobliskim dworcu pokrytym dachem z przydymionego szkła, niezorientowany wszedł do dorożki i kazał się zawieźć do najbliższego hotelu.

Ale w „Londynie” dobrze Sindbada znano. Dlatego też kiedy szynkarz spostrzegł przez szklane drzwi dorożkę i jej pasażera, bez pytania podstawił pod beczkę kufel z uchem i wypełnił go czystym, złotym piwem.

Sindbad z kilku powodów odwiedzał „Londyn”. Gramoląc się z dorożki i nakazując dorożkarzowi, by najpierw napił konie, a potem sam zjadł obiad na koszt Sindbada, w duchu kolejno przypomniał sobie argumenty, które skłaniały go do częstego odwiedzania tego dość podstarzałego hotelu i restauracji, i z radością skonstatował, że dorożkarz, wiedziony niezawodnym węchem jak większość pesz-

teńskich fiaków, słusznie nie dał się przekonać Sindbadowi i nie zawiózł go do żadnej z wielkich, modnych restauracji, tylko tutaj, gdzie dusza, serce i żołądek żeglarza mogły otrzymać wszystko, czego tego dnia pragnął.

Bo w starym „Londynie” w szczęśliwej i celowej harmonii rzeczywiście znaleźć można było wszystko, czego poszukiwał w podobnym lokalu dżentelmen, który pogardzał nowymi modami, za to lubił męski tryb życia i męskie rozrywki. Naturalnie nie obskakiwali tu gościa zwinni *grooms* w okrągłych czapkach, którzy w nowoczesnych dużych hotelach obsiadają stanowisko portiera jak poubierane w czerwone szarawary małpki na katarynce wędrownego Włocha. Nie krążyli też w kółko Murzyni w błękitnych burnusach i czerwonych fezach, z kulistymi maszynkami do kawy, którzy z czasem mówili po węgiersku nie gorzej od Jánośa Aranya, ale błyszczącymi daktylowymi oczyma spoglądali na gości z taką pogardą, jakby wiecznie żałowali, że niegdyś z powodu nieporozumienia opuścili Afrykę. Nie spacerował też pod sklepieniem bramy hotelowej szwajcar w białych pończochach i spodniach do kolan, bo w „Londynie” wiadano, że Sindbad i jemu podobni goście bardzo by się obrazili, gdyby próbowano ich przyjmować z taką małpią paradą. Nie gięli się w pokłonach managerowie w surdutach, znający różne języki obce, bo w „Londynie” takowi w ogóle nie byli potrzebni, większość gości mówiła tylko po węgiersku. Za to było tu co innego, co rekompensowało gościom brak modnych rekwizytów i zmian.

Przede wszystkim zapach.

Zanim Sindbad wszedł do hallu, z którego prowadziły schody do pokoiów na piętrze, przystanął w bramie, pokręcił głową, obejrzał wszystko i zaczął węszyć. Zapach przyjął Sindbada jak kogoś znajomego, podobnie jak brudny, wyliniały, stary pies, merdając ogonem, przyjmuje rzadkiego miłego gościa.

Co się składało na ten zapach?

Była w nim szlachetniejsza odmiana woni łaźni parowych, szczególnie w części hotelowej. Stara pościel, wytarte ręczniki, w które całe pokolenia wycierały brudy ludzkiego życia, wypłowiełe ciemnoczerwone kapy, którymi nakrywano łóżka i stoły w hotelu: we wszystkim czuć było lekką stęchliznę, charakterystyczną dla wiekowych zajazdów i pokoiów, w których ludzie urządzają się na dłuższy pobyt, przed zaśnięciem liczą zaciągnięte pajęczyną cztery rogi sufitu, czynią znak krzyża, gaszą stojącą na szafce nocnej lampkę z wypłowiełym żółtym abażurem i w znajomym, łaźniebnym zapachu zasypiają z rękami skrzyżowanymi na piersi, jak zwykli co mądrzejsi i poważniejsi nieboszczycy. Ten zapach krył się w szafach, szufladach stołów i szafek nocnych, wydobywał się spod łóżek, jakby nieporządna pokojowa w każdym pokoju zostawiła na kilka dni samotnego samobójcę, który przyjechał z imponującym bagażem, jak gdyby miał zamiar spędzić w Peszcie cały karnawał, pomrukując, wysłuchając wykładu ozdobionego bokobrodami portiera na temat pokoiów, trochę się nawet potargował dla przyzwitości, po południu kazał sobie jeszcze przynieść do pokoju herbaty z rumem, a wieczorem tak udatnie

powiesił się na starym krawacie przywiązanym do okiennej klamki, jakby rzeczywiście chciał być go tylko zawiązać przed wyjściem na awanturniczą, niepewną wyprawę. Tą wyprawą była śmierć, i w pewnym okresie samobójcy rzeczywiście wynajmowali pokoje w „Londynie”, jakby podawali sobie dobry adres, by z tych pachnących łaźnią i myszami ostatnich stacji wyruszyć w drogę, z której się nie powraca. W pokojach unosił się zapach śmierci, a poza tym zapach nudy i przerażonych, niezorientowanych ludzkich egzystencji; ten zapach pozostał po gościach, którzy porzuciwszy pewnego dnia prowincjonalną samotność, gorączkowo i pospiesznie pakowali się, jakby dostali wiadomość, że właśnie rusza ostatni pociąg, którym mogą dojechać do stacji radość i szczęście, jeśli się na niego nie spóźnią, na chybił trafił przyjmowali więc pokój, jaki im wyznaczył portier, posiadający głęboką wiedzę o ludziach — ten ozdobiony bokobrodami, milkliwy człowiek podawał klucz do pokoju kandydatom na samobójców oraz zakochanym z taką obojętnością, jak ktoś, kto wie, że pewnego dnia wszyscy będą musieli odprawić pokutę za grzechy i strachy życia — a potem rozczarowani siedzieli całymi dniami bezcelowo w pokojach, wyglądali na hałaśliwą ulicę cesarza Wilhelma¹, starannie rozwieszali krawaty na umocowanym dwiema pinezkami sznurku po wewnętrznej stronie drzwi od szafy i w ogóle nie rozumieli, czego też właściwie szukają w Budapeszcie? Szczęście nie nadchodziło, wytartej klamki w

¹ Vilmos császár útja.

drzwiach pokoju w „Londynie” nigdy nie nacisnęła lekka dłoń, która przyniosłaby radość, na korytarzu pogwizdywał służący, i samotny dżentelmen, gość hotelu „Londyn”, zaczynał się przypatrywać swojemu paskowi od spodni tak poważnie, jakby obawiał się, że ten zużyty skórzany rzemień nie wytrzyma ciężaru wszystkich smutków, jakie nosi w piersi. W pokojach hotelowych panował zapach samobójców i nudy. Sindbad znał ten zapach, poważnie popatrzył w górę na piętra i z uznaniem wciągnął go w nozdrza.

Zapach, który zakochani pozostawili w pokojach hotelowych i na mrocznych korytarzach zasłanych czerwonym szmacianym chodnikiem, nie był ani aromatyczny, ani nieludzki. Po zakochanych pozostały różne zapachy; przede wszystkim naturalnie trwały zapach mydła i tanich kosmetyków, które w prowincjonalnej aptece przygotowywał z eterycznych olejków beznadziejnie zakochany młody aptekarz dla młodej mężatki wyjeżdżającej z niewinną miną do Budapesztu. Była to specyficzna woń, nieprzypominająca żadnych modnych paryskich kosmetyków, jakby wieczny opar miłości, złożony z olejku różanego, wody kolońskiej i Peau d’Espagne, konkretny, lecz jednocześnie podniosły zapach, który w równym stopniu pragnął wyrazić cielesność, jak i przyływ duchowości tego uczucia; bo w końcu do tego sprowadzała się miłość, która pewnego dnia ulatniała się tak samo, jak wspomnienie perfum wyparowuje z wierzchu dłoni i poduszki. W „Londynie” pozostał po nich lekki, łatwy do zapa-

miętania zapach, który nasycił meble jak poświata księżycowa, kiedy wieczorami przenika przez szpary żaluzji do pokoiw gościnnych starego peszteńskiego hotelu. Podróżny wchodził, w nozdrza uderzał go od razu zapach ulotnych, dawnych miłości i przez chwilę niespokojnie rozglądał się dokoła, jakby zapomniał czegoś w domu. Czegóż to mógł zapomnieć, kiedy pakował się pospiesznie, żeby wyjechać do Pesztu „na kurację”, jak ogólnie wyjaśniano w prowincjonalnych rodzinach podobne ucieczki? Teraz, gdy poczuł w nozdrzach zapach miłości, nagle wracał do przytomności i uzmysławiał to sobie. Podróżny zostawił w domu szczęście.

Ale Sindbad węszył nieufnie, bo wiedział, że szczęścia już nigdzie się w Peszcie nie sprzedaje.

Sprzedawało się tylko ambicje, próżność, żądze pieniędzy, smutni mężczyźni tego miasta gadali i pili, siedząc przy stole na głupiej uczcie zmysłów, na ulicy oferowano przygodę bez serca i egoistyczną rozkosz bez uczuć, podobną do fałszowanego cienkusa, który podają niesumienni szynkarze. W tym mieście żył, wyrastał, uśmiechał się, kołysał biodrami i prezentował piórka rajskiego ptaka pewien rodzaj kobiet, które przypominały wprawdzie prawdziwe kobiety, podobnie jak pokojowe pieski o zaślinionych noskach i jedwabnej sierści przypominają w jakiś sposób wilki, ale zamiast miłości częstowały one mężczyzn narkotycznym napojem próżności i zmysłowości, jak markietanki, które poły przed bitwą żołnierzy kawą z rumem, i rozwścieczeni mężczyźni tylko dlatego nie ćwiartowali ich po-

tem i nie przybijali do czterech bram miasta, że miasto nie miało już bram.

Sindbad wiedział o tym, dlatego z mądrym i niewzruszonym spokojem szukał węchem zapachu miłości, pozostawionego w pokojach „Londynu”. Kobiety nowego typu, które żeglarz nazywał w duchu girlsami, jakby chciał odebrać ludzką godność temu rodzajowi stworzeń, nie zasługiwały nawet na to, by mężczyzna zmienił onuce, oczekując na schadzki w hotelowym pokoju.

Ale były tu jeszcze inne zapachy. I żeglarz pogodnie zwrócił się ku tym miłszym, bardziej ludzkim, radującym serce i żołądek woniom.

Przed bramą „Londynu” znajdował się na ścianie wielki, podobny do kotła mosiężny gong, który tak radosnym dźwiękiem oznajmiał wszystkim przybycie nowego gościa, jakby na ganku prowincjonalnego dworku pojawił się członek rodziny. Sindbad z uznaniem spojrzał na przyjemnie dźwięczący gong i nie pogniewałby się, gdyby ogłosił teraz jego przybycie. Ale portier zajęty był właśnie jakimś siwowłosym gościem w kraciastym ubraniu, który miał wypomadowane wąsy i smutne oblicze, i z taką obojętnością przyglądał się liście gości zapisanej kredą na czarnej tabliczce, tak nieuważnie odebrał z ręki bokobrodego portiera zawieszony na dużym kółku klucz do pokoju, jakby układał już tekst nekrologu, który w pokoju zapisze na papierze, zanim powiesi się na klamce okiennej.

— Várdali będzie miał jutro zajęcie — mruknął Sindbad. — Będzie musiał napisać, że w piątym numerze powiesił się i zakończył życie szalony czło-

wiek, który wierzył, że może znaleźć szczęście i przyjechał po nie do Budapesztu, ale nie potrafił znieść rzeczywistości.

Popatrzył za samotnym mężczyzną, który z godnością wchodził po schodach; i zmrużył zmęczone oczy, jakby już czytał w gazecie informację o samobójstwie.

Z bramy na prawo prowadziły oszklone drzwi, na których szklarz wyrył staroświeckim pismem zdobny w zakrętasy napis „Café”.

W jesienne popołudnia i długie zimowe noce, kiedy zawodowi szantażyści oraz pismacy, którzy w ramach profesji zajmują się grzebaniem w rodzinnych plotkach i sprawach honorowych, ziewając, siedzą przy marmurowych stolikach peszteńskich kawiarni w różnych punktach miasta jakby mieli jeszcze nadzieję, że po północy nadejdzie wiadomość o jakimś szalonym mężczyźnie, który poświęcił nocny spokój dla kobiety, Sindbad chętnie wysiadywał w kawiarni „Londynu”. Teraz, kiedy czas nie był odpowiedni, by wejść do pokrytego drewnem w kolorze tabaki wnętrza pod łukowym sklepieniem, zadowolił się tylko rzuceniem pogodnego spojrzenia na drzwi i głęboko wciągnął kawiarniany zapach, jaki stamtąd dochodził, albowiem zawierał on w sobie wszystko, czego potrzeba do rozmyślania, męskiej samotności, odrzucenia ziemskich próżności i ucieczki na lekkonogim koniu marzeń. Była to specyficzna mieszanina woni i chyba już w żadnej peszteńskiej kawiarni nie sposób było uświadczyc czegoś podobnego.

— To nie przypadek — pomyślał Sindbad i znów

pociągnął nosem — że w sali kawiarnianej „Londynu” stoliki są z czarnego marmuru.

W kawiarni żeglarz zawsze bardzo starannie wybierał stolik, przy którym miał usiąść. W „Czikago” pompa i muzealna wytworność cechowała wszystko, więc również sprzęty; ale nie było już prawie w Budapeszcie miejsc, w których goście mogli sobie uciąć partyjkę makao przy prawdziwych stolikach z czarnego marmuru. Stolik z czarnego marmuru wiele mówił o gustach, ważnych treściach, solidności i warunkach epoki. Żeglarz lubił najbardziej okrągłe stoliki na nóżkach z kutego żelaza, których powierzchnia i wysokość całkowicie odpowiadała celowi: tylko na takim stoliku można było oprzeć się na łokciach z ulgą czy zatroskaniem, rozłożyć gazetę, umieścić niklową tacę pełną szklanek z wodą i kawą, obok nich popielniczkę i pojemnik na zapałki, jak wypadało i należało, jeśli właściciel kawiarni chciał, by gość dobrze się czuł i usadowił się na dłuży pobyt.

A do kawiarni „Londynu” ludzie wchodzili tak ostrożnie i tak ceremonialnie zajmowali miejsce przy czarnych marmurowych stolikach, że widziało się: przybysz chce tu nie tylko wypić małą czarną, lecz pragnie spędzić pewną część życia pod łukowymi sklepieniami lokalu. Ludzie nie przychodzili tu po to, by napić się kawy, tylko po to, by jakoś przetrwać. W bufecie królowała kasjerka o surowej twarzy i władczym spojrzeniu, nieprzystępna, jakby była ciotką wszystkich gości, i z godnością monarchini udzielnego księstwa niemieckiego podawała cukier, rum i cytrynę. Kelnerzy byli tu

starzy, podobnie jak publiczność, niewiele mówili, bez pytania przynosili stałym gościom kawę, naturalnie w szklance — Sindbad i bywalcy podobni mu wiekiem i upodobaniem uważali za objaw niemoralności pić kawę z filizanki — i poranną lub popołudniową gazetę, którą następnie każdy dokładnie czytał, od pierwszej do ostatniej litery, jakby chciał odgadnąć sens ukryty między wierszami. W „Londynie” nikt się nie spieszył, obsługa była powolna tak samo jak goście. W atmosferze i sposobie zachowania ludzi nie czuło się nerwowości ani pośpiechu, nie wypijano tu kawy jednym haustem ani nie prowadzono niespokojnych dyskusji, tak typowych dla kawiarni świata interesu. I nie zaglądali tu hulacy, wędrownie nocne ptaki ani goście, którzy o świcie zamawiają w kawiarni kapuśniak i butelkowane piwo, i w pierwszych przebłyskach zimnego peszteńskiego świtu kulą się markotnie, z zarostem na twarzach, bezdomnie, jakby w głębi serca wiedzieli, że nie ma tego upojenia, ekstazy i zapomnienia, które potrafiłyby ugasić żar gehenny, tłącej się w duszy i kopnącej kwaśnym dymem samotności i zwątpienia. Do „Londynu” chadzali ludzie cisi, którzy mieli zwyczaj czytać zarówno artykuł wstępny, jak i drobne ogłoszenia, rozwiązywali krzyżówki w ilustrowanych rodzinnych czasopismach niemieckich, długo i z ukontentowaniem oglądali fotografie krajobrazów oraz małych lordów na spacerze z psem bernardynem w kolorowych periodykach angielskich, i w ogóle zachowywali się tak, jakby świat nie wystąpił z ram i nie wytoczył się im spod nóg. W takich miejscach jak kawiarnia „Lon-

dynu” Sindbad czuł szczególnie wyraźnie, że te schronienia, te spokojne wyspy samotności, rozmyślań i godzin spędzonych w ciszy są zagrożone przez dziką powódź nowych czasów, która niedługo zmiecie je z powierzchni ziemi.

Dlatego odwróciwszy się od drzwi na prawo, ruszył na lewo, do restauracji. Wszedł do długiej sali ze spokojem, wiedział, że nie może go tu spotkać rozczarowanie.

Nie tylko szynkarz, który napełnił już dla niego kufel świeżym piwem, lecz również kelnerzy wiedzieli o przybyciu żeglarza. Na tę wieść personel restauracji ogarnęło ciche, lecz wyczuwalne podniecenie, jak orkiestrę, którą dzwonek inspicjenta powiadamia o tym, że nadszedł dyrygent.

Sindbad przystanął przy wejściu i dokonał starannego przeglądu stolików. Jego spojrzenie śledzili uważnie starszy i młodszy kelner oraz szynkarz; jako ludzie znający się na rzeczy, wyczuwali wagę chwili i wiedzieli, że bynajmniej nie wszystko jedno, przy którym stoliku żeglarz usiądzie. Wybór stolika został dokonany według starannego i gruntownego planu, podobnie jak to czynią szczęśliwi ludzie, którzy mają emeryturę i przygotowując się do długiej starości, wybierają działkę w dzielnicy Zugló.

Blisko wejścia wolny był stolik w rogu sali. O tej godzinie restauracja „Londynu” była już pustawa. Sindbad usiadł, kapelusz i laskę powiesił na wieszaku i niemo, cierpliwie czekał, podczas gdy starszy kelner i posługacz na wyścigi sprząтали pozostawione na obrusie przez poprzedniego gościa okruchy,

ulepione przez niego z mięszu chlebowego frywolne figurki, połamane wykałaczki i podobne obiadowe śmieci, które zostawiają na stolikach restauracyjnych mężczyźni samotni, niezadowoleni i pozabawieni życiowego celu. Młodszy kelner nie brał udziału w sprzątaniu. Założywszy binokle, z kartą jadłospisu w jednej ręce, z ołówkiem w drugiej w skupieniu odczytywał półgłosem nazwy dań i zafrasowany wykreślał z jadłospisu te, które już „wyszły”. Wiedział, że Sindbad nigdy nie gniewa się tak bardzo, jak wtedy, kiedy się dowiaduje, że zamówionej przezeń przed chwilą potrawy właśnie zabrakło, choć przygotował już sobie na nią nerw żołądkowy.

Sindbad miał w sobie coś takiego, że gdziekolwiek się pojawił, w restauracji, karczmie, kawiarni czy gospodzie, personel natychmiast zaczynał się nim zajmować. Nie mówił ani słowa, a jeśli już coś powiedział, robił to cicho i uprzejmie, a jednak wszyscy spieszyli, by służyć mu i dogadzać, jakby z gonitw konnych przybył osobiście pan Felvéghy z kieszeniami pełnymi banknotów i złota. Obsługa chodziła wokół Sindbada, bo czuła, że wreszcie pojawił się gość, którego obsłużenie stanowiło cel i sens jej pracy, gość, który wszystko wie, niewiele mówi, płaci jak książkę i milczy, lecz nielitościwie wszystko zauważy, odrzuci lub uzna każdy wysiłek. Czuł tak *chef* w kuchni, który na wieść o przybyciu Sindbada przestraszony pobiegł do szafy lodowej i drapiąc się w głowę, oglądał i badał pozostałe z obiadu mięso wołowe. Tak czuł sprzedawca cygar, niespokojnie sprawdzający, czy w brązowym pudeł-

ku, które nosił na skórzanym pasku na szyi, ma cygarniczkę oraz papierosy marki „Media” i „Istambuł”. Czuł to szynkarz za pulcem, który podniósł i obejrzał pod światło przygotowany dla Sindbada kufel piwa, czy aby nie ma w nim szumowin, które mogłyby wzbudzić podejrzenia w skłonnej do nieufności duszy Sindbada, po czym schłodził kilka dwulitrowych flaszek włoskiego rieslinga, o którym Sindbad niedawno, jakieś dwa miesiące temu, wypowiedział się wstrzeźliwie, lecz z pewnym uznaniem. Tak samo czuł starszy kelner, który stał przed Sindbadem poważny i stremowany jak nauczyciel przed inspektorem w dniu wizytacji.

W restauracji „Londynu” zapanowała uroczysta atmosfera, ponieważ Sindbad przyszedł, zajął miejsce i wziął do ręki kartę dań.

— Czy będzie obiad, wielmożny panie? — zapytał niespokojnie kelner i trochę pochylił się do przodu.

— Obiad! — odparł krótko i zdecydowanie Sindbad.

Jak odświętnie brzmiało to słowo!

Na dawnych Węgrzech obiad wyznaczał najważniejszą godzinę dnia. Obiad to był czas, w którym znużony kłopotami i brakiem perspektyw życiowych Węgiel mógł na chwilę pomyśleć o sobie, odwrócić wzrok od ciemnych pejzaży troski i usiąść do stołu nakrytego białym obrusem jak dla odprawienia odwiecznego rytuału. Nie przypadkiem dawny węgierski zwyczaj nakazywał przeżegnać się przed rozpoczęciem jedzenia, pan domu składał ręce i otoczony wianuszkami domowników odmawiał krótką

modlitwę, a dopiero po tym zanurzał łyżkę w zupie. Tak, obiad był świętem, trzyaktową, odgrywaną w pełnym skupieniu sztuką życia, zupa, mięso i deser następowały po sobie na węgierskim stole z żelazną konsekwencją, jakby moda czy nowoczesne poglądy na sposób odżywiania nigdy nie były w stanie wywrócić odwiecznego porządku węgierskich jadalni. Sindbad również był zdania, że tylko obiad jest prawdziwym posiłkiem, a cała reszta to tylko dodatek i łasowanie. Dopiero przy obiedzie człowiek mógł naprawdę poczuć, że jest u siebie w domu w tym błogosławionym, cudownym kraju, gdzie wszystko ma bardziej prawdziwy, godny człowieka smak niż gdziekolwiek indziej na świecie, i nawet dla największego biedaka też zostaje nakryty jakiś stół. Węgier godził się na krótko ze sobą i z losem tylko podczas obiadu, jakby naród był jedną wielką rodziną, której członkowie na ten czas zapominają o smutkach, gniewie i nienawiściach, albowiem dźwięk dzwonów wybijających południe nastroja wszystkie serca i żołądki do łagodniejszych uczuć. Każdy z nich zasiadał do stołu niczym szaman, który słowem, zaklęciem, rękami i ustami odprawia pogańską ofiarę. Sindbad przejrzał kartę okiem wytrawnego i znajdującego się na rzeczy stołownika — tak potrafił czytać kartę tylko ktoś, kto w ciągu długiego życia skosztował wszystkiego, co gotowano, warzono, duszono i pieczono w emaliowanych kociołkach i blaszanych brytfannach peszteńskich i prowincjonalnych jadłodajni — i ślinka napłynęła mu do ust, zgorzkniałych od złych smaków, wspomnień i kwasu żołądkowego; ale nie był głod-

ny, jedzenie w istocie radowało mu przede wszystkim serce, albowiem żołądek już tylko z rzadka pragnął smakowitego kąska. Odczytywanie z karty nazw potraw ożywiło miłe wspomnienia w bogatej pamięci żeglarza. Przede wszystkim zlustrował porządek zup w skupieniu, z jakim specjalista z British Museum ogląda stary egipski manuskrypt.

Sindbad był zdania, że bez zupy nie ma dla Węgra obiadu.

Albowiem soki zupy wyścięły żołądek na przyjęcie następnych potraw, zupa wprawiała duszę w poważny, wręcz podniosły nastrój, a to był warunek, by posiłek przekształcił się w ciepłą i pokrzepiającą uroczystość, a nie okazał się zwyczajnym zaspokajaniem głodu czy napełnianiem brzucha. Dobrze wybrana zupa rozpoczyna łagodny i pełen godności ceremoniał, w trakcie którego nie tylko wypełnia się żołądek, lecz swój pokarm otrzymuje również dusza. Bez zupy Sindbad nie potrafił sobie wyobrazić prawdziwego węgierskiego obiadu, który byłby godny mężczyzny. Dlatego trochę się zdziwił, kiedy młodszy kelner wskutek jakiejś niestosownej i niepojętej asocjacji myślowej spytał:

— Może coś bezmięsnego?

Ale starszy kelner, który już znał zasady Sindbada, usłyszawszy to pytanie aż syknął, jakby mu nastąpiono na odcisk. Wiedział, że Sindbad w głębi duszy pogardza zupami bezmięsnymi i nawet pod przymusem nie zjadłby niczego innego poza rosółem z kluseczkami z wątróbki albo zupą ragoût.

Z powodu niestosownego pytania młodszy kelner tak bardzo się zawstydził, że cofnął się o krok i

jak nieszczęśnik spojrział prosząco na kolegę w okularach.

— Smaczną zupę ragoût, panie Sindbadzie — odpowiedział starszy kelner niskim głosem, poważnie i rzeczowo.

Sindbad w zamyśleniu podniósł nań oczy znad karty.

— Mówisz ragoût? — spytał poważnie i zadumał się. — Niech będzie. Ale miej baczenie, żeby była gęsta, i dodajcie kurzej wątróbki do zielonego groszku i kładzionych kluseczek.

Kelner pospieszył z zamówieniem tak szczęśliwy, jakby nic innego już go nie obchodziło. A Sindbad najpierw wygodnie rozsiadł się przy stole, rozwinął i ułożył na kolanach serwetę, przysunął bliżej pojemniczek z solą i papryką, odkroił scyzorykiem kawałek skórki od chleba, i w tych minutach oczekiwania i przygotowania wydawało mu się, że uczucie smutku i napięcia wokół serca jakby trochę zezłało. W „Londynie” panował znajomy zapach zimnego tłuszczu, dzięki temu mogło się wydawać, że to naprawdę jedyne miejsce na świecie, w którym wędrowiec może poczuć się swojsko. Przy jednym ze stolików stało wysokie krzeselko, rodziny goszczące w „Londynie” zwykły sadzać w nim do nakarmienia małe dzieci. I kiedy Sindbad wypił już pierwszy kufel piwa, który tymczasem przygotował dla niego szynkarz — rzeczywiście, w złotawym płynie nie było ani śladu szumowin, a na powierzchni siedziała gruba na palec, sztywna piana — przyszło mu do głowy, że w szafkach nocnych pokoiów hotelowych na piętrze zwykł się znajdować piesek do

butów. To wspomnienie, jedne niebiosą wiedzą czemu, pocieszyło go i rozpozodziło.

— Jeszcze nie wszystko stracone — wymruczał z ufnością.

Zamówił następnie sztukę mięsa wołowego i u-dobruchany zabrał się do jedzenia.

Sindbad jadł obiad. I gdy jadł, coś zaczynało się dziać nie tylko w jego żołądku, lecz również w sercu.

W tym okresie żeglarz, podobnie jak pod koniec życia sławny smakosz francuski, generał Boulanger, lubił już tylko gotowaną wołowinę. A jadał w naj-różniejszych zakątkach Węgier, lecz nie z łakom-stwa, bowiem przez całe życie zachowywał umiar; jadł raczej z ciekawości. Jak badacz, który ze sko-rup, ułamków, odłupanych fragmentów arcydzieł stara się zrekonstruować wspaniałość minionej e-poki, odbudować na nowo gust, wnętrza i zwyczaje zaginionego świata, tak patrzył na kartę dań Sind-bad wszędzie tam, gdzie rzucił go kapryśny los. Już sam drukowany nagłówek był ważny i orientował podróżnego, czy słusznie czyni, zajmując miejsce przy stoliku w „Złotej Kaczce”, „Brudasce”, rozma-itych zajazdach pod „Beczka”, „Sroka” czy „Gołę-biami”, pod wesołymi czy smutnymi „Żeglarzami”, „Nimrodami” czy „Hubertami” oraz w innych ja-dłodajniach, których nazwy pochodziły od odwiecz-nych symboli związanych z jedzeniem. Gdy rysu-nek skomponowany wokół nazwiska właściciela i nazwy zajazdu zdobiła Fortuna z rogiem obfitości oraz wizerunkiem królika, ryby czy koguta, można

było mieć nadzieję, że następujący poniżej, wypisany atramentem litograficznym tekst nie zawiedzie serca i żołądka gościa.

W oparciu o kilkudziesięcioletnie doświadczenie Sindbad wiedział, że tam, gdzie w jadłospisie spotyka się błędy ortograficzne, z większym zaufaniem można zanurzyć łyżkę w talerzu z zupą niż w restauracjach, których karta dań była wydrukowana. Żeglarz jadł w niemal wszystkich zakątkach kraju, z umiarem, ale i z wielką uwagą, jakby w smakach, przyprawach, sosach i aromatycznych dodatkach żyła dalej niepisana kultura, tak samo prawdziwa i głosząca Węgry, jak pomnik Millenium czy wiersze zebrane Gyuli Varghy¹. Naród żyje w języku, to prawda; i nie było w ojczyźnie nikogo, kto wyznawałby to i głosił z głębszą wiarą i prawdziwszą nabożnością niż Sindbad, znawca i zaklinacz węgierskich słów; ale naród żył także w brzuchu i nie należało lekceważyć tej drugiej, bardziej materialnej kultury, która bulgotała w garnkach prowincjonalnych kucharek i brytfannach budapeszteńskich kucharzy, cudownie powoływana do życia w postaci gulaszu wieprzowego, rybnego paprykarza czy „szewskiej zakładki”². Niczym sekretny bedeker, który prowadzi podróznego po nieznanym, lecz prawdziwym krajobrazach ojczyzny, tak przez labirynt węgierskiej duszy, jej smaków i humoru prowadziła karta dań, którą żeglarz zapamiętał z czasów, kie-

¹ Gyula Vargha (1853–1929) — późnoromantyczny poeta i tłumacz.

² Vargabéles — makaron z twarogiem na słodko, zapiekany w cieście strudlowym.

dy w restauracji dworcowej w Cegléd czy u Wampeticsa w Lasku Miejskim dumał nad możliwościami obiadu. Ojczyzna żyła w słowach pisarzy i poetów, w dziełach uczonych, żyła w pracy, wierze i trybie życia bezimiennych Węgrów, w pamięci wielkich czynów przodków, żyła w pejzażach Siedmiogrodu, równiny Hortobágy, Balatonu i Tatr, ale przynajmniej w tym samym stopniu w nazwie „zupa gulaszowa z kociołka”¹ — i nie rozumieli tego tylko głupcy, bufoni i maniacy. Sindbad jadł obiad i jadł nie tylko dlatego, by się najeść, lecz składał również ofiarę: oddawał hołd minionemu światu, kiedy Węgier zawiązywał pod brodą serwetę, brał do ręki nóż i widelec i z błyskiem w oku zatapiał poważne spojrzenie w parującej przed nim na talerzu sztuce mięsa, jakby w jednej chwili miał zamiar posiekać wszystkich, którzy uparcie i bezsensownie powtarzają frazes, że tylko w Wiedniu, u słynnego Meissla i Schadla można dostać porządną wołowinę. Sindbad wiedział, że na Węgrzech wszystko jest smaczniejsze niż w obcych krajach, dlatego jadł w skupieniu i z nabożeństwem. Już w samym chlebie było coś, czego nie potrafiono utrafić nigdzie na świecie. Zapach trzydniowego chleba z Soroksár poruszył w Sindbadzie proces historycznej pamięci. To był chleb, o który Węgier przez tysiąc lat walczył pługiem i mieczem. Sindbad najbardziej lubił chleb z kminkiem, szczególnie, gdy był zarabiany w domu; mawiał, że chleb domowy zachowuje czar młodej kobiety, która go wyrabiała. Również w tutejszych

¹ Bográcsgulyás.

zupach była emanacja radości życia i temperamentu narodowego, zachowana co najmniej w tym stopniu, co w spisywanych na końskiej skórze układach pokojowych. Żeglarz podróżował po kraju i z takim samym niespokojnym zainteresowaniem smakował gulasz wołowy w restauracji „Cisa” w Szegedzie czy w gospodzie „Lewocza” w Kassy, z jakim przystawał przed nekropolią dawnych królów czy koronkowymi łukami i wiszącymi ogrodami Baszty Rybackiej. To wszystko stanowiło całość, jedną, wieczną i niepodzielną węgierskość: Sindbad jadł obiad i jednocześnie wiedział, że tylko ludzie głupi i zawistni, gruboskórni, pozbawieni słuchu i smaku w gulaszowym zapachu restauracji i zajazdów, w kwaśnym zapachu piwa nie odnajdują tego samego uczucia, które ogarnia Węgry, gdy czyta wiersze Vörösmartyego czy ogląda pejzaże Szinnyei-Mersego. Jadł obiad i snuł wspomnienia, przypomniawszy mu się zupa rybna, którą gotowano w jednej z knajpek przy moście w Szegedzie, nie było w niej ani ości, ani ziemniaków — w gęstej czerwonej polewce mieszały się ze sobą w cudowny sposób smaki cebuli, drobnych rybek, papryki, wody cisańskiej i okazałego sumy — jakby potrzeba było mądrości i forteli wieków, by te proste smaki złączył w potrawę typ człowieka, który odżywia się z godnością i niezawodnym instynktem, bo wie, że Węgier na tym świecie potrzebuje siły. Żeglarz przypomniawszy sobie tę czerwoną zupę rybną i jej wspomnienie nieuchronnie przywołało obraz kluseczek kładzionych, zapieczonych z koprem i bryndzą, które w winnicy pod Kecskemét, w sławnej „Iskrze” dla gości przybywa-

jących do „sławnego miasta”¹ przygotowywały dorodne niewiasty o śniadych licach, i w smaku potrawy czuło się, że przedtem umyły się od stóp do głów. Przypomniało mu się, że w Kassy jadł pewnego razu szynkę w sklepie rzeźniczym Freudenfelda przy ulicy Młynarskiej², i ta szynka, którą — zgodnie z gustem żeglarza — sławny rzeźnik odcinał w jednym kawałku z koniuszka nazywanego *spitzem*, dowodziła w sposób rozstrzygający, że Węgier jest indywidualnością i pomimo wszelkich zawistnych intryg praskich rzeźników szynka zagraniczna w niczym nie dorównuje węgierskiej. Sindbad jadł obiad i przed oczyma duszy ukazał mu się obraz „Słodkiej Dziurki” z Marosvásárhely, gdzie pieczona na ruszcie wieprzowina pachniała tak wspaniale, że przejezdny, choćby był po obiedzie, nie mógł wprost odmówić sobie kilku co mniej tłustych kawałków tego rarytasu, naturalnie tylko w towarzystwie nieodłącznej kapusty kiszzonej. Jadł obiad i przypomniał mu się pewien wieczór w Badacsony, poświęca księżycowa na ganku „Syrenki”, kiedy starsza już kelnerka z takim pietyzmem postawiła przed nim pieczonego na rożnie sandacza z cytryną i młodymi kartofelkami, jakby rzeczywiście jakaś syrenka zmieniła się na ten wieczór w kucharkę gospody, by upiec pachnącą dziewiczym jeziorem rybę dla samotnego i zamysłonego podróżnego. Wydawało mu się, jakby widział ogromną mapę — na wzór map wykonywanych w zakładzie karto-

¹ Tak potocznie nazywa się Kecskemét.

² Molnár utca.

graficznym Manó Kogutowitza i synów, na których nierozzerwalna jedność wód i gór ojczyzny pozostała zachowana również wtedy, gdy zawistny wróg z szaloną samowolą rozszarpał tę jedność — na której w co ważniejszych punktach widniały zapamiętane przez żeglarza prowincjonalne restauracje dworcowe, smaki i specyfika co znamienitszych zajazdów prowincjonalnych, szegedzki „Kosz”, debreczyński „Byk”, gmach Schalka w Kassy, hotel „Lővér” w Sopron, „Stiglitz” w Rozsnyó i „Korona” w Egerze, gdzie pan Unterreiner, siwowłósy i rumiany restaurator, przyjmował przybysza tak serdecznie i opiekuńczo, a potem tak skrupulatnie omawiał z nim najdrobniejsze szczegóły kolacji, jakby w tym kraju nie zanikły jeszcze dawne dobre obyczaje i patrycjuszowska uprzejmość, a potem jeszcze „Korona” w Miskolcu, gdzie kelner Böcögő tylko dlatego wstawiał czasami od stolika w kącie sali, by osobiście otworzyć dla któregoś z gości butelkę egerskiego medoca. W prowincjonalnych zajazdach, w nielicznych już i rzednących gospodach budapeszteńskich żywa była jeszcze tradycja dawnej, pańskiej, węgierskiej serdeczności i gościnności, portier witał zjawiającego się gościa tak miło, jakby to był krewniak, który właśnie wyszedł z więzienia w Vácu, gdzie przesiedział kilka lat za zabójstwo, bo nie potrafił zapanować nad afektem lub musiał bronić swego honoru, w okolicy Wielkanocy na dźwięk zajeżdżającego powozu kurczaki zaczynały pisać na podwórzu egerskiej gospody, bo wiedziały, że pan Unterreiner wielitościwie zarżnie kilkoro z nich na cześć wędrowca, choć jeszcze oficjalnie nie rozpo-

czął się sezon kurczaków panierowanych, na wieść od odszpuntowaniu nowej beczki w południe w całym kraju pełni godności ludzie z powagą właściwą sędziom trybunałów femicznych podnosili w górę kufle w rozmaitych „Koszach”, „Bykach”, „Koronach” i „Orłach”, ponieważ pielęgowali tradycje i wiedzieli, że kufelek czystego, jasnego piwa w połowie dnia przywraca niejako równowagę duchową, właściwą medytatywnej naturze Węgra. Sindbad jadł obiad i choć *chef* „Londynu” tym razem przeszedł samego siebie — szczęśliwie znalazł jeszcze kawałek mięsa z kością, które do niej ściśle przylegało, otaczało ją, było wystarczająco soczyste i zawierało spore kawałeczki tłuszczu, jak to żeglarz lubił, a ponadto do wołowiny podał jeszcze wyciskającą ży, ostrą drobną zieloną paprykę w occie — tym jednak razem karmił się bardziej wspomnieniami niż obiadem. Albowiem uczucie, które tego dziwnego majowego dnia ani na chwilę nie opuszczało serca żeglarza — że coś się kończy, jakiś styl, jakiś tryb życia, a może samo życie w ogóle?... — towarzyszyło mu również w czasie obiadu. Jadł z tym drążącym go, skrywanym niepokojem, i kilkakrotnie pogłaskał pod marynarką miejsce serca, bo w środku coś bolało i pulsowało.

— Czyżby Lew miał rację? — zamyślił się pochylony nad talerzem, żeby jego umęczonej niepokojem i bólem twarzy nie widzieli starszy i młodszy kelner, stojący niedaleko i przyglądający mu się z pełnym szacunkiem i uwagą. — Może rzeczywiście już gdzieś heblują dla mnie deski? Ilondi miał rację, ten mój szalony wujaszek, który okazjonalnie i

grubo naprzód kupił sobie trumnę, w której i leży do dziś.

Takie to poważne tematy zajmowały żeglarza podczas obiadu. Ale obawiał się, że obsługa dostrzeże na jego twarzy odbicie niewesołych myśli i uczuć, przeto spojrział surowo na starszego kelnera, odsunął od siebie talerz z wołowiną, i powiedział z niezadowolaniem:

— To wstyd i hańba, że zapiekanki z ziemniaków już się nie podaje w budapeszteńskich restauracjach.

Na ten zarzut starszy i młodszy kelner, a nawet posługacz pospuszczali głowy, patrzyli na czubki butów i milczeli zdruzgotani.

— Po raz ostatni jadłem zapiekankę z ziemniaków na prowincji — ciągnął żeglarz i spojrział na sufit, jakby pogardzał światem do tego stopnia, że nie mógł już na niego patrzeć. — W Peszcie, jak widać, nie wiedzą o tym, że oprócz pokrojonych na talarki jajek należy do niej jeszcze dodać posiekaną wędzoną szynkę i kiełbasę. I całość naturalnie powinna być zapieczona!

— Powtórzę szefowi — wyjąkał cicho, z zawstyżeniem starszy kelner. — Kiedy wielmożny pan przyjdzie do nas następnym razem, na pewno będzie zapiekanka z kartofli. I sam dopilnuję, żeby była porządnie zapieczona. Dziś mamy kiełbasę cytrynową — dodał wyjaśniająco nieśmiałym głosem i trochę pochylił się do przodu, jakby chciał coś naprawić.

— Kiełbasa cytrynowa! — odparł surowo Sindbad i bardzo zabolęło go serce. — Okres świniobicia już minął.

W końcu zamówił krem z liptowskiej bryndzy, ale tylko w nim dziobał czubkiem noża, choć starszy kelner naprawdę uczynił wszystko, by oprócz pokrojonej drobno cebulki, kminku, soli, pieprzu, papryki, szczypiorku i kaparów dodano do niego kilka pierścionków sardeli i całość przed podaniem została jeszcze zmieszana z odrobiną jasnego piwa. Sindbad, kiwając głową, milcząc, bez apetytu pojadał bryndzę. Nacisk wokół serca nie chciał zelżeć. I choć żeglarz czuł się tu jak w domu, jego świadomość całkowicie zajmowały jeszcze wydarzenia dnia, wrażenia zmieniającego się świata i pamięć wykonanej pracy. Tym razem Sindbad jadł obiad dla duszy. I podczas gdy smarował skórkę chleba liptowską bryndzą i popijał drobnymi łykami piwo, w duszy odzywały się echem słowa starszego kelnera i ciągle widział przed sobą ten drugi, gastronomiczny przewodnik po kraju, którego ukryte treści naprawdę znał tylko on. Słowa „kiełbasa cytrynowa” czy „świniobicie” w naturalny sposób obudziły w duszy żeglarza wspomnienia i uczucia, które odwróciły jego uwagę od otaczającego świata. Sindbad wiedział, że Węgier był po raz ostatni szczęśliwy w epoce, w której dla każdego prawdziwego mężczyzny głęboko i szczerze, nie zaś przez wzgląd na modę czy dla żartobliwego zwyczaju, było naprawdę ważne, by uczała po świniobicciu, kiedy zasiadał przed talerzami pełnymi jadła, była wielką świecką uroczystością: a więc nie tylko pożywieniem i podkładką pod wino, lecz rzeczywistym świętem, którego cytrynowa i czosnkowa kiełbasa, krwawa i wątrobiania kiszka, buraki w occie czy kapusta kiszona są

jedynie elementami. Prawdziwe święto obleka się w ciało nie w smakach i zapachach potraw, lecz w duszy Węgra zasiadającego do uczyty, ponieważ misa wypełniona duszoną kapustą i pieczoną kiszka przywołuje wizję dostatku i szczęścia, przyjemny obraz zimowego chrapania z pełnym brzuchem pod pierzyną, symbol beztroskich, pogodnych, leniwych godzin spędzonych przy stole na niespiesznym popijaniu wina, a nade wszystko obraz serdecznej i gościnnej zarówno w sercu, jak i zachowaniu krainy węgierskiej. I to było ważne, a nie cytrynowa kiełbasa. Ale Sindbad nie dbał o rzeczywistość.

— Niech przyniosą wina — powiedział i wytarł kąciki ust serwetą, odsunął talerz i obrażony spojrział w powietrze. — Przynies pół litra i wodę sodową — ciągnął pogardliwym tonem. — Najpierw niech spróbuję, bo nie ufam waszym winom. W Peszcie można dostać porządne wino tylko w takich miejscach, gdzie na ścianie wisi obraz olejny przedstawiający bitwę pod Kápolną, a pod stołami gości podłoga jest pełna niedopałków.

Tak to zgryźliwie wyrzekął żeglarz. Ale starszy i młodszy kelner, a także posługacz byli szczęśliwi i z ulgą pospieszyli wykonać polecenie, jakby z końcem obiadu zostało w „Londynie” zażegnane jakieś wielkie niebezpieczeństwo czy groźba pożaru.

Chłopak przyniósł wino, Sindbad nalał do pełna niewielką szklankę z grubego, zielonego szkła, podniósł ją przed oczy i skierował w stronę światła. Następnie posmakował wina, zamyślony obracał w ustach pierwszy, letni łyk, spod zmarszczonych brwi spojrzął z zafrasowaniem w sufit i odchyliwszy gło-

wę do tyłu, powoli wypił zawartość niewielkiej szklane-
czki, która była przyjemna w dotyku i mieściła się
akurat w dłoni Sindbada, jak rączka wiejskiej panny.

Chłopak z szeroko otwartymi oczyma obserwo-
wał niespokojnie poruszenia grdyki gościa.

Sindbad przełknął wino i przez chwilę pozostał
nieruchomy, z przymkniętymi oczyma, jakby opu-
ścił się w najgłębsze pokłady duszy i nie chciał się
przed czasem, nazbyt szybko wypowiadać. Nawet
obcy na sali odczuli wagę chwili, kiedy Sindbad po
spożyciu obiadu i wypiciu piwa przepuścił pierw-
szy łyk wina przez gardło, które poznało i wypró-
bowało wiele smaków.

— Da się pić! — powiedział Sindbad i ostrożnie
otworzył oczy.

W tej chwili zaświeciło słońce i ciepłym światem
wypełniło zadymione sale restauracji „Londynu”.
Teraz, gdy żeglarz wypowiedział swoją nieodwołal-
ną opinię, siedzący przy kasie właściciel restaura-
cji odetchnął z ulgą, a starszy kelner z zadowole-
niem zatarł ręce i cicho pogwizdując pospieszył za
parawan zasłaniający drzwi do kuchni, gdzie napręd-
ce wypalano papierosy, a na pełnym szuflad bufie-
cie kelnerzy przechowywali zimną zapiekankę z
łazanek z szynką i ledwie napoczętą bryndzę lip-
towską Sindbada. Wszyscy się uspokoili, ponieważ
najważniejszy problem tego dnia został rozwiązany,
a dalsze wydarzenia mogą być już tylko natural-
ną konsekwencją stanowiska Sindbada.

Żeglarz zajrzał w głąb duszy i dobrze się zasta-
nowił, zanim wypowiedział wyrok. W kwestii wina
Sindbad nie lubił żartów.

Szczerze mówiąc, już w ogóle nie ufał winom podawanym w niejednej peszteńskiej gospodzie. Wszystkie te wina z Neszmély, Inárcskakucs, „lipowe liście” z Domoszló, reńskie rieslingi, „zielona śliwa”, kadarka z Soltvadkert, wina z Füred, Cso-pak, egerska „bycza krew” i cienkusz, czerwone wi-na z Villány i Sasad, stołowe z Arács, białe wina z Badacsony dawały się pić jedynie w winnicach, z których pochodziły, a także w niektórych winiarniach budańskich i peszteńskich, z wielką starannością wybranych, zapamiętanych i surowo sprawdzanych przez Sindbada i jego przyjaciół, którzy trzymali się podobnych zasad. Żeglarz powoli skłaniał się do sądu, że prawdziwe wino można dostać już tylko w takich miejscach, w których nie podają do niego ciepłych posiłków. Decyzja niektórych budańskich i peszteńskich wyszynków, że przy ich pomalowanych zieloną farbą olejną stolikach gość oprócz wina może się posilić talerzem gulaszu czy kiełbasą domową na gorąco, została w świecie znawców wina uznana za rewolucyjną zmianę.

Prawdziwa winiarnia była inna. To było sanktuarium, cel pielgrzymek męskiego rodu, poważny i uroczysty teren zamyśleń, wspomnienia i marzeń o przyszłości. Miejsca, w których można było dostać prawdziwego wina, Sindbad zapamiętywał sobie tak starannie, jak wędrowni handlarze miejsca co sławniejszych odpustów i jarmarków. Bo wino dawało Węgrowi nie tylko upojenie, lecz również zapomnienie. Dlatego właśnie Sindbad lubił pić wino spokojnie i systematycznie, jak to przystoi węgierskiemu mężczyźnie.

O czymś trzeba było zapomnieć, Sindbad zachodził więc co wieczór do jednego z owych nielicznych miejsc, w których szynkarz, goście, kelner, wędrowni nocni sprzedawcy, którzy oferowali maczane w syropie daktyle, figi i śliwki, stare kobiety, które w kobiałkach nakrytych chustą miały na sprzedaż zakąskę do wina w postaci mocno popieprzonych ciastek z orzechami laskowymi, przekupnie obnoszący pękate kosze z lalkami-murzynkami i słodyczami, wszystkie te nocne figury odnosiły się do siebie tak, jakby miały wspólną tajemnicę, której sensu nie sposób wyrazić w słowach, można ją tylko współodczuwać. O czymś trzeba było zapomnieć i tylko szlachetne, odpowiednio konsekwentnie „cięte”, niesiarkowane wino o piwnicznej temperaturze mogło na jakiś czas ukoić dręczoną zwątpieniem i wspomnieniami duszę, by nie czuła się całkowicie bezdomna w świecie pełnym ludzi. W restauracjach, gdzie wino podawano do potraw, zdarzały się czyste, wypielęgnowane trunki o przyjemnym smaku, ale mało już było w stolicy miejsc, w których wino miałoby ten dziewiczy, niezafałszowany, ludzki i pradawny smak, którego poszukiwał Sindbad. W ciągu swej długiej kariery żeglarz spędził lata na poszukiwaniu czystego wina, jak poszukiwacz źródeł szuka ukrytych w głębi ziemi wód. Ileż to razy przystawał przed schludnymi, zachęcająco wyglądającymi szyldami szynków „Pod Wujaszkiem Piszta” czy noszących nazwy figur karcianych i odczuwał podniecenie właściwe badaczom, kiedy przekraczał wytarty próg, siadał przy stole poznaczonym śladami żaru papierosowego, nakrytym

niebieskim albo czerwonym obrusem i wychylał w takim nieznanym miejscu pierwszy kieliszek wina — z ufnością, bo człowiek zachowuje nadzieję do śmierci — ale po chwili tracił humor, bo człowiek do śmierci uczy się i przeżywa rozczarowania. Cztery tylko miejsca znał Sindbad w mieście, gdzie wędrowiec mógł podnieść do spragnionych warg szklankę z takim zaufaniem i spokojem, z jakim dziecko zwraca się ku piersi matki. Doświadczenia, obserwacje i poszukiwania terenowe pięćdziesięciu lat przyniosły tylko tyle, te cztery miejsca na obu brzegach Dunaju, gdzie można było nie mieć podejrzeń, niczego nie trzeba było tłumaczyć, kelner bez osobnej prośby stawiał przed przybyszem riesling, ten najszlachetniejszy z codziennych napojów — albowiem wino z góry Somló, książęcy trunek wśród win węgierskich, zniknął właściwie z piwniczek winiarni, tylko czasami znajdowano jakąś zasnutą pajęczyną flaszkę, którą znawcy w końcu żał było wypić, bo człowiek niechętnie korzysta z narodowych pamiątek celem zaspokojenia codziennych potrzeb. Wino z góry Somló, to było to! To wino przypominające kolorem kwiatowy olej z krajin południowych, przysłonięte mgiełką słodczy, lecz w swej wewnętrznej treści pomimo to charakterystyczne, którego winorośl hodowano już tylko w bardzo nielicznych winnicach, temperaturą, aromatem, smakiem i oleistą gęstością zachowało jeszcze coś z ducha win włoskich! W młodszych latach Sindbad nie żałował fатыgi i gotów był podróżować godzinę pociągiem osobowym, bo przypomniało mu się, że w Zsámábék, w szynku pana Aszta jest jesz-

cze coś w tej beczce, która kiedyś była pełnusięńka szlachetnego wina z Somló. (Powiedział mu o tym Poldi, jego ulubiony szynkarz z dzielnicy Tabán, w którego „Głębokiej Piwnicy” Sindbad zwykł jeść, pić, a nieraz nawet i spać, kiedy nachodziła go ochota zaszyć się gdzieś z dala od świata, by odwrócić się plecami do literatury i rodziny, oddać się trzydniowym rekolekcjom, samotnemu picciu i rozmyślaniu w winiarni). Sindbad lubił pić wino tylko tam, gdzie poważnym mężczyznom nie przeszkadzają hałaśliwi ludzie, chichoczące i wprowadzające zamieszanie niewiasty ani zagadujący człowieka przygodni alkoholicy. Podobnie jak bardzo mądre kobiety, które nie lubią, gdy podczas pieśzcot i pocałunków mężczyzna przemawia do nich, co jest zupełnie niepotrzebne, ponieważ mowa jedynie odwraca uwagę od miłości, tak samo Sindbad nie lubił, gdy w winiarni nazbyt rozmowni sąsiedzi przy stoliku zakłócali próżnymi opowieściami i bezmyślnym wielosłowiem ten wyjątkowy, milczący, pełen godności i skupienia stan ducha, jaki charakteryzował nastrój człowieka popijającego wino. W takich chwilach Sindbad rzadko się odzywał. Już po pierwszych trzech-czterech szklaneczkach stawał się poważny, jego na ogół zamyślane i uroczyste oblicze odmieniało się, nabierało surowości, i biada temu niedoświadczonemu obcemu, który w takich chwilach przysiadł się do stolika, by pod pozorem zawartej niegdyś znajomości niepokoić niepotrzebnymi pytaniami pogrążonego w zadumie pisarza, a był to stan duszy, który lubił jeszcze bardziej niż wino. Bo wino było tylko środkiem, sub-

stancją absolutnie niezbędną do osiągnięcia tego właśnie stanu; Sindbad, który był doskonale zorientowany w świecie poważnie i fachowo pijących, dobrze o tym wiedział, więc głęboko pogardzał takimi kompanami do kieliszka, którzy pili niejako na ilość, dla których opróżnianie szklanek stanowiło cel sam w sobie. W tych nielicznych miejscach, w których podawano wino odpowiadające nieubłaganym i surowym kryteriom żeglarza i jego towarzyszy o podobnych zasadach, wszystko było cudownie na miejscu, odpowiednio przygotowane i urządzone pod względem wymiarów, oświetlenia, zapachu i nastroju — naturalnie jeśli szynkarz chciał, by pijący u niego gość rzeczywiście odnalazł spokój duszy. Sindbad był przekonany, że tylko Węgier potrafi pić wino z godnością. Wszyscy inni oddawali się pijaństwu lub obmywali gardło.

Sindbad podniósł pod światło zieloną szklanekę napełnioną rieslingiem „Londynu” i pokręcił głową. Wino dało się wypić, niewątpliwie; żeglarz nie znał stronniczości w podobnych wypowiedziach, tak samo jak panowie Pál Gyulai¹ czy Keszler², krytycy literaccy, którym nie zdarzało się ferować ocen pod wpływem litości, współczucia czy przyjacielskich uczuć. W „Londynie” wino dało się wypić, owszem. Ale jak daleki był ten riesling od win, które w niektórych miejscach wytwarza się jeszcze w tym kraju, i które żeglarz szanował. Bo porządna

¹ Pál Gyulai (1826–1909) — historyk literatury, profesor uniwersytecki.

² József Keszler (1846–1927) — pisarz, krytyk teatralny.

winiarnia, jakich pozostało już niewiele, potrafiła zachować charakterystyczny smak kadarki z Soltvadkert czy rieslinga z okolic Füred z takim pietyzmem, z jakim w muzeum przechowuje się narodowe relikwie. Smak i zapach prawdziwego wina nie zależał od roczników i w szynkach Starej Budy oraz przy Alei Okrężnej doskonale o tym wiedzianno, pilnowali tego Szwabowie w niebieskich fartuchach, pieczołowicie doglądający moszczu w pachnących specyficzną stęchlizną piwniczkach, i dzięki mądrymu przemieszaniu w odpowiednich proporcjach różnych gatunków winorośli przez dziesięciolecia stawiali na stole gościa wino o tym samym smaku, zapachu i charakterze. Sindbad wiedział, że człowiek lubiący wino jest kapryśny jak księżniczki ze wschodnich baśni, i najmniejsza zmiana w typie i charakterze trunku rozgorycza mądrych i pryncypialnych pijących. Wino, niczym wierność kobiet i honor mężczyzn, musi być niewzruszone, w przeciwnym razie jest nic niewarte. Wino musi mieć charakter, wystarczy jedna fala zwątpienia, która ogarnie co bardziej doświadczonego pijącego, a nigdy nie wróci do winiarni, gdzie sójka w zawieszzonej nad szynkiem klateczce już witała go po imieniu, znano jego zwyczaje, jak zna się manie dziwacznego krewniaka, już o szóstej po południu rezerwowano dla niego stół, przy którym mógł się wygodnie rozsiąść, rozpakować z papieru przyniesiony tu wędzony schab, pogacze na skwarkach, zamówić do tej zimnej kolacji kwaszone ogórki i paprykę w occie, i nawet nie musiał kosztować postawionego przed nim w dwudecylitrowej szklance rieslinga —

bo mógł być spokojny o jego niezmienną jakość. Wino było dla Węgra druhem jak rumak i broń, towarzyszyło mu w zmaganiach życiowych, jak niegdyś giermkowie rycerzowi, wino pomagało znieść beznadziejność i bezsensowność życia, węgierskie wino zachowało w sobie coś z zapachu ziemi uprawianej krwią, potem i odwieczną pracą, walką i rozpaczą, lecz także światłem słońca, kiedy jego jesienne promienie okrywają złotym welonem obficie obsypane pomarszczonymi gronami winnymi, pachnące słodyczą wzgórza Tokaju czy Badacsony. W winie żył duch zapomnienia i otuchy. Sindbad wypił więc pół litra, dał znak, żeby przynieśli następny dzbanek i kiedy wychylił pierwszy kieliszek z niego nalany, kiwnął na kręcącego się w pobliżu w postawie pełnej szacunku i uniżenia posługacza, po czym powiedział cicho, czyniąc gest ręką i uśmiechając się pod wąsem, bo przyszło mu do głowy, że jego przyjaciel i bohater powieści, szalony pan Felvéghy, miał zwyczaj to mówić po pierwszym wypitym kieliszku podczas przyjęć, które czasami urządzał w „Białym Koniu” w Pozsony czy w osobnej sali Kasyna Narodowego dla aktorek, dziennikarzy, ziemian i znawców gonitw konnych:

— Węgier nie jest szczęśliwy.

Chłopak przytakując kiwnął głową. Nie, Węgier nie był szczęśliwy.

Ale Sindbad właśnie dotarł na pierwszy stopień tego specyficznego stanu duszy, który prowadził do codziennej nirwany. Z chłopcem od wina nie można było rozmawiać o tych sprawach. Więc zaczekał, aż Artur i Várdali, zakochany w literaturze młod-

szy redaktor, którzy właśnie przekroczyli próg „Londynu” i z minami pełnymi szacunku zbliżali się do Sindbada, zajmą miejsce przy stoliku, zaczekał, aż obaj milczący mężczyźni otrzymają zamówiony trunk, kiwnął na Artura, by zatrzymał przy sobie tych sześćdziesiąt pengó, które przyniósł, jako że naczelny redaktor wydał przekaz na honorarium za felieton do świątecznego numeru, ale Sindbad w pełnych przygód dniach nie lubił mieć na podorzędziu tak świętych pieniędzy, jak suma przeznaczona na mundurek egzaminacyjny dla Zsóki, i dopiero później wypowiedział pytanie, które już od dłuższego czasu go męczyło:

— Jak by wyglądały cztery decylitry?

Pytanie zostało postawione i wszyscy zapatrzyli się przed siebie. Nawet Artur, który — jeśli chodziło o wino — należał do obozu obojętnych, bo najchętniej pił bardzo mocno osłodzoną czarną kawę, rozejrzał się teraz dokoła z takim zakłopotaniem, jakby miał rozstrzygnąć kwestię dotyczącą życia i śmierci.

Pytanie zostało zadane, żeglarz spojrzał przed siebie i pokręcił głową. Várdali wydmuchiwał długie smugi dymu i błyszczącym wzrokiem wpatrywał się w żeglarza. Jako człowiek wprowadzony w tajniki sposobu myślenia i wewnętrznego świata Sindbada, doskonale rozumiał wagę pytania. Jak pięknie jest być świadkiem chwili historycznego przewrotu w życiu Węgrów, pomyślał Várdali. Subtelnym zmysłem, wyćwiczonym w łapaniu istoty sensacji, morderstw i wielkich wydarzeń, wyczuł wagę pytania

żeglarza, jak ogary czują zająca. Pytanie zostało zadane i w szynku „Londynu” już o nim wiedziano, szynkarz niespokojnie przyglądał się poustawianym na półce litrowym i półlitrowym butelkom, próbując na oko ustalić, ile to by było cztery decylitry. Pytanie zapadło również w duszę starszego kelnera, i ten fachowiec, który w swoich wydeptanych butach na gumowych podszewkach przez całe długie kelnerskie życie kręcił się wśród stolików nakrytych poplamionymi obrusami w rozmaitych restauracjach i gospodach, teraz niemo poruszał wargami, powtarzając je sobie i starając się wyczuć całą jego subtelność. Sindbad powiedział cztery słowa i nazwał coś, czego sens, zaskakujący i zdumiewający, natychmiast przeniknął do świadomości branży. Pytanie zostało zadane i uniosło się w powietrze — jak to sobie wyobraził Várdali — wypłynęło poza przyściemnioną dymem ścianę „Londynu” i wędrze się wszędzie, gdziekolwiek w tym kraju przygnębieni, poważni i milczący mężczyźni pochylają się nad dzbankiem, pytanie będzie żyło, dopóki Węgier podnosi szklanekę do ust; a więc będzie żyło wiecznie, pomyślał w świętym przejęciu Várdali. Sindbad wypowiedział to pytanie, oparł brodę na dłoni i zagłębił się we własnych myślach. Jego słowa zrozumie-li naprawdę tylko wtajemniczeni, którzy wiedzieli, że prawdziwym sensem ludzkich spraw jest nie tylko rzeczywistość, lecz również marzenia, które powstają z możliwości w niej ukrytych. Bo w świecie gastronomii było to pytanie wielkiej wagi, jak w świecie nauki zagadnienie prawa ciężenia czy relatywizmu. Wszak każdego dnia o każdej godzinie

zdarzało się tym kraju, że do któregoś z licznych szynków zachodził spragniony wędrowiec i zamawiał dwa albo trzy czyste decylitry, albo zamawiał od razu cały litr, jeśli już był w aż tak hulaszczym nastroju, ewentualnie prosił o klasyczny i zwyczajny szprycer lub o mały szprycer, „żarcik” czy „długi krok” — który Sindbad nazywał na ogół wodą lekarską — a także „dozorcę”, tę kapryśną i pomysłową mieszankę trzech decylitrów wina i dwóch wody sodowej; ale odkąd Węgier pije, nie zdarzyło się nigdy, by ktokolwiek na pierwszy ogień zamówił cztery decylitry czystego wina. Rzeczywiście, jak by to było? — myśleli Várdali, Artur, kelnerzy, właściciel „Londynu”; zwłaszcza Artur patrzył trochę wystraszony, z na pół otwartymi ustami, jakby zdawał jakiś szczególnie trudny egzamin i musiał odpowiedzieć na pytanie, które zmieni całość dotychczas znanych i obowiązujących zasad i ustaleń. Jak by to wyglądało? W czym byłoby podane? Sindbad i jego przyjaciele tak przywykli do używanych w lokalach naczyń i jednostek miar wina, że pytanie, które wybuchło ze skłonnej do filozoficznych rozważań duszy, postawiło ich wobec konieczności obmyślenia całkiem nowych form geometrycznych.

— No właśnie, jak by to wyglądało — powiedział Várdali i zadowolony zamrugął. Całą jego istotę wypełniła świadomość znaczenia chwili.

Ale Sindbad nie odpowiedział. Siedział z na wpół przymkniętymi oczami, jak to miał w zwyczaju, kiedy oddalając się od ludzi, wchodził w świat nirwany. Zaczynało się teraz coś, co było sensem jego życia.

Teraz zaczynało się milczenie.

Wszyscy, którzy siedzieli przy stoliku, czuli to i trwali w uroczystej ciszy. Kelnerzy przechodzili cicho na palcach obok milczącego stolika, wyszedł już ostatni gość, w restauracji rozpoczęły się te dwie godziny, podczas których nikt tu nie zagląda, kucharz gasi żar na palenisku, dziewczyny kuchenne podwijają gołe nogi w kapciach pod taboret i obliżując koniuszek ołówka, piszą list do swego chłopca na wsi, żona restauratora idzie do kina, sam restaurator zapuszcza żurawia w stronę łydki kelnerki wycierającej noże, a ostatni samotny gość siedzi w kącie niezauważalnie, jakby zrezygnował już z wszelkich ziemskich zaszczytów i nie chciał niczego innego, jak tylko cicho i uczciwie zakończyć tego popołudnia swoje samotne i bezcelowe życie. Szynkarz za pultem pogwizduje modny szlagier i zlewa pozostałe wina do butli okrytej wiklinową plecionką. Drzwi czasami się otwierają, ale to tylko gazeciarz z rogu przynosi wieczorną gazetę. Na ścianie wisi w oprawie ilustrowany magazyn, ale gość jest zbyt obojętny, by wyciągnąć po niego rękę.

W takich godzinach Sindbad lubił milczeć.

W takich godzinach lubił najbardziej podobne miejsca, po południu, pomiędzy czwartą a siódmą, kiedy zimny zapach tłuszczu i dymu powoli ulatuje przez otwarty lufcik, posprzątano już ze stołów, personel drzemie lub szuka sobie zajęcia w pustej sali, w mieście wszyscy biegają za interesami, szukają rozwiązania kłopotów i zaspokojenia namiętności, starszy kelner nie przeszkadza gościowi zadawaniem zatroskanych i grzecznościowych pytań, w sali panuje spokój i pokój jak w średniowiecznym

refektarzu. W takich godzinach Sindbad lubił pomilczeć w towarzystwie kilku starannie dobranych mężczyzn.

Teraz czuł, że ten szczególny dzień, podczas którego wszystko było takie samo, jak zawsze, lecz jednocześnie wydawało mu się, jakby to, co kochał, widział po raz pierwszy i ostatni w życiu, doszedł do punktu zwrotnego, kiedy z duszą wypełnioną pokojem mógł się oddać falom nirwany. Bo w głębi serca Sindbad wierzył w mądrość Wschodu i najchętniej przeżyłby życie w którymś z tamtejszych klasztorów, gdzie mnisi o ogolonych głowach są tak obojętni, jak trzcina w świętych jeziorach, i ból spływa po ich duszach jak kropla deszczu po liściu lotosu. Sindbad pragnął być takim mnichem. Ale życie zmusiło go do trwającej całe dziesięciolecie walki z literą, duchem, z demonem i innymi, bardziej niebezpiecznymi przeciwnikami, z którymi nie poradziłby sobie nawet święty Jerzy, pogromca smoka: z niegodnym otoczeniem, z niewiedzą, bezguściem, podrzędną literaturą i z głuchą nieczułością. I w tej walce Sindbad się zmęczył. Teraz siedział cicho przy stoliku w „Londynie”, w kręgu przyjaciół, i milczał jak ktoś, kto powiedział już wszystko o ludziach, i wie, że uczynił to na próżno, daremna wszelka pisanina, w ojczyźnie nie była ona zdolna poruszyć nawet ziarenka piasku.

Oparł głowę na prawej dłoni, nieruchomo wpatrywał się w jakiś znak na ścianie, jak Baltazar, który podczas uczyty ujrzał w sali swojego pałacu ognisty napis mane, thekel, fares, zgiełk i jazgot teraźniejszości ledwie doń docierały, patrzył w prze-

szość i rozmyślał. Artur i Várdali mówili cicho i nie zwracali się bezpośrednio do Sindbada. Várdali opowiadał o znanym bankierze, który w porannych godzinach zażył truciznę, ponieważ przegrał w karty pieniądze deponentów. Sindbad półuchem usłyszał tę wiadomość i machnął ręką:

— Umarli nie mewają tytuniu.

Jak dawniej, w godzinach prawdziwego milczenia, i dziś Sindbad wypowiadał tylko ostateczne, lakonicznie sformułowane prawdy. W żargonie peszteńskim oznaczało to, że jeśli ktoś umarł, nie warto o nim mówić, bo nie ma pieniędzy; umarły jest *quantité négligeable*, w świecie ludzkim to wielkość, którą można pominąć. (Várdali ukradkiem zapisał sobie tę sentencję na brzegu mankietu). W tej godzinie, w której żeglarz przygotowywał się do milczenia wśród przyjaciół, jak wschodni mnich przygotowuje się do medytacji, serce Sindbada i serce Budapesztu były coraz bardziej niespokojnie. Zbliżał się wieczór, nadchodziła szósta, kiedy zamykają się sklepy, panny od modystki kładą na nos puder ryżowy i tak starannie poprawiają swoje kapelusiki z piórkiem przed wytartymi lustrami śródmiejskich pracowni modniarskich, jakby w mieście żyli jeszcze prawdziwi elegancyści kawalerowie, którzy tego majowego wieczora zawiozą dorożką wybrane damy na młodą gęsinę i truskawki do Wippnera w Pustelni Marii; ale Sindbad wiedział, że w mieście pozostało już tak niewielu dżentelmenów, jak komet na niebie, młodzi stali się przeraźliwie trzeźwi, rozsądni i pozbawieni sentymentów jak starzy angielscy trenerzy na polach wyścigowych w

Alag, w majowe wieczory zapraszają damy najwyższej na kawę do śródmiejskich kawiarenek i już od ponad dwudziestu lat nie zdarzyło się, by jakiś pisarz czy aktor popełnił w tym mieście samobójstwo z powodu kobiety! W kawiarniach zapalają lampy, mocno wymalowane żony lekarzy i adwokatów obsiadają stoliki, grają w karty i dłońmi o pomalowanych paznokciach dają umowne znaki przychodzącym z banków, biur, gabinetów i urzędów młodym ludziom, którzy zachodzą na popołudniową kawę i gazetę do kawiarni, i z charakterystyczną dla stałych gości swobodą zajmują miejsca przy stolikach z kartką „zarezerwowane”, w osobnych salkach zbierają się kółka towarzyskie wyznające wspólne poglądy polityczne czy społeczne, krupierzy o kościstych dłoniach zaczynają tasować karty, miasto ogarnia już poczucie nachodzącego wieczoru, to subtelne i smutne podniecenie, w którym mieszają się pragnienie i beznadziejność, nienasycenie i kłopoty pieniężne. Na fasadach poczerniałych od zmarwień lokalów, sklepów i teatrów rozbłyskują neony, miasto tak straszliwie się zmienia, jak karawanseraj, w którym wszyscy szukają swego szczęścia. Ale Sindbad milczał, bo wiedział, że szczęście wyprowadziło się w inne okolice i pozostawiło po sobie tylko ślad lekkiej stopy w czerwonej glince ścieżek na Wyspie. Ten ślad widział teraz wyraźnie Sindbad swoim indiańskim spojrzeniem; i milczał.

Około siódmej zbudził się Artur i powiedział ostrzegawczym tonem:

— Możemy zacząć wracać do domu, panie Sindbadzie.

— Możemy — odparł Sindbad.

Ale nie zaczął.

Oczyrna duszy widział dom w Starej Budzie, w którym już dla niego gotowano i pieczono, może nawet nalano nafty do lampy naftowej i przygotowano nadziewaną kapustę, dokładnie według jego poleceń. Stół został nakryty jak wypada i Zsóka przyniosła wino z piwniczki pana Mókusa. Żeglarz czuł, że nadszedł czas nieuchronnego powrotu do domu, bo jest późno, zakończył swoje sprawy, napisał, co chciał, a pieniądze, które miał zamiar wydrzeć skąpemu miastu, drzemiał w wewnętrznej kieszonce żakietu wiernego famulusa; widział Budapestzt tego wiosennego dnia, widział miejsca, w których spędził wiele pięknych godzin młodości i wieku męskiego, i nic więcej nie wiązało go z miastem, którego mieszkańcy zdyszani gonili tego wiosennego wieczoru za rozrywką, jakby wędrowny przekupień wabiący klientów w Lasku Miejskim sprzedawał coś jeszcze poza oszołomieniem i nudnościami, jakie wywołują wirowanie karuzeli, wiosenne podniecenie i wielkie rogale. Zastanawiał się, co jeszcze mógłby zrobić. Mógł zajrzeć do koła literackiego, gdzie o tej godzinie zazwyczaj zapalano już lampy w pokojach karcianych, a gracze zajmowali miejsca przy zielonych stolikach z tak mądrym, nieprzystępnym, wszyskowiedzącym, nieustraszonym, za to znającym i rozumiejącym wszelkie ludzkie tajemnice spojrzeniem, jakby to było stoły rokowań przy Downing Street czy sala pałacu Quai d'Orsay, gdzie decydują się losy ludów i kontynentów. Oczyrna duszy Sindbad widział wyraźnie te sale, gdzie

fortuna niczym rozchichotany pajac bawi się ludzkimi losami, ale wzruszył ramionami, bo nie miał już żadnych nadziei na poważniejszą zmianę losu, osiągniętą przy karcianym stoliku, i żałował pieniędzy, które musiałyby jednak odebrać Arturowi przymocą, bo wiedział, że suma przeznaczona na mundurek egzaminacyjny Zsóki wylądowałaby w końcu w kieszeni któregoś z redaktorów pism. Nie był już też ciekaw nowych informacji i mądrości życiowych, które zdobywał zazwyczaj w kręgu ludzi dobrze poinformowanych; znał już najważniejszą mądrość, która mówiła, że życie przemija. Zdyszane miasto pędziło ku czerwonym światłom wiosennego wieczoru i żeglarz zamyślił się, gdzie też jeszcze mógłby pójść, zanim wróci do Starej Budy, na kolację do domu, jak przystoi głowie rodziny, mężczyźnie, który w ciągu dnia w śmiały i przebiegły sposób zdobył w smutnym mieście pieniądze na utrzymanie bliskich. Była siódma, zrobiło się późno, ale Sindbad nie należał do gości zrywających się nagle od stolika, do którego raz zasiadł, wybrawszy go z niezbędnym namysłem i przezornością. Zdarzało się, że przesiedział w przyjaznym kącie winiarni nawet dwie-trzy doby, i nie lubił współbiedników, którzy nerwowo, ze zbytecznym pośpiechem podrywają się już następnego dnia, jakby człowiek mógł mieć na tym świecie sprawy naprawdę niecierpiące zwłoki. Sindbad kochał rzeczy wieczne, winiarnia, wino, nirwana, rozważania, Budda i mądrość — to były rzeczy wieczne. Dlatego i teraz z poczuciem winy, ale także pewnego niezadowolenia spojrział na Artura, który po siedmiu godzinach w tak

gadatliwy sposób przypominał mu o powrocie do domu.

Zirytowany spojrzął przez smugę dymu z papierosa na gawędziarza i zrobiło mu się nieprzyjemnie na myśl, że w Starej Budzie upieczono już schab. Tego wieczoru Sindbad chciał koniecznie wcześniej wrócić do domu. Ale w nastroju całego dnia było coś, co ostrzegało go, że wszystkie te godziny różnią się od wielu tysięcy dni i godzin, które żeglarz przeżył. Wino w „Londynie” dawało się pić i w umyśle Sindbada niejasna pamięć wszystkiego, co przeżył, zmieniała się w mglisty twór, przypominający postać, która wypływa z ust medium na seansach spirytystycznych, ma ręce, nie jest jednak człowiekiem, odzywa się, ale nie przemawia normalnym ludzkim głosem. Sindbad chciał wracać do domu, ale jakiś sekretny głos szeptał mu, że ten dzień pełen jest niepojętej treści, nie trzeba się spieszyć, jeszcze zdąży wrócić do domu. Zmierzchało, ale Sindbad nie poruszał się.

Majowy wieczór opadł na smutne miasto jak sen, w którym człowiek śni o własnej młodości.

Przez chmurę dymu papierosowego Sindbad widział w szybach „Londynu” pogrążające się w zmierzchu ulice, które znał tak dobrze, jak żebracy wnętrze wędrownej torby. O tej porze spragnione, niespokojne i podniecone miasto zaczynało żyć. Sindbad widział pokoje, w których kobiety ubierały się na wieczorną randkę, widział stancje, w których peszteńscy mężczyźni mokrą szczotką odświeżali kołnierzyk i łokcie swego jedyne go wiosennego płaszcza, słyszał słodką melodię pogwizdywaną przez

biednych i nieszczęśliwych młodych ludzi i brzęk drobniaków w kieszeniach ich spodni; widział kuchnię przy ulicy Jenő Zichyego w mieszkaniu Jolandy, mądrej kobiety, która wysiadywała na taborecie w otoczeniu psów i kotów, podczas gdy przez sień i pachnący potrawami korytarz bez zakłócenia wchodziła i wychodziła wszelka miłosna nędza Budapesztu — kobiety nuciły, mężczyźni zduszonym, ochrypłym głosem prosili i obiecywali. Na to wspomnienie mądry człowiek przymyka na chwilę oczy i zastanawia się pod koniec życia, czy dla jakiegokolwiek uczucia warto było w ogóle wstawać sprzed kominka? Sindbad widział to wszystko i chciał wracać do domu, do Starej Budy, wcześniej, jak radził Lew, bo nie miał już czego szukać w tym mieście.

— Trzeba wracać do domu — powiedział mimowolnie do Artura.

Gawędziarz ocknął się i przytaknął z zadowoleniem. Dorożkarz, który w oczekiwaniu na rozkaz żeglarza drzemał przy stoliku obok szynkwasu, zaczął nasłuchiwać. „Jak widać, tym razem pan Sindbad nie będzie miał trzydniówki” — pomyślał ze smutkiem, bo przeżył już w towarzystwie żeglarza kilkudniowe budapeszteńskie dzienne i nocne przejażdżki. Sindbad chciał wracać do domu, jak już tyle razy w życiu przez pięćdziesiąt pięć lat; nic go tu nie zatrzymywało. W „Londynie” powoli pozapalano żyrandole, lecz do pogrążonej w półmroku sali wpadało też światło lampy ulicznej, wokół której niczym wokół złotego słońeczka oszalałe ómy tańczyły swój wiosenny kolisty taniec. Artur spał, i nawet Várdali milczał tak głęboko, jakby tego wiosen-

nego wieczoru zrozumiał w towarzystwie Sindbada, że daremne wszelkie wysiłki, nawet po najmądrzejszym człowieku któregoś dnia pozostanie tylko krótka wzmianka prasowa. Sindbad już prawie poruszył się, żeby opuścić miasto, które tego wiosennego dnia dane mu było zobaczyć jeszcze raz i gdzie już tylko częściowo odnalazł rzeczy na swoich miejscach, jakby łom czasu zburzył imponujący i szlachetny gmach przeszłości; poruszył się, żeby wrócić do życia, od którego nie oczekiwał już cudu, tylko spokoju i zapomnienia.

— Możemy zacząć wracać do domu — powtarzał co jakiś czas gawędziarz, po czym znów zapadał w drzemkę.

W takich chwilach Sindbad potakująco kiwał głową. Od pięćdziesięciu pięciu lat szykował się, by wrócić do domu. Ale to przedsięwzięcie nigdy mu się nie udawało. Dlatego teraz też nie spieszył się.

Zresztą trudno by mu było teraz zbierać się do wyjścia, bo drzwi się otwały i do restauracji „Londynu” zaczęły przybywać dziwne figury. Jak dźwięki fujarki szczurołapa z Hameln, tak wieść, że Sindbad odwiedził Peszt — był w łaźni, pisał, a teraz milczy w „Londynie” — przyciągnęła ludzi, którzy dzięki niepisanemu prawu braterstwa przynależeli do świata Sindbada. Jako pierwszy przyszedł Elemér, który był autorytetem i jednostką samotną. Mrużąc oczy, stanął w drzwiach „Londynu”, niewysoki, rudowłosy i zawsze trochę zagniewany jak jeden z krasnoludków na ruchomym obrazie o Królownie Śnieżce, rozejrzał się nieufnie dookoła i póki nie ujrzał Sindbada, jego surowa twarz nie złagod-

niała. Zjawisko to stolik Sindbada przyjął z szacunkiem. Artur natychmiast się ocknął, a Várdali cmoknął językiem, jakby poganiał do galopu niewidzialne konie. Sindbad również podniósł przechyłoną na bok głowę o rozmarzonym, zamglonym pod wpływem wspomnień i rieslinga spojrzeniu. Elemér bez słowa podszedł do stolika, z uśmiechem zdradzającym zmieszanie, jak zawsze, kiedy opuszczał swój prawdziwy świat — Starą Budę, koło literatów oraz kilka szynków przy ulicy Tytoniowej¹ — zmieszany, lecz z powagą i świadomością człowieka, który dokładnie rozumie wagę swych odwiedzin i chciałby, jeśli to możliwe, pozostać nierozpoznany, niczym wielki artysta lub upadły, niegdyś fetowany, niebezpieczny polityk. Przyszedł Elemér i wieść o tym, że tego popołudnia, zerwawszy ze swym odwiecznym zwyczajem, nie wrócił z koła literatów prosto do Starej Budy, gdzie sprzedawano pewien rodzaj kadarki, którą Elemér stanowczo i nieodwołalnie uznawał za „niedoścignioną”, obiegła miasto, ludzie należący do kręgu Sindbada wiedzieli o tym wydarzeniu, powiadamiali się w redakcjach, telefonowali, jakby w życiu miasta zaszło coś naprawdę nadzwyczajnego. Albowiem świat Sindbada był światem zamkniętym, dlatego wiadomość, że żeglarz przyjechał ze Starej Budy do Pesztu, poruszyła ludzi. „Elemér siedzi w «Londynie» z Sindbadem!” — mówili wtajemniczeni, jak w swoim czasie mówiono zapewne o spotkaniu Goethego i Beethovena w Karlsbadzie. Tak, Elemér siedział w

¹ Dohány utca.

„Londynie” i wiecznie łzawiącymi oczami, wilgotnymi od jakiegoś dawnego i wstydliwego wzruszenia, nieufnie mrugając, spoglądał na wino, które postawił przed nim szynkarz. Elemér miał wilgotne oczy, bo wierzył w tylko jeden rodzaj kadarki i jego kompani wyliczyli w wolnych chwilach, że już dawno doszedłby do pustyni Gobi przy tej cierpliwości i wysiłku, z jakimi od dziesięcioleci każdego dnia wyruszał z ulicy Tytoniowej, by tramwajem numer pięć dotrzeć na czas do Starej Budy, na ocienione morwami i orzechami podwórko uroczej winiarni przy ulicy Wiewiórczej¹, która miała pobielone ściany i zielone żaluzje. Ale Elemér nie pojechał do Starej Budy, ponieważ Sindbad był w mieście i szukał pamiątek po zanikającym życiu i świecie; i była w tym fakcie jakaś głęboka, rozpoznawalna tylko przez znających się na rzeczy wytworność i rycerskość, że odwiedził Sindbada w „Londynie”, usiadł przy stoliku przyjaciela i odmówił sobie tego wieczoru zwyczajowej kadarki, a uczynił to bez słowa i z elegancją, jak średniowieczni rycerze, którzy potrafili ponieść ofiarę dla przyjaźni. Elemér podniósł do ust zieloną szklaneczkę rieslinga podawanego w „Londynie”, a Sindbad, Várdali i gawędziarz przyglądali się temu z takim zainteresowaniem, z jakim pracownicy domu aukcyjnego oczekują na opinię zaproszonego z Luwru historyka sztuki na temat znalezionej na poddaszu pięknej, lecz trochę podejrzanej średniowiecznej Madonny. Elemér napił się — napił się? Jakież to pospolite słowo! Elemér

¹ Mókus utca.

skosztował wina, a potem je wypił, i w całym rytuale, z jakim podniósł szklanekę do ust, przymknął oczy, przełknął pierwszy łyk, kryło się wielkie, niepodważalne doświadczenie, fachowość i mądrość samotnego i surowego męskiego żywota. Elemér pił tak, jak Franciszek Liszt grał na fortepianie. Sindbad wiedział o tym, dlatego z sympatią i szacunkiem przyglądał się, jak jego stary przyjaciel kosztuje wina. Elemér poświęcił najpiękniejsze lata zmierzchu życia, by kontrolować, czy w co bardziej znanych budapeszteńskich gospodach szynkarz nie dolewa czasami mętnego osadu ze spodu beczki do świeżego piwa, wysiadywał w lokalach z wytrwałością myśliwego na czatach, wybierając stolik pod kątem odpowiedniego ustawienia do pulpitu, skąd mógł nie spuszczać oka z podejrzanych ruchów szynkarza; zresztą również w innych sprawach był to człowiek milczący, nieugięty i surowy, jeden z niewielu, którzy zachowali jeszcze męskie cnoty i pielęgnowali piękny zwyczaj przyjaźni.

Sindbad chciał wracać do domu, bo wiedział, że na ulicy Kościelnej już na niego czekają. Ale skoro przyszedł Elemér, gotów jak rycerz i przyjaciel spędzić z nim czas, Sindbad zrozumiał, że tego wieczoru nie będzie jadł w domu nadziewanej kapusty. Zawsze tak było, przez pięćdziesiąt pięć lat. Elemér wypił wino, głęboko się zamyślił, zapalił papierosa, zakaszłał, zasłonił się chustką do nosa, i dalej milczał, czerwony i zagniewany. Elemér nie ufał podanemu winu, podobnie zresztą jak nie ufał światu. Był już stary, kiedyś pracował w dziale korespondencyjnym gazety rządowej, pocieszał zmartwione

matki obawiające się o przyszłość córek, które miały wypryski na plecach, dodawał otuchy rozgoryczonym prenumeratom z Makó cierpiącym z powodu niewierności ukochanej lub grzybicy stóp, wiedział wszystko, znał balsam na każde zmartwienie, lecz odszedł z redakcji, ponieważ w końcu zaczął wszystkim pisać prawdę i prenumeratorki obrażali się z powodu jego okrutnych słów. A teraz Elemér siedział czerwony, zagniewany, łzawiący i nieufny, a jednak z niewypowiedzianym dobrym uczuciem w sercu, ponieważ siedział przy jednym stoliku z Sindbadem. Otworzyły się drzwi i wszedł Pista Kászonyi, który znał osobiście dwie aktoreczki i czasami przynosił Sindbadowi niepokojące wieści o zwyczajach i moralności młodego pokolenia; wszedł i zajął miejsce po lewicy Sindbada, szczupły i elegancki niczym urzędnik z ministerstwa spraw zagranicznych, który trochę pogardza własnym zajęciem, notami i ultimatami, włosy z precyzyjnym przedziałkiem na środku głowy miał tak starannie uczesane, jakby przyszedł prosto z przyjęcia w ogrodach króla angielskiego, gdzie w otoczeniu krzewów tui zabawiał rozmową żonę posła rosyjskiego, a granatowy garnitur czynił go zjawiskiem tak wytwornym, jakby kandydował na stanowisko nowego ministra spraw zagranicznych, którego nazwisko wymienia się już w gazetach. Delikatną, kościstą dłonią sięgnął po szklankę ze szprycerem tak niedbałym ruchem, jakby przed chwilą przegrał w karty majątek na Wołyniu w wiedeńskim Jockey Clubie w towarzystwie szalonego Szemere, i nie miał innych zmartwień poza tym, że przekroczył czter-

dziestkę, należał do świata Sindbada, ale na niczym w ogóle się nie znał. On też usiadł przy stoliku i pogрузił się w milczeniu.

Teraz wreszcie Sindbad czuł się dobrze; w świecie, który tymczasem stał mu się obcy, znajdował się w miejscu, które lubił, i z ludźmi, których cenił. I choć nie poruszył się, wydawało się, jakby w niepojęty sposób, w bardziej skomplikowanym sensie, jeszcze raz postanowił, że ostatecznie wróci do domu.

— Może to jednak będzie trzydniówka — pomyślał przy szynku z nadzieją dorożkarz.

Świtało, kiedy Sindbad w towarzystwie gawędziarza rozparty na siedzeniu starej dorożki dojechał przed parterowy domek przy ulicy Kościelnej.

Dom pograżony był w głębokim śnie, żaluzje miał zamknięte, wyglądał jak obrażona żona, której znudziło się czekać na męża-hulakę. Sindbad otworzył duże, ciemne oczy, dokładnie przyjrzał się domowi, zaciągniętym żaluzjom, wczesnemu słońcu na niebie i głęboko westchnął. W pierwszym świetle, po nieprzespanej, przemilczanej nocy żeglarz wydawał się szczególnie blady.

Dorożkarz dumnie królował na koźle, nie było po nim widać ani śladu zmęczenia. W porannej ciszy Stara Buda głęboko spała, chrapiąc i sapiąc. Sindbad wygramolił się z dorożki, wyprostował się, przeciągnął i spojrział na taksometr, który o tej godzinie pokazywał sumę pięćdziesiąt pięć pengó.

— Artur — powiedział cicho i szturchnął współpasażera w kostkę.

Dał mu znak, żeby sześćdziesiąt pengó, honorarium za felieton do świątecznego numeru, których Artur strzegł od południa, zapłacił teraz dorożkarzowi. Po czym nakazał mu, by zawiózł jego sekretarza do budańskiego hoteliku, gdzie wszystko było tak beznadziejne, że nawet Artur nie potrafił spać w tamtejszych dusznych pokojach. Stojąc na progu domu, odwrócił się jeszcze za oddalającą się dorożką, konikami, widział wełnistą siwą głowę Artura, po czym wszystko zniknęło w porannym świetle na zakręcie ulicy Lajosa.

W Starej Budzie panowała cisza. Tylko od strony uliczki San Marco ktoś pogwizdywał, ktoś spieszący do pracy lub wracający z nocnej schadzki, a gwizdał tak pełną piersią, tak radośnie, jakby ruszał na wielką majówkę, gdzie na życiowych rozbitków czekają zielono-czarne lasy, jasne i ciepłe, cieniste polany, kobiety o pulchnych ramionach, piwo z beczki i kiełbasa myśliwska. Sindbad nasłuchiwał tego radosnego, swobodnego gwizdania o świcie, spojrzął na niebo, które miało barwę pruskiego błękitu, i wzruszył ramionami. Lekko drżącą dłońią nacisnął klamkę i wszedł do domu, w którym czuło się jeszcze zapach wieczornego gotowania i zimnej kapusty nadziewanej.

Wszedł na palcach do swego pokoju, przystanął w ciemności i nie rozsunał żaluzji. Domownicy spali, jeszcze trochę obrażeni, ale już uspokojeni, bo czuli przez sen, że zbłąkany gospodarz powrócił. Sindbad poszukał zapalek, zapalił świeczkę, wcisnął ją w szyjkę butelki i postawił obok łóżka, rozebrał się niepewnymi ruchami i położył się. Leżał w

koszuli nocnej i był bardzo blady. Patrzył na sufit, na którym płomień świecy rysował dziwne figury, potem na meble, które milczały jak chór spiskowców w operze, na ubogie sprzęty, które do niego należały. W szafie wisiało piętnaście koszul, dwa ciemne ubrania i frak. „Pochowają mnie we fraku, jak księcia, który zawarł morgantyczne małżeństwo, albo jak kelnera” — pomyślał Sindbad. W drugiej szafie leżały książki, sto tomów, które napisał Sindbad, niemal mimochodem, kiedy miał w życiu trochę czasu; teraz zdziwił się, kiedy i gdzie miał czas, by napisać te wszystkie książki? Płomień świecy oświetlał łóżko Sindbada i liczne zeszyty powieści Jókaiego porozkładane na krzesłach i stoliku obok łóżka. Wyciągnął rękę po jeden z tych pomarańczowych zeszytów, była to *Niebieskooka*. Zaczął kartkować powieść, ale przy słabym świetle ledwie odróżniał litery, a zresztą świat pociemniał mu przed oczyma. Wypuścił więc zeszyt z dłoni, zamknął oczy i złożył ręce na piersi. Teraz naprawdę wyruszył w podróż; serce, które jeszcze przed kilkoma chwilami dziko waliło w piersi, jakby powtarzało oskarżenia Lwa, ogarnął teraz głęboki, nieznany spokój.

Żeglarz powrócił do domu. Leżał samotnie na łóżku przy płomieniu świecy, oczy miał zamknięte i uśmiechał się.

Czerwony dylizans po raz ostatni wyruszył w drogę, Sindbad słyszał rzenie muśniętego batem gnidosza, surowy, ostry dźwięk mosiężnej trąbki pocztyliona, dobiegający z powozu kobiecy śmiech i głęboki głos męski. Tak śmiała się Irma Kronprinz, a właścicielem męskiego głosu był Kázmér Rezeda,

klął Felvéghyego, szalonego pana, który zabiera kobiety w podróż, choć mądrzej by było nie ruszać się więcej z Dzielnicy Wodnej, bo świat stał się nieznanym, niegodnym zaufania i przerażającym. Sindbad słyszał turkot powozu i widział okolice, przez które czerwony powóz przejeżdżał; widział wszystkie dekoracje życia i uśmiechał się przez sen. Sindbad, żeglarz, czuł, że po tylu nieudanych i beznadziejnych wędrówkach czerwony dyliżans z pasażerami wreszcie powraca do domu. Powóz toczył się w majowym świetle i było w nim, podróżowało w nim to wszystko, co Sindbad w życiu kochał i przez co cierpiał. Poczytliwion w cylindrze powoził niespiesznie, minął stanicę celną w Hatvan, za oknem powoli przesuwało się wszystko, co było czarem, urokiem, elegancją i sensem życia. Świat pozostał w tyle za dyliżansem i Sindbad uśmiechał się, bo wiedział, że z tego świata, z którym nie mamy już nic wspólnego, należy odejść o właściwej porze.

Uśmiechał się i podróżował, bo wreszcie powracał do domu.

Świeca dopaliła się do końca i ostatnim błyskiem oświetliła twarz żeglarza. Ta twarz z zamkniętymi oczyma była teraz pełna mądrości, obojętna i surowa. Tylko na Wschodzie mężczyźni potrafią tak obojętnie i z godnością przyjmować, że coś się kończy.

ZAPIS ODCHODZĄCEGO ŚWIATA

Literatura węgierska miała swojego czarodzieja, który jak nikt inny potrafił opisać nastrój Węgier w ostatnich dziesięcioleciach monarchii, atmosferę Budapesztu, lecz także małych miasteczek i wsi, przedstawić rozmaite szalone figury, dziwne i zachwycające typy, słowem, stworzyć świat gęsty, niepowtarzalny, i opowiedzieć o nim w charakterystycznym stylu, który rozpoznajemy od pierwszych zdań tekstu. Tym czarodziejem był Gyula Krúdy.



Postać wiecznego żeglarza Sindbada, bohatera ogłaszanych od 1911 roku przez blisko dwadzieścia lat opowiadań, Gyula Krúdy zaczerpnął z przeczytanego w latach młodości zbioru *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Jego Sindbad odziedziczył niespokojną naturę pierwowzoru, gnany z miejsca na miejsce nigdzie nie potrafi zatrzymać się na dłużej. To mężczyzna samotny, wciąż odgrywający przed światem rozmaite role i poszukujący esencji życia w każdej nowej przygodzie miłosnej; żadna ze spotkanych kobiet nie zdoła jednak uspić odzywającego się w duszy Sindbada wiecznego instynktu wędrówki. Przygody i podróże, które utrzymują go w atmosferze wiecznej tymczasowości i są przyczyną towarzyszącego mu wszę-

dzie poczucia obcości, stanowią zarówno ucieczkę, jak i poszukiwanie: Sindbad ucieka od beznadziejnej codzienności i poszukuje nowych wrażeń, które ubarwiłyby jego życie i dodały mu smaku. Pozuje więc na romantycznego zalotnika, obdarza kobiety kłamstwami, lecz w końcu zawsze spotyka go rozczarowanie. Ani nastrojowe schadzki, ani kulinarne rozkosze nie są w stanie na trwałe odmienić nudy i szarości życia. W późniejszych opowiadaniach Sindbad coraz częściej konfrontuje się z pustką swoich ról, wieczna niezależność i wolność, oznaczające przecież także brak wszelkich więzi, przestają mieć dla niego bezwzględną wartość, coraz częściej dostrzega sens przewidywalnej codzienności i uroki prozaicznego ustatkowania się. Przygody nie pociągają go już tak, jak dawniej, przeciwnie, konfrontując się z nadchodzącą starością, zaczyna tęsknić za uregulowanym trybem życia, potrafi docenić dobre samopoczucie, apetyt i pogodę ducha. Starzejący się Sindbad nie odgrywa już ról, niegdyśiejszy donżuan staje się trzeźwym, mądrym, pozbawionym iluzji stoikiem.

Takiego Krúdyego poznał pod koniec lat dwudziestych Sándor Márai. Bo choć Krúdy zazwyczaj zaprzeczał, jakoby Sindbad miał stanowić jego alter ego, elementy autobiograficzne opowiadań, a nade wszystko poglądy życiowe pisarza, motyw krytycznej oceny własnego życia i ironiczny ton refleksji stały się podstawą jednogłośnego i niepozostawiającego wątpliwości werdyktu historyków literatury: Sindbad to Krúdy.

Márai uważał go za największego węgierskiego pisarza epoki i był nim zafascynowany przez całe życie. Po śmierci mistrza napisał: „Jego życie interesuje mnie w nie mniejszym stopniu niż utwory. Zebrałem o nim wszyst-

ko, co się dało, wypytywałem o niego kelnerów i karcia-
rzy, kobiety i kompanów. Intrygował mnie ten cud, ta nie-
zglębiona tajemnica, sekret pisarza, który się nie myli.
Rzadkie godziny, które dane mi było spędzić w jego to-
warzystwie, uważam za największe wyróżnienie, jakie
mnie w życiu spotkało. Chciałbym kiedyś napisać, co o
nim wiem i przypuszczam. Obiecałem mu to, a on trzy-
ma mnie za słowo”.

Opublikowaną w 1941 roku, a więc w osiem lat po
śmierci mistrza powieścią *Sindbad powraca do domu* Márai
dotrzymał obietnicy. Uczynił to w sposób brawurowy i w
literaturze węgierskiej dotychczas właściwie nieznany:
uciekając się do formuły pastiszu opisał jeden wyobrazo-
ny dzień życia Krúdyego. Czytając powieść, mamy wra-
żenie, że napisał ją Krúdy, a postać Sindbada umożliwia
odbiór tej książki jako jego powieści. Ale ponieważ bo-
hater łączy w sobie całą naszą wiedzę i wyobrażenia o Krú-
dym, staje się ona dla nas książką o nim samym, konkret-
nie zaś o dniu 12 maja 1933 roku, w którym rzeczywiście
zakończył życie w skromnym parterowym domku przy
ulicy Kościelnej w Starej Budzie.

Jednym z głównych motywów powieści jest samotność
i bezdomność. Utracony dom przepadł wraz z iluzorycz-
nym bezpieczeństwem, niezmiennością i swojskością mo-
narchii austro-węgierskiej, a szczególnie scenerii środo-
wiska kultury i obyczajów, zamkniętych w formach ma-
terialnych, które na potrianońskich Węgrzech zacho-
wały się jedynie w literaturze i oplatających ją legendach.
Na kartach powieści odbywa się rekonstrukcja material-
nego kontekstu dzieła życia Krúdyego oraz związanej z
nim ściśle i podtrzymywanej przez pisarza własnej legen-
dy, która mogła powstać jedynie w takim konkretnym

środowisku kulturalnym, jakim była monarchia. „W tej prozie ożywa smak dawnego życia, ducha, poezji, goreje w niej tak mocny, szlachetny płomień, jak w starych palinkach siła i smak orzechów dawnych lat. Pisze o świerszczach, o zbójnikach, o rozpustnych kobietach, które chadzały na cmentarz zażywać miłości ze studentami... pisze o wszystkim, co ma w życiu sens” — zanotował Márai w dzienniku bezpośrednio po wojnie.

Ogląd tego pastiszu „od podszewki”, porównanie stylu Krúdyego z językiem i formą narracji powieści *Sindbad powraca do domu* świadczy o doskonałej, drobiazgowej znajomości warsztatu drugiego pisarza. Na Węgrzech mawia się, że literacki hołd złożony przez Máraiego jest niejako „najlepszą powieścią Krúdyego”. Jednak istotą, celem pastiszu był zapewne nie tylko błyskotliwy efekt, imponująca imitacja stylu, „dopisanie” niejako do dzieła Krúdyego jeszcze jednego utworu, lecz ukazanie, jak zapada się w nicość dawny świat, o którym tak przejmująco i zarazem ironicznie rozmawiają ze sobą w kawiarni „Czikago” literacki kelner Ede i bohater powieści. Śmierć Sindbada jest jakby ostatnim aktem tego procesu, w późniejszych czasach próżno szukać dawnych zwyczajów, tradycji, niegdysiejszego trybu życia. Przedtriańskie Węgry na naszych — i Sindbada — oczach zapa-
dają się w niebyt.

Cały środkowy fragment książki, rozgrywający się w „Czikago”, to właściwie wielki pomnik postawiony pisarzom odchodzącej epoki i literaturze węgierskiej, powstającej jeszcze według dziewiętnastowiecznego kanonu, choć odkrywającej już w sobie nowe, żywotne soki i możliwości, literaturze oddziałującej jeszcze na społeczeństwo i ważnej dla czytelników. Oglądamy widmową gale-

rię charakterystycznych postaci ówczesnego świata literackiego; wiele z nich można rozpoznać bez żadnej trudności, niektórzy, w tamtych czasach znaczący, odeszli jednak w niepamięć. „Czikago” jest kryptonimem najświetniejszej bodaj kawiarni literackiej Pesztu, która początkowo nazywała się „New York”, a po drugiej wojnie światowej została przemianowana na „Hungarię”. Przez jej ozdobione licznymi portretami pisarzy wnętrza przewinęli się zapewne wszyscy autorzy XX wieku, wysiadali tu godzinami nad małą czarną i szklaneczką wody sodowej, pisali i prowadzili życie towarzyskie. (Obecnie ta położona w doskonałym, centralnym punkcie miasta kawiarnia została sprywatyzowana, luksusowo odnowiona, a wysokie ceny stanowią dla znakomitej większości pisarzy zaporę nie do przebycia).

Lecz choć Márai ukrywa się za plecami mistrza i wspólnie naśladuje ton i styl Krúdyego, przemawia w tej powieści naturalnie również własnym głosem. Świadczą o tym chociażby fragmenty dotyczące pracy pisarskiej Sindbada i sposobu, w jaki pojmował literaturę, uczyniłszy ją najważniejszym celem swego życia. Dotarłszy do kawiarni „Czikago”, Sindbad zabiera się do napisania zamówionego felietonu. Następnym kilkanaście stron wyjaśniających, „o czym pisał Sindbad” i „dlaczego Sindbad pisał” może być bez wątpienia potraktowane jako własne wyznanie Máraiego. Albowiem literatura również dla niego była najważniejszym celem życia. Niemniej Krúdy umarł w biedzie, pozostawił po sobie długi i na kilka miesięcy przed śmiercią wyłączono mu nawet światło, bo nie miał pieniędzy, by zapłacić rachunki. „...otrzymywał zawsze haniebnie niskie honoraria. Na pisaniu książek nigdy nie można było zarobić, teatr go nie interesował,

za felietonowe arcydziełka i główki do wiadomości gazety płaciły mu żebracze grosiki” — czytamy w powieści Máraiego *Ziemia! Ziemia!...* Stąd gorycz słów Sindbada mówiącego, że literatura nigdy nic mu nie dała; odnajdujemy ją również w pisanim w ostatnim okresie życia *Dzienniku Máraiego*.

Od razu należy dodać, że ani w świecie Krúdyego — ani tym bardziej w wizji Máraiego — nie ma nostalgii, choć niewątpliwie jest pewien smutek. Całkowity brak iluzji w stosunku do opisanych bohaterów i ich świata, ironia, z jaką ich przedstawiał, sprawiły, że na początku XX wieku Krúdy doskonalej niż pisarze nurtu realistycznego potrafił ukazać groteskowość i swoistą widmowość, przeszłość i atmosferę przemijania węgierskiej klasy historycznej zwanej z angielska „gentry”, wywodzącej się ze zbiedniałego ziemiaństwa, przywiązanej pomimo okoliczności do swojej rangi społecznej, pańskiego trybu życia i obyczajów. Nie ukrywając śmieszności, nieprzystosowania i wad swoich bohaterów, Krúdy pisze o nich ze specyficzną mieszaniną czułości, ironii i pobłażliwości, uciekając się czasami wręcz do elementów parodii. Świat, który w ten sposób ukazuje, został jak najbardziej serio opisany w węgierskich powieściach dziewiętnastowiecznych, których wszelako czytelnik polski nie zna. Dlatego też rekonstrukcja takiego podejścia do tematu w języku polskim, próba zaznaczenia ironicznego dystansu, to najtrudniejsze zadanie translatorskie, z jakim musi się zmagać tłumacz przekładający zarówno dzieła oryginalne Krúdyego, jak i tę powieść.

Dla Máraiego Krúdy był nie tylko mistrzem, lecz również symbolem, przykładem i dowodem na to, że pisarz może w sobie wiernie zachować i wiarygodnie opisać zna-

ne mu uniwersum, które zasypuje piasek czasu. „Wielki pisarz zatrzymuje świat, z którego pochodzi, do którego przynależał w taki sposób, w jaki materia zbłąkanego meteoru przechowuje tajemnice wszechświata. Każda jego linijka błyszczy gwiazdzistym pyłem” zapisał w powojennym dzienniku Márai, który w młodości widział jeszcze i poznał opisane przez Krúdyego dawne Węgry. Ta wizja prześwieca przez powieść, wplata pisarza w świat, który stworzył, a dzieło jego życia stapia z legendą, którą po sobie zostawił.

Teresa Worowska